s.16–17

Nie spodziewałem się, nie pomyślałbym, przekroczyło to moje najśmielsze oczekiwania – taka była cała kariera Lewandowskiego

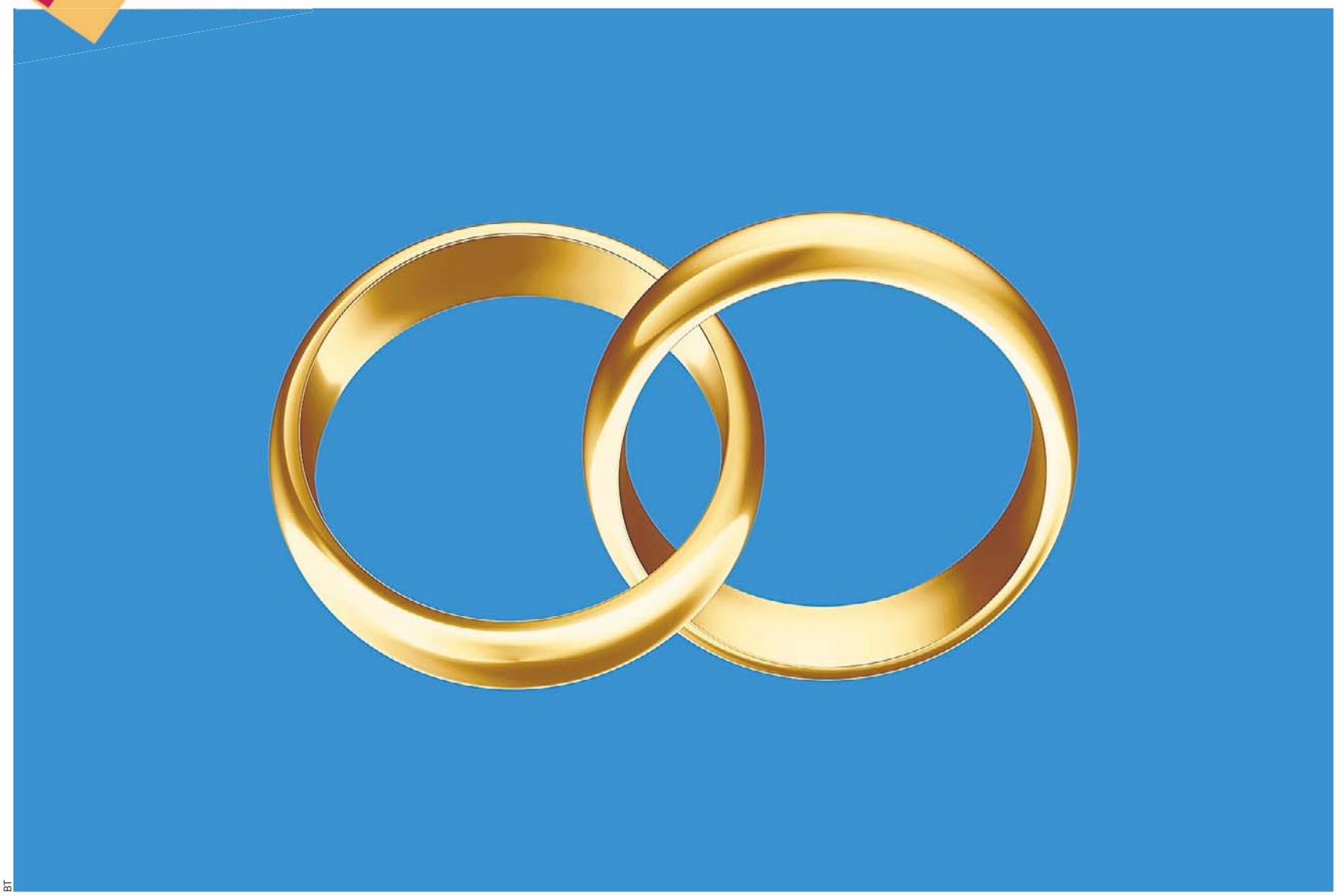
Nr ISSN 1898-3081 | Nr indeksu 349-682

9 771898 308059 21

magazyn Puls

POLSKA
METROPOLIA WARSZAWSKA

Piątek–niedziela, 22–24.05.2026
Nr 41 (2552) • Cena 7,00 zł (w tym 8% VAT)
Informacje z Kraju i ze Świata www.i.pl



BT

s.4–5

Co z obecnością amerykańskich żołnierzy w Polsce. Ofensywa trwa

s.20–21

Policyjni łowcy cieni działają w absolutnej tajemnicy

s.6–7

Transkrypcje ślubów jednopłciowych zmieniają sytuację prawną par. Ale to nie wystarczy, by były jednakowo traktowane

Co z ustawą o związkach?

REKLAMA 0011516838



eprasa.pl bb45e65d74

Polska
Piątek–niedziela, 22–24.05.2026

AUTOPROMOCJA 0210987190

Zamów **prenumeratę**
Polska Metropolia Warszawa **12 312 53 88**
prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

W poniedziałek **magazyn**

Papież Leon XIV jedzie do Hiszpanii. Kulminacją pobytu będzie msza św. w bazylice Sagrada Familia, połączona z inauguracją wieży Jezusa Chrystusa



Janusz Michalczyk
publicysta

NIEKOCHANA INTELIGENCJA

Czy pisarze są inteligentni? Czy sztuczna inteligencja powinna współpracować z ich inteligencją naturalną? Czy jak mawiał Janusz Głowacki, pisze się z głowy, czyli z niczego? Takie oto pytania przyszły mi na myśl, gdy przyjrzałem się najnowszej awanturze w światku literackim, która rozpętała się po tym, jak Olga Tokarczuk zasugerowała publicznie, że wykorzystuje w pracy sztuczną inteligencję. „Często wprost rzucam maszynie pomysł do analizy z prośbą: kochana, jak mogłybyśmy to pięknie rozwinąć?" - wyznała noblistka. Kiedy zagotowało się w internecie, wydała oświadczenie, podkreślając, że pisze sama, natomiast AI traktuje tylko „jako narzędzie pozwalające szybciej dokumentować i sprawdzać fakty". Korzyść jest oczywista - po co ślęczeć godzinami w bibliotekach, jeśli po kilku sekundach potrzebne informacje zostaną wyświetlone na ekranie komputera?

Nie sądzę, żeby jej krytycy wzięli te wyjaśnienia za dobrą monetę. Raczej są one przeznaczone dla czytelników, którzy mogli poczuć się zdezorientowani. Sprawa jest delikatna, bo w tym roku ma się ukazać nowa powieść Tokarczuk i każdy, kto ją kupi, będzie się zastanawiać, ile zdań napisała własnoręcznie.

Znany z ciętego języka Szczepan Twardoch nie miał dla noblistki litości: „Wejście w »relację« z modelem językowym, czy to emocjonalną, czy twórczą, ma tyle sensu, co małżeństwo z wibratorem". Zabawne, ale żarty na bok, bo w istocie powraca fundamentalne pytanie o sens pojęcia „prawda". Czy jedno zdanie ułożone z pomocą AI przy pisaniu utworu literackiego albo choćby podsunięty przez nią pomysł należy uznać za oszustwo dyskwalifikujące całość pracy twórczej?

Marek Krajewski przyznał kiedyś, że wydawnictwo publikujące jego książki zatrudnia osobę, której zadaniem jest wynajdowanie w mediach opisów niezwykłych zdarzeń i podrzucanie ich pisarzowi do ewentualnego wykorzystania. Może dziś tę pracę wykonuje już AI, a ten człowiek tylko sprawdza, czy nie są to głupoty?

Sądzę, że nie tyle chodzi o jakąś abstrakcyjną prawdę, lecz o emocjonalną. Autor ma jakieś emocje, czytelnik też, zaś model językowy udaje. Problem w tym, że nawet u ludzi nie zawsze da się odróżnić prawdziwe emocje od udawanych. Dlatego czasem trzeba zaryzykować i uwierzyć na słowo.

Z CZEGO JUTRO...? KRONIKA ZAPOWIADANEJ NALICZNIEJSZEJ ARMII NATO, CZYLI RZECZ O UWOLNIENIU GOSPODARKI



Andrzej Sadowski
Centrum Adama Smitha

Polskie państwo spadło o jedną pozycję w międzynarodowym rankingu Global Business Complexity Index GBCI, czyli jurysdykcji o najbardziej skomplikowanych przepisach do prowadzenia działalności gospodarczej na świecie. Indeks ocenia poziom trudności biurokratycznych na podstawie 292 szczegółowych wskaźników, badających m.in. przepisy podatkowe i księgowe, prawo pracy, czy zarządzanie firmą. W najnowszym rankingu państwo polskie zajęło 19. miejsce na świecie oraz 6. w Europie wśród państw o najtrudniejszych warunkach regulacyjnych dla działalności gospodarczej. Grecja, Meksyk oraz Brazylia są liderami państw o najbardziej skomplikowanych przepisach do prowadzenia działalności gospodarczej na świecie. Na naszym kontynencie Polskę wyprzedziła Francja, awansując na piątą pozycję m.in. dlatego, że prawo pracy tego państwa uchodzi za jeden z najbardziej dynamicznych i skomplikowanych systemów prawnych. Miesięcznie powiększa się ono średnio od 10 do 20 stron tekstu legislacyjnego zawartego już w ok. 11,5 tysiąca artykułów wobec 2534 zawartych w kodeksie cywilnym. Rygorystyczne i cały czas puchnące od nowych przepisów francuskie prawo pracy wywiera głęboki i paraliżujący wpływ na słabnącą gospodarkę oraz tamtejszy rynek pracy.
W konsekwencji namnażania przepisów doprowadzono do „wygodnego status quo dla zatrudnionych i muru nie do przebicia dla bezrobotnych". Biurokratyczne przepisy dotyczące pracy drastycznie podniosły koszty ryzyka gospodarczego. We Francji powszechny jest syndrom „muru 50 pracowników", bowiem prawo nakłada na firmy skokowo większe obowiązki biurokratyczne, gdy stan zatrudnienia osiągnie 50 osób. Limit 50 osób wywołuje nienaturalną anomalię we francuskiej gospodarce, w której istnieje gigantyczna liczba firm zatrudniających dokładnie 48 lub 49 pracowników. Wiele dynamicznie rozwijających się przedsiębiorstw celowo hamuje rekrutację i sztucznie ogranicza swój wzrost, aby nie wpaść w niszczycielskie rygory biurokratyczne poziomu „50+". Rządy w Polsce z powodów czysto fiskalnych, a nie stricte ochrony pracownika wymorzyły przeregulowywanie pracy, mimo że w orzecznictwie Trybunału Konstytucyjnego zasada swobody umów ma rangę konstytucyjną i jest wywodzona z dwóch kluczowych artykułów Konstytucji Rzeczpospolitej Polskiej, która jest coraz bardziej fakultatywna dla parlamentów, rządów i prezydentów oraz organów Unii Europejskiej.

Czy państwo polskie pogrążające się w kryzysie instytucjonalnym i konstytucyjnym oraz od dekad tłumiące aktywność rodzimych przedsiębiorców jednocześnie nieustannie faworyzując międzynarodowe korporacje, jest w stanie bez pogorszenia warunków życia obywateli stworzyć do roku 2030 najliczniejszą i najnowocześniejszą lądową armię europejskich państw NATO, cokolwiek miałoby to znaczyć? Dramatyczne doświadczenia z realnością deklaracji „nie oddamy ani guzika", które doprowadziły do utraty państwowości oraz zagłady obywateli są nieprzepracowane do tej pory przez rządzące Polską po roku 1989 grupy polityczne. Dopiero po stu latach od wojskowego zamachu stanu zaczyna się pogłębiona publiczna debata nie tylko o zniszczeniu demokratycznej formy ustroju politycznego Polski, ale i jego konsekwencjach społecznych i gospodarczych. Nieobecna jest jednak perspektywa obalenia ustroju, którą w tamtym czasie przedstawił Adam Heydel, że „skoro upaństwowiono życie gospodarcze to łatwo było - wcześniej pozbawiając obywateli aktywności gospodarczej - na końcu obalić papierową konstytucję, bo nie chroniła ona już części praw. Łatwo, więc było po pozbawieniu praw ekonomicznych, pozbawić praw politycznych". Niezwykle łatwe obalenie Konstytucji Marcowej było skutkiem wcześniejszej etatyzacji, która po wojskowym zamachu stanu przybrała takie rozmiary w niektórych obszarach gospodarki jak w Związku Sowieckim.

Najliczniejszą i najnowocześniejszą armię można zbudować w warunkach uwolnionej od biurokratycznego oraz sądowego poddaństwa gospodarki. Bez przywrócenia w Polsce wolności gospodarczej i tym samym oswobodzenia pracy i przedsiębiorczości jej obywateli budowa najsilniejszej armii z pewnością przyniesie w pierwszej kolejności obniżenie poziomu życia obywateli. Jedynie nieskrępowanie rozwijająca się gospodarka może wypracować nadzwyczajne środki, i to znacznie większe niż nawet wielokrotność pożyczek SAFE oraz jednocześnie sprawić, że poziom życia przynajmniej nie spadnie. Strategicznym celem struktur odpowiedzialnych za bezpieczeństwo narodowe, czy rozwój armii powinno być stworzenie najbardziej konkurencyjnych warunków dla gospodarki, na jakie pozwala nam obecność w Unii Europejskiej i obowiązujących traktatów. Jak do tej pory Komisja Europejska nie żądała ani nie oczekiwała od rządów w Polsce wprowadzania najbardziej skomplikowanych przepisów do prowadzenia działalności gospodarczej czy nieustannego uszczelniania jednego z najgorszych systemów podatkowych. Skoro parlamenty i rządy mogły suwerennie ordynować rodzimym przedsiębiorcom najmniej konkurencyjne warunki pracy, to dziś również suwerennie mogą je zmienić bez zbędnej zwłoki. W czasie, gdy w państwie polskim o zawężonej suwerenności, czego jednym z zauważalnych przejawów były stacjonujące wojska okupacyjne armii Związku Sowieckiego, przywrócono w nim wolność gospodarczą i porzucono socjalizm za sprawą ustawy Wilczka jeszcze przed Okrągłym Stołem i reglamentowanymi wyborami 4 czerwca 1989.

Gospodarki nie trzeba budować, bo przez ostatnie dekady skutecznie czynili to rodzimi przedsiębiorcy wbrew poczynaniom aparatu partyjno-państwowego, a tylko uczciwie zlikwidować absurdalnie nadmiarowe i jawnie szkodliwe przepisy. Stąd pierwszym krokiem do stworzenia finansowych i ekonomicznych podstaw najliczniejszej i najnowocześniejszej armii jest przyjęcie najbardziej konkurencyjnych rozwiązań dla gospodarki, zaczynając od natychmiastowego zrównania w prawach rodzimych przedsiębiorców i międzynarodowych korporacji. Wolność gospodarcza jest najprostszą i pierwszą najważniejszą rezerwą w budowie armii.

Andrzej Sadowski założyciel i prezydent Centrum im. Adama Smitha – pierwszego w Polsce think tanku, działającego od 16 września 1989 r.

eprasa.pl bb45e65d74

REKLAMA

0011523793



eprasa.pl bb45e65d74

Amerykańscy żołnierze w Polsce. Polityczna ofensywa trwa

Wszystko wskazuje na to, że administracja Donalda Trumpa wstrzymała się z ostateczną decyzją o zmniejszeniu obecności amerykańskich żołnierzy na terenie Polski i Europy, a ofensywa polskich polityków i amerykańskich kongresmenów przyniosła oczekiwane skutki. Ale od razu dodajmy: na razie. Nic nie jest jeszcze przesądzone.

Dorota Kowalska

Rozmowy, podróże do Waszyngtonu, zapewnienia o bezpieczeństwie Polski - zamieszanie wokół rozmieszczenia amerykańskich wojsk w Europie, także Polsce, trwa. Chociaż pewne kwestie są już jasne. W nocy ze środy na czwartek amerykański dziennik „The Wall Street Journal" oraz portal Army Times podały informacje o anulowaniu wysłania brygady pancernej do Polski. Te doniesienia potwierdził Reuters. W piątek podał, powołując się na dwóch amerykańskich urzędników, wypowiadających się anonimowo, że Pentagon anulował plany rotacyjnego przemieszczenia 4 tysięcy amerykańskich żołnierzy do naszego kraju. Telewizja CNN poinformowała z kolei, powołując się na źródła w resorcie wojny USA, że ta decyzja szefa Pentagonu Pete'a Hegsetha była częścią serii ruchów mających zredukować liczbę sił USA w Europie.

Teraz rzecznik Pentagonu Sean Parnell potwierdził, że decyzja ta oznacza powrót do poziomu obecności wojsk USA w Europie z 2021 roku, a więc sprzed inwazji Rosji na Ukrainę, i będzie skutkowała między innymi „tymczasowym opóźnieniem rozmieszczenia sił amerykańskich w Polsce". Podkreślił jednocześnie, że Polska pozostaje „wzorcowym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych", a inni członkowie NATO powinni brać z niej przykład.

Tyle tylko że fakt jest faktem: amerykańskich wojsk ma być w Europie mniej. Może stąd ta ofensywa polskich polityków na rzecz wzmacniania relacji z USA.

I tak wicepremier, szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz i szef Sztabu Generalnego WP gen. Wiesław Kukuła spotkali się w środę z zastępcą przewodniczącego Kolegium Połączonych Szefów Sztabów wojsk USA gen. Christopherem Mahoneyem. We wtorek szef MON kontaktował się z szefem Pentagonu Petem Hegsethem.

- Wczoraj i dzisiaj zostałem zapewniony po raz kolejny o tym, że Polska jest modelowym sojusznikiem. Jest niezwykle ważnym partnerem, jeżeli nie najważniejszym partnerem Stanów Zjednoczonych w Europie, że spełnia wszystkie oczekiwania budowy silnego sojuszu i inwestycji w bezpieczeństwo - powiedział wicepremier po spotkaniu.

Kosiniak-Kamysz podkreślił też, że od pierwszych doniesień medialnych o zmniejszeniu liczby wojsk amerykańskich w Europie uspokajał, iż nie ma decyzji o zmniejszeniu zaangażowania Amerykanów w Polsce.

- To zostało wczoraj potwierdzone. (...) Prowadzimy racjonalną, spokojną politykę współpracy, nie poprzez emocje, nie poprzez jednodniowe jakieś wydarzenia, tylko strategiczną, i żaden szum informacyjny, który czasem powstaje, nie zakłóci tej relacji - zapewnił.

Do Waszyngtonu poleciał wiceminister obrony Cezary Tomczyk, który spotkał się z doradcą prezydenta USA ds. bezpieczeństwa i wiceszefem Rady Bezpieczeństwa Narodowego Andrew Bakerem. Po rozmowie oświadczył, że „najważniejszy wniosek" jest taki, iż USA utrzymają wysoką obecność wojskową w Polsce.

O utrzymaniu silnego zaangażowania USA zapewniał także jeden z wiceszefów Pentagonu Elbridge Colby podczas rozmowy z szefem BBN Bartoszem Grodeckim. Jak przekazało BBN, Colby podkreślił, że Polska może liczyć na utrzymanie silnego zaangażowania wojskowego USA. Sam Grodecki ocenił rozmowę jako „dobrą, otwartą i partnerską". Dodał, że został zapewniony, iż USA traktują Polskę jako „wzorowego sojusznika" i że „jako kraj możemy liczyć na utrzymanie mocnego zaangażowania sił amerykańskich".

Pojawiły się też nieoficjalne informacje o tym, że o rozmowę z Donaldem Trampem w sprawie rozmieszczenia amerykańskich wojsk w Europie stara się prezydent Karol Nawrocki.

Szef prezydenckiego Biura Polityki Międzynarodowej Marcin Przydacz tłumaczył, że podczas ostatniej rozmowy Nawrockiego z Trumpem, która miała miejsce 3 maja, nie poruszono kwestii relokacji amerykańskich żołnierzy.

- Gdyby to padło, to byśmy od razu zaczęli w tej tematyce aktywnie działać. Nie padło, dlatego że to nie jest decyzja Białego Domu, tylko to jest decyzja na poziomie Pentagonu - tłumaczył Przydacz.

REKLAMA 0011521052



ENERGIA Z POLSKI LOCAL FIRST

Forum Dostawców Przemysłu Energetycznego i Obronnego

Rzeszów 2026

15 czerwca 2026 Rzeszów

ZAPISZ SIĘ JUŻ DZIŚ

energiazpolski.pl

Udział bezpłatny.
Liczba miejsc ograniczona.

- **Panele dyskusyjne** o sytuacji i inwestycjach w sektorach energetycznym i obronnym
- **Warsztaty** poświęcone mechanizmom finansowania dla dostawców, procesom certyfikacyjnym oraz prawu zamówień publicznych

Przyjedź. Pokaż swoją firmę.
Nawiąż kontakty z ludźmi, którzy decydują o kluczowych zamówieniach i nowych inwestycjach.

ORGANIZATOR POLSKA PRESS GRUPA

PATRONAT HONOROWY Ministerstwo Aktywów Państwowych; Wiceprezes Rady Ministrów Minister Obrony Narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz; WOJEWODA PODKARPACKI

eprasa.pl bb45e65d74



FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

Amerykanie podkreślają, że Polska pozostaje „wzorcowym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych", a inni członkowie NATO powinni brać z niej przykład

I chwalił Władysława Kosiniaka-Kamysza, który, jak to określił, „stara się robić bardzo dużo, aby te wojska utrzymać".

- Takie też jest jego zadanie, bo jest ministrem obrony narodowej, ma trochę inną perspektywę. Natomiast my jako Kancelaria Prezydenta będziemy tutaj wspierać akurat w tym zakresie rząd, bo uważamy, że trzeba utrzymywać amerykańskich żołnierzy w Polsce - powiedział Szef prezydenckiego Biura Polityki Międzynarodowej na antenie Telewizji Republika.

Polityk pytany był również, czy istnieją obecnie jakiekolwiek szanse, aby przekonać Trumpa i administrację amerykańską do budowy stałej bazy wojsk USA w Polsce.

- Jest bardzo duża szansa i ostatnie rozmowy raczej to potwierdzają. (...) Stała baza jest naszym interesem - powiedział.

Nawrocki i Trump pojawią się na szczycie NATO, który odbędzie się 7-8 lipca w stolicy Turcji, Ankarze. - Wtedy na pewno panowie prezydenci ze sobą będą rozmawiać, czy to w węższym, czy w szerszym formacie - dodał.

Tak, czy inaczej, utrzymanie skali wojskowego zaangażowania USA w Polsce nie jest pewne.

Wspomniany już wcześniej Sean Parnell w swoim oświadczeniu dodał, że podstawą ostatecznego rozkładu tych i innych sił amerykańskich w Europie będzie „dalsza analiza strategicznych i operacyjnych potrzeb USA, a także możliwości naszych sojuszników w zakresie zaangażowania sił na rzecz obrony Europy". Zaznaczył, że celem Pentagonu jest realizacja programu prezydenta Donalda Trumpa „America First". W jego ramach Waszyngton będzie zachęcać sojuszników z NATO do wzięcia na siebie głównej odpowiedzialności za konwencjonalną obronę Europy.

- Administracja Trumpa zamierzała całkowicie odwołać wysłanie brygady pancernej do Polski i nie zastępować jej, a teraz się z tym wstrzymali – powiedział w środę szef komisji sił zbrojnych Izby Reprezentantów Mike Rogers, cytowany przez portal NOTUS. Rogers spotkał się w środę z wiceszefem MON Pawłem Zalewskim.

- Oni (Pentagon) mówili o wycofaniu 4000 żołnierzy rotacyjnych w Polsce i niezastępowaniu ich. Właśnie wczoraj wieczorem dowiedzieliśmy się, że faktycznie wstrzymują to (wycofanie wojsk), a nasz prezydent rozmawia z prezydentem Polski o potencjalnych opcjach. Mam nadzieję, że ten problem zniknie - dodał. Na razie jednak rozmów obu prezydentów nikt nie potwierdza.

O tym, że początkowe plany amerykańskiej administracji, po burzy, jaką wywołały tak w Europie, jak amerykańskim Kongresie, zmieniły się w ciągu ostatnich dni, mówił też w środę wiceminister z MON, Cezary Tomczyk.

- Fakty są takie, że te komunikaty samej administracji amerykańskiej ewoluują i to jest ewolucja, która jakby pokazuje, że ta ofensywa i też pokazanie różnego rodzaju argumentów ma znaczenie - oświadczył. - Głos, który popłynął ze strony Kongresu do administracji amerykańskiej, był jednoznaczny, i to był głos głębokiego wsparcia dla Polski - dodał.

Tomczyk zwrócił uwagę, że „od komunikatów, które były bardzo niepokojące, przeszliśmy do komunikatu, który dotyczy opóźnień i przesunięć, które dotyczą terminu, a nie faktu".

Nawiązał przy tym do wtorkowej wypowiedzi wiceprezydenta USA J.D. Vance'a, „który mówił, że to nie jest zatrzymanie, tylko opóźnienie, które wynika z pewnej reorganizacji w Europie". Jak zaznaczył wiceszef MON, „od samego początku" Polska była zapewniana przez głównego dowodzącego sił amerykańskich w Europie, że zmiany „nie dotyczą Polski" i „wynikają ze stanowiska prezydenta Stanów Zjednoczonych wypowiedzianego publicznie w kierunku Niemiec".

Zarówno Parnell, jak i Tomczyk zapowiadali, że ostateczny kształt rozmieszczenia sił w Polsce i Europie zostanie wypracowany w toku konsultacji w ciągu najbliższych tygodni.

Ale wojskowi i eksperci nie mają wątpliwości. To, co się dzieje wokół obecności amerykańskich żołnierzy w Europie, to dla nas ważny sygnał. Nie pierwszy zresztą.

Podczas „Lublin Forum 2026 - Russian Aggression: Roots and Forms", dyrektor Instytutu Europy Środkowej dr Grzegorz Gil ocenił, że „polska kultura strategiczna nie może opierać się wyłącznie na gwarancjach supermocarstwa wojskowego" i zwrócił on uwagę na potrzebę budowy „adekwatnej, ekonomicznie uzasadnionej i skrojonej na miarę tarczę antydronowej".

Zastępca szefa Kancelarii Prezesa Rady Ministrów Jakub Stefaniak podkreślił, że w polskiej polityce międzynarodowej sprawdza się strategia „grania na dwóch fortepianach".

– Z jednej strony silny sojusz ze Stanami Zjednoczonymi. I tego nikt nie podważa. I z drugiej strony rozpoczęcie procesu modernizacji sił zbrojnych europejskich, dofinansowania ich – powiedział Stefaniak.

Politolog z Uniwersytetu Gdańskiego Aleksander Kazak, który też uczestniczył w lubelskim formum, zwrócił z kolei uwagę, że dyskusja wokół obecności wojsk USA wywołała „ogromny natłok informacji", wykorzystywany do działań dezinformacyjnych. Według niego Europa staje się mniej istotna strategicznie dla USA, dlatego Polska powinna rozwijać własne siły zbrojne, przemysł obronny i współpracę europejską, nie opierając bezpieczeństwa wyłącznie na relacjach z Waszyngtonem. PAP

REKLAMA 0011523056

SOLANKI
Uzdrowisko Inowrocław

Latem zadbaj o zdrowie

Zakwaterowanie
3 posiłki dziennie
w formie bufetu szwedzkiego
Konsultacja lekarska
2 zabiegi dziennie
(oprócz niedziel i dni świątecznych)
90 min. dziennie w Strefie Relaksu
(sauna, jacuzzi, grota solna, siłownia)
Voucher do Integracja Cafe



52 35 63 101, 52 35 63 100, 52 35 63 320
medicalspa@solanki.pl, recepcja@solanki.pl
www.solanki.pl

eprasa.pl bb45e65d74

Polska
Piątek–niedziela, 22–24.05.2026

ZWIĄZKI JEDNOPŁCIOWE. KWESTIA GODNOŚCI I PRAW CZŁOWIEKA

Transkrypcja aktu małżeństwa to szansa na normalność dla par jednopłciowych, które związek małżeński zawarły za granicą. Prawda jest jednak taka, że w Polsce małżeństwa jednopłciowe i związki partnerskie wciąż nie mają zbyt wielu praw. Uznanie ślubu zawartego za granicą tego faktu nie zmienia

Dorota Kowalska

To był dla nich wyjątkowy dzień. W poniedziałek, 18 maja, w Urzędzie Stanu Cywilnego we Wrocławiu pierwsza para gejów w tym mieście dokonała transkrypcji aktu małżeństwa. Ryszard Ziobro i Tomasz Kwietko-Bębnowski są razem od 50 lat. Ślub wzięli rok temu w Wiedniu. Po wyroku TSUE złożyli wniosek o transkrypcję zagranicznego aktu małżeństwa i uzyskali ją bez konieczności prowadzenia sprawy sądowej.

– Zrobiliśmy to, żeby wszyscy obywatele i obywatelki w tym kraju byli równi. Żeby nie było segregacji, że są lepsi ludzie i gorsi ludzie. My jesteśmy ze sobą pół wieku, prawie pięćdziesiąt lat. Od złożenia wniosku trochę to trwało, ale dzięki życzliwości urzędników i wykorzystaniu możliwości, czyli praw, które przysługują obywatelom w Polsce, uzyskaliśmy to bez pomocy sądu – mówił Tomasz Kwietko-Bębnowski.

Transkrypcja aktu małżeństwa Ryszarda Ziobry i Tomasza Kwietko-Bębnowskiego jest drugą w Polsce i uzyskaną bez wyroku sądowego. Urząd Stanu Cywilnego we Wrocławiu dokonał jej na podstawie precedensu ustalonego w Warszawie. Tam podobna transkrypcja została przeprowadzona po pozytywnym orzeczeniu Naczelnego Sądu Administracyjnego, wydanym po wyroku Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. W Warszawie 14 maja dokument odebrali Jakub i Mateusz Cupriak-Trojanowie, para, która wywalczyła przełomowe wyroki w Luksemburgu i w NSA.

– Dzisiaj rano dokonaliśmy pierwszej transkrypcji aktu małżeństwa jednopłciowego, zgodnie z wyrokami sądów. Tak jak zapowiadałem, bez zwłoki, natychmiast – mówił wówczas prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski. – Dokonujemy formy transkrypcji w taki sposób, jaki uznaliśmy za najbardziej stosowny. Po konsultacjach z innymi urzędami stanu cywilnego, ale również moim współpracownikami, którzy rozmawiali z organizacjami, które walczyły o prawa LGBT. Tak, żeby to było jak najbardziej godnościowe, ale także pełne i szczegółowe – podkreśli Trzaskowski.

Trzaskowski dodał, że kwestię ujednolici przyszłe rozporządzenie rządowe, które ma sprawić, że transkrypcje w całym kraju będą przeprowadzane w identyczny sposób.

– Czekaliśmy na wyroki polskich sądów, które potwierdziły tę linię i wyjaśniły sporo wątpliwości i pytań. Mamy orzeczenie Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej i polskich sądów i ja będę wykonywał te orzeczenia. Natomiast liczę na to, że rozporządzenie, które przygotował rząd, wejdzie w życie jak najszybciej – mówił prezydent Warszawy.

Wszystkie dotychczas zawieszone wnioski zostaną odwieszone. Pary, którym wcześniej odmówiono transkrypcji, mogą złożyć wniosek ponownie.

Przypomnijmy, w listopadzie 2025 roku Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej zobowiązał Polskę do uznawania małżeństw osób tej samej płci zawartych legalnie w innych krajach UE – nawet jeśli polskie prawo takich związków nie przewiduje. W marcu 2026 roku Naczelny Sąd Administracyjny powołał się na ten wyrok, nakazując transkrypcję aktu małżeństwa Jakuba i Mateusza Cupriak-Trojanów, zawartego w Berlinie w 2018 roku. Od tamtej pory NSA nakazał transkrypcję aktów łącznie siedmiu par jednopłciowych.

To dopiero początek

Ryszard Ziobro i Tomasz Kwietko-Bębnowski czekali na ten dzień wiele lat.

– Czy nasz związek komuś zagraża? Nikomu – pytał retorycznie Ryszard Ziobro.

Ziobro zakłada, że wszystkie prawa przysługujące małżeństwom będą teraz stosowane również wobec nich. Chodzi chociażby o dostęp do informacji medycznej, dziedziczenie czy prawo do odmowy zeznań przeciwko sobie w sprawach karnych.

– Jest to dosyć nowa sytuacja dla tego kraju. Nowa sytuacja dla różnych urzędów. Myślę, że dzięki temu nie będzie już potrzeby wybierania drogi sądowej, żeby uzyskać uprawnienia, które po prostu obywatelom się należą – dodali wspólnie Ryszard Ziobro i Tomasz Kwietko-Bębnowski.

Transkrypcja aktu małżeństwa Ryszarda Ziobry i Tomasza Kwietko-Bębnowskiego to nie tylko przełom dla nich samych, ale – jak podkreślają aktywiści – także sygnał, że Polska wchodzi w nowy etap stosowania prawa wobec par jednopłciowych.

– To moment, na który środowisko LGBT czekało od lat. Otwiera drogę dla kolejnych par. Każda para jednopłciowa może pojechać za granicę, zawrzeć ślub w Görlitz, Berlinie czy Danii, wrócić i zarejestrować go w Polsce. W tym momencie mamy faktycznie małżeństwa jednopłciowe w Polsce – mówi Linus Lewandowski z Homokomando.

Jak zapowiadają aktywiści, to dopiero początek.

– Związków partnerskich nie ma na stole. Jest jakiś projekt „wspólnego pożycia", czy „o statusie osoby najbliższej", umowa o nie wiadomo czym. To nas nie interesuje. Śluby też wywalczymy. Myślę, że dwa, trzy, może pięć lat w sądach i będziemy mieć możliwość zawierania ślubów w Polsce. A póki co – polecam parom wyjazd za granicę i niebawienie się w półśrodki – dodaje Lewandowski.

DOCELOWO FORMULARZ AKTU MAŁŻEŃSTWA MA MIEĆ TRZY WARIANTY: DLA PAR KOBIETA–MĘŻCZYZNA, KOBIETA–KOBIETA I MĘŻCZYZNA–MĘŻCZYZNA.

Szacuje się, że na transkrypcję zagranicznego aktu małżeństwa par tej samej płci czeka w Polsce około 1000 par. W samym tylko krakowskim Urzędzie Stanu Cywilnego złożono 13 takich wniosków, a we Wrocławiu – cztery.

Pełnomocniczka rządu ds. równości Katarzyna Kotula poinformowała, że prace nad rozporządzeniem regulującym wzory aktów stanu cywilnego, które umożliwi systemową realizację transkrypcji, ruszyły w listopadzie 2025 roku, bezpośrednio po wyroku TSUE, ale wprowadzenie zmian w wymaga jednak czasu.

Pary nie czekają

Problem par jednopłciowych i związków partnerskich wrócił, ale tak naprawdę nie mogło być inaczej.

– Chciałbym przeprosić tych wszystkich, którzy przez długie lata czuli się odrzucani i upokarzani. Państwo tu przez wiele lat nie zdawało egzaminu. Mam nadzieję, że po wyroku trybunału i Naczelnego Sądu Administracyjnego także w parlamencie znajdziemy szybkie, konieczne, dodatkowe rozwiązania o charakterze ustawowym – powiedział przed rozpoczęciem posiedzenia rządu Donald Tusk. I zwrócił uwagę, iż temat ten „od wielu dni jest w centrum uwagi opinii publicznej".

– Ciągle nie mamy regulacji prawnych na poziomie ustawowym, które by wyjaśniały status osób, które zdecydowały się na stały związek jednopłciowy – mówił Tusk.

I dodał, że sprawa wiąże się z dwoma kluczowymi kwestiami. Po pierwsze chodzi o „praworządność i przestrzegania prawa".

– Zobowiązaliśmy się i będę tego też osobiście pilnował, aby przestrzegać wyroków zarówno trybunałów europejskich, jak i polskich sądów w pierwszym rzędzie. Jest to więc kwestia praworządności – wyjaśnił.

Po drugie, zdaniem Tuska, związki jednopłciowe to także „kwestia godności i praw człowieka".

– W Polsce są różne poglądy na temat związków jednopłciowych. Motywowany tradycją, wyznaniem wiary, doświadczeniem, poglądami politycznymi. Także na tej sali różnimy się w tej kwestii swoimi poglądami, opiniami. Ale w jednej sprawie przynajmniej my nie możemy się różnić, to jest kwestia godności człowieka, prawa do szczęścia, prawa do równego traktowania przez państwo – tłumaczył Donald Tusk.

I zaapelował do ministrów, aby „szanować godność każdego człowieka i żeby pamiętać o tym, że ci ludzie żyją wokół nas, obok nas, wśród nas i zasługują na takie same uczucia szacunku, godności, na miłość, tak jak każdy inny człowiek".

Premier zobowiązał przy tym ministra cyfryzacji Krzysztofa Gawkowskiego i ministra spraw wewnętrznych i administracji Marcina Kierwińskiego do „pilnego, jak najszybszego ustalenia treści rozporządzenia".

– Parlamentarzystów wzywam do jak najszybszej pracy tam, gdzie ustawy będą niezbędne, aby opisać konsekwencje tej decyzji – dodał.

13 maja wicepremier i minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski podpisał projekt rozporządzenia w sprawie wzorów dokumentów stanu cywilnego. Docelowo formularz aktu małżeństwa ma mieć trzy warianty: dla par kobieta-mężczyzna, kobieta-kobieta i mężczyzna-mężczyzna. Swój podpis zapowiedział też szef MSWiA Marcin Kierwiński, ale techniczne dostosowanie systemów potrwa około trzech miesięcy, więc pewnie przepisy zaczną obowiązywać jesienią.

Do tego czasu urzędy stosują rozwiązanie tymczasowe: dane jednej z osób wpisuje się w rubrykę przewidzianą dla przeciwnej płci. W ten sposób wpisano do systemu Trojanów i według tego samego szablonu działają Warszawa oraz Wrocław. Tę samą procedurę zastosuje również Kraków wobec par, które nie zdecydują się czekać na nowy formularz.

Walka o związki partnerskie

Prawda jest jednak taka, że małżeństwa jednopłciowe i związki partnerskie pozostają w Polsce nielegalne. Transkrypcja nie zmienia tego stanu prawnego, dotyczy bowiem wyłącznie uznawania związków zawartych za granicą. Tymczasem kwestia uregulowania sytuacji osób pozostających w nieformalnych związkach była jedną z kluczowych dla koalicji 15 października.

– Ustawa o związkach partnerskich to priorytet na pierwsze 100 dni po wyborach – zapowiadał Donald Tusk w kampanii wyborczej. Postulat ten znalazł się także w oficjalnym programie Koalicji Obywatelskiej w „100 konkretach na pierwsze 100 dni rządów".

Co więcej, Polacy w zdecydowanej większości domagają się uregulowania tych kwestii. Jak wynika z sondażu Opinia24 dla „Faktów" TVN i TVN24, ponad połowa z nas opowiada się za wprowadzeniem związków partnerskich. Sprzeciw wobec tego pomysłu wyraża co trzeci badany.

Uczestnikom sondażu zadano pytanie: „Czy jest Pan(i) za czy przeciw wprowadzeniu związków partnerskich w Polsce?". 54 procent ankietowanych stwierdziło, że jest „za". 34 procent badanych stwierdziło, że jest „przeciw" wprowadzeniu związków partnerskich w Polsce, a 12 procent odpowiedziało: „nie wiem/trudno powiedzieć/odmowa".

Wyborcy mogli czuć się zniecierpliwieni, tym bardziej że sprawa uregulowania sytuacji związków partnerskich ciągnie się latami. W październiku 2024 roku, na Rządowym Centrum Legislacji zostały opublikowane dwa projekty ustaw. Pierwszy był projektem właściwym o rejestrowanych związkach partnerskich. Drugi – ustawą wprowadzającą, która miała dostosować przepisy innych ustaw do nowego prawa.

„Projekty ustaw o rejestrowanych związkach partnerskich, które były omawiane z organizacjami pozarządowymi, zostały

eprasa.pl bb45e65d74



FOT. ANETA KOLESIŃSKA

Ryszard Ziobro i Tomasz Kwietko-Bębnowski czekali na ten dzień wiele lat. I postanowili się nie ukrywać. – Czy nasz związek komuś zagraża? Nikomu – pytał retorycznie jeden z partnerów

skierowane do konsultacji publicznych i międzyresortowych. To dla mnie bardzo ważny dzień, bo w Wasze ręce oddaję efekt wielu miesięcy pracy całego naszego zespołu" - napisała wówczas na platformie X minister ds. równości Katarzyna Kotula. I dalej: „Tym samym kontynuujemy proces legislacyjny, który jeszcze nie miał w Polsce miejsca i który mamy nadzieję zakończy się wprowadzeniem do polskiego prawa nowej instytucji. To nowy rozdział w długim marszu po równość, który dzięki wieloletniej pracy wielu organizacji LGBT i społeczeństwa obywatelskiego doprowadził nas do tego historycznego momentu".

Potem, na specjalnie zwołanej konferencji prasowej, minister Kotula stwierdziła, że proponowane projekty „zmieniają właściwie ponad 250 innych ustaw", po raz pierwszy wprowadzając do polskiego prawa instytucję rejestrowanego związku partnerskiego.

Przygotowany przez nią projekt przewidywał m.in. rejestrację związku partnerskiego w urzędzie stanu cywilnego, możliwość przyjęcia wspólnego nazwiska, dostęp do informacji medycznej, kwestie prawa do decyzji o pochówku, dziedziczenia, wspólność majątkowa, która jest deklaratywna i umożliwia wspólne rozliczanie podatków.

Zapisy wprowadzały również tzw. małą pieczę.

- Nie ma tam przysposobienia dzieci - podkreślała minister Kotula, przypominając, że to była jedna z kwestii, „które były sporne od początku w koalicji 15 października i na które nie zgadzało się Polskie Stronnictwo Ludowe". - Tu faktycznie zrobiliśmy taki krok do tyłu, krok kompromisowy i zdecydowaliśmy się na zapisy tylko o małej pieczy. Właściwie są to rozwiązania, które głównie będą służyły tak zwanym rodzinom zrekonstruowanym w parach hetero, kiedy mamy dwa małżeństwa, które się rozwodzą i ci ludzie zabierają ze sobą dzieci, żyją w związku nieformalnym - dodała.

Dokument zakładał, że „osoba w związku partnerskim jest uprawniona do uczestniczenia w sprawowaniu bieżącej pieczy nad wspólnie z nim przebywającym dzieckiem pozostającym pod władzą rodzicielską drugiej z osób w związku partnerskim i jego wychowaniu".

Z kolei projekt ustawy wprowadzającej związki partnerskie zawierał zmiany w ponad dwustu obowiązujących obecnie ustawach, m.in. ustawie Prawo o aktach stanu cywilnego, ustawie o podatku od spadków i darowizn, a nawet ustawie o Policji, Straży Granicznej i Państwowej Straży Pożarnej. Zmienią się także obowiązujące regulacje podatkowe, ustawy dotyczące świadczeń opieki zdrowotnej, czy pomocy społecznej. Chodzi o uwzględnienie w definicjach rodziny osób w związku partnerskim oraz osób, z którymi rodzic dziecka pozostaje w związku partnerskim.

Wreszcie konsensus

Projekt był, przyszedł czas na koalicyjne uzgodnienia i oczekiwany konsensus. Za byli posłowie Lewicy, Koalicji Obywatelskiej, większość posłów Trzeciej Drogi. Inaczej sprawa wygląda z ludowcami. Marek Sawicki z PSL-u od początku podkreślał, że opublikowane na RCL-u projekty nie są projektami rządowymi, a dokumentami przygotowanymi przez minister Kotulę.

Dopytywany o to, co w takim razie z projektem, który przygotowuje PSL - o statusie osoby najbliższej, który miał być odpowiedzią na projekt o związkach partnerskich, poseł Stronnictwa odparł, że tym zajmuje się posłanka Urszula Pasławska.

- PSL będzie miał odpowiedź na ten projekt i w najbliższym czasie dokończony swój projekt o statusie osoby bliskiej - zapowiedziała wówczas Pasławska.

Podkreśliła, że również w jej partii jest duża determinacja w sprawie uregulowania kwestii związków partnerskich i to dobrze, że prace przyspieszyły, aby „poprawić życie prawie pół miliona Polaków".

Bo trzeba pamiętać o tym, że ludowcy już raz „przyblokowali" ustawę o związkach partnerskich, nie godząc się na kwestię przysposobienia dzieci i zrównania statusem związków z małżeństwami (sprzeciwiali się choćby podobnej do małżeńskiej ceremonii zawarcia związku partnerskiego w Urzędzie Stanu Cywilnego).

Koniec końców, ustawa o związkach partnerskich i ustawa wprowadzająca związki partnerskie, choć zostały opublikowane na stronach Rządowego Centrum Legislacji, nie zostały poddane pod głosowanie Rady Ministrów. W czerwcu 2025 roku klub Lewicy złożył do Sejmu te projekty jako poselskie. Z kolei PSL przygotowało alternatywny projekt o statusie osoby najbliższej.

Wreszcie koalicjanci się dogadali i uzgodnili wspólny dokument. Co ciekawe, posłowie Lewicy mówili, że PSL zgodziło się na większość ich propozycji. Z kolei ludowcy podkreślali, że wypracowany projekt dotyczy statusu osoby najbliższej i to Lewica zgodziła się na ich postulaty, a projekt Stronnictwa jest wiodący.

Rząd projekt ustawy o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu przyjął w grudniu 2025 roku. Sejm skierował go do dalszych prac w lutym tego roku. Przeciwko odrzuceniu projektu w pierwszym czytaniu zagłosowało 233 posłów - cała Koalicja Obywatelska, Lewica, Polska 2050, Razem, a także większość posłów Polskiego Stronnictwa Ludowego. Za odrzuceniem projektu było 199 posłów i posłanek - w tym 175 z Prawa i Sprawiedliwości, 14 z Konfederacji oraz dwóch posłów PSL: Marek Biernacki i Marek Sawicki. Trzy osoby wstrzymały się od głosu.

Pytanie, co z gotowym projektem, przyjętym przez Sejm, zrobi prezydent, jeśli znajdzie się na jego biurku.

Karol Nawrocki zapowiedział w wywiadzie dla „Wprost", że „z całą pewnością nic, co jest quasi-małżeństwem", nie może liczyć na jego wsparcie. Dodał, że jest gotowy do podpisania ustawy o statusie osoby najbliższej, „nie tylko w kontekście seksualnym, ale też w kontekście relacji pomiędzy ludźmi".

Urszula Pasławska, wiceprezes PSL i jedna z współautorek projektu, nad którym pracuje Sejm, zapewniała jednak, że „przepisy są kompromisowe, odnoszą się do konkretnych dziedzin życia, które nawet w dyskursie publicznym nie budziły większych wątpliwości, a ona sama będzie się zwracać się do Pałacu Prezydenckiego z otwartością na propozycje i uwagi, bo bardzo ważne jest, żeby te regulacje weszły w życie".

Daleko w tyle

Na zawieranie zarejestrowanych związków partnerskich, również parom tej samej płci, pozwalają obecnie w Unii Europejskiej: Austria, Belgia, Chorwacja, Cypr, Czechy, Dania, Estonia, Finlandia, Francja, Niemcy, Grecja, Węgry, Irlandia, Włochy, Luksemburg, Malta, Holandia, Słowenia, Hiszpania i Szwecja. W sumie 20 państw.

W wielu z nich pary homoseksualne mogą też zawierać małżeństwa. Holandia zalegalizowała małżeństwa jednopłciowe jako pierwsze państwo na świecie.

Pary w tym kraju mogą obecnie wybierać między małżeństwem, związkiem partnerskim (geregistreerd partnerschap), a umową o wspólnym pożyciu (samenlevingscontract). Małżeństwo i związek partnerski mają niemal identyczne skutki prawne - dotyczą m.in. dziedziczenia, podatków i opieki nad dziećmi. W przypadku par lesbijskich współmatka może uzyskać status rodzica po uznaniu dziecka. Od 2018 roku obowiązuje system ograniczonej wspólnoty majątkowej, obejmujący jedynie majątek nabyty po ślubie lub rejestracji związku. Związki zawarte za granicą są w Holandii uznawane, jeśli są zgodne z prawem danego państwa.

W każdym razie Polska jest jednym z nielicznych unijnych państw, w których kwestie związków partnerskich nie są uregulowane. Czy wydarzenia ostatnich dni posuną nas o krok do przodu?

Adwokat Paweł Knut, pełnomocnik małżeństwa Jakuba i Mateusza Cupriak-Trojan uważa, że ustawa o statusie osoby najbliższej z jednej strony jest potrzebna, a z drugiej niewystarczająca - zwłaszcza dla tych par jednopłciowych, które dążą do małżeństwa. Większy sens miałaby kilka lat temu, kiedy nie było jeszcze żadnych perspektyw na uznanie w Polsce małżeństw jednopłciowych zawartych za granicą. Transkrypcja aktu małżeństwa otwiera perspektywę na dużo szerszą ochronę prawną niż status osoby najbliższej. Co za tym idzie, możliwość transkrypcji może być dla par nieheteronormatywnych zachętą do wyjazdów za granicę w celu zawarcia małżeństwa. Sformalizowanie związku i uzyskanie dokumentu potwierdzającego, że są dla siebie osobami najbliższymi, ułatwi im życie w bardzo wielu obszarach.

- Sam zachęcam do tego moich klientów. Podkreślam jednak, że taki wyjazd często jest efektem frustracji lub poczucia niesprawiedliwości. Osoby, z którymi pracuję, mieszkają w Polsce, płacą tu podatki, mają obowiązki, pracują dla swoich społeczności albo dla państwa, a w tej konkretnej sprawie muszą wyjeżdżać za granicę. To inny kraj daje im coś, czego nie daje im własny - Polska. Ich śluby w obcym miejscu, niekiedy także bez towarzystwa najbliższych, to czasem wydarzenia słodkogorzkie - stwierdził mecenas.

Wygląda jednak na to, że to szansa dla par jednopłciowych, które brak uregulowań w Polsce będą musiały po prostu obchodzić.

Współpraca: Remigiusz Biały, Aneta Kolesińska, PAP

eprasa.pl bb45e65d74

Polska
Piątek–niedziela, 22–24.05.2026

ŁUKASZ PAWŁOWSKI: DONALD TUSK JEST POLITYCZNIE BARDZIEJ SKONSOLIDOWANY NIŻ OPOZYCJA

– W Krakowie polityka lokalna miesza się z ogólnopolską. To jest duże miasto, które skupia uwagę polityków ogólnopolskich itd. Ale to nie jest główna oś napięcia. Powiedzmy sobie szczerze, gdyby Miszalski jako prezydent Krakowa nie był źle oceniany, to do referendum w ogóle by nie doszło – mówi Łukasz Pawłowski, prezes Ogólnopolskiej Grupy Badawczej

Agaton Koziński

Jaka będzie frekwencja w czasie zaplanowanego na tę niedzielę referendum w Krakowie?
Według prognozy wykonanej przez ośrodek OGB wyniesie ona w granicach 27-33 proc.

Z sondażu, który opublikowała OGB, wynika, że przekroczy ona 60 proc.
Tylko że to są sondażowe deklaracje. Rok temu podobnie referendum odbyło się w Zabrzu. Tam też w sondażach udział w nim deklarowało ok. 60 proc. mieszkańców miasta, a ostatecznie do urn poszło 25 proc. Spodziewam się, że w Krakowie ten odsetek będzie nieco wyższy – dlatego też mówię o frekwencji w granicach 27-33 proc.

Dlaczego w Krakowie będzie wyższy?
Gdy robiliśmy analogicznie badania w Zabrzu, to tam 27 proc. respondentów mówiło, że zagłosuje za pozostaniem ówczesnej prezydent Agnieszki Rupniewskiej. A ostatecznie w referendum wzięło udział 8-9 proc. jej zwolenników. W Krakowie wygląda to zupełnie inaczej. Tam 92 proc. osób chcących wziąć udział w referendum opowiada się za odwołaniem obecnego prezydenta Aleksandra Miszalskiego. To właśnie dlatego uważamy, że frekwencja w Krakowie będzie wyższa niż była w Zabrzu.

W Zabrzu frekwencja wyniosła 25 proc. W Krakowie musi ona przekroczyć 27 proc., żeby referendum było ważne.
Mamy bardzo niewiele przykładów podobnych referendów, w ostatnich latach właściwie tylko Zabrze. Określenie potencjalnej frekwencji na podstawie tylko jednego miasta jest bardzo trudne. Po Krakowie będziemy dużo mądrzejsi w tej sprawie, bo tak naprawdę zmiennych, które w takich sytuacjach należy analizować, jest więcej, choćby kwestie wieku, płci, czy wykształcenia głosujących. Dlatego w Krakowie spodziewam się frekwencji rzędu 27-33 proc. Widełki bardzo szerokie, ale z powodów, o których mówiłem przed chwilą, nie da się ich bardziej zawęzić.

Ale tak czy owak należy się nastawić na to, że Miszalski zostanie odwołany?
Tak. Musimy pamiętać o tym, że ten próg dla Miszalskiego jest tylko niewiele większy niż był w Zabrzu.

Cztery punkty procentowe wyżej.
Nieduża różnica. Tym bardziej, że w takich sytuacjach trzeba też brać pod uwagę opinie mieszkańców odnośnie ich prezydenta. Pod tym względem Miszalski w Krakowie jest oceniany dużo gorzej niż Rupniewska w Zabrzu. Jak zapytaliśmy w Zabrzu o potrzebę zmiany prezydenta, to twierdząco odpowiadało 46 proc. respondentów. W Krakowie ten odsetek niezadowolonych to 60 proc. Podobnie to wygląda, gdy pytaliśmy o oceny prezydentów w porównaniu do ich poprzedników. W przypadku Zabrza Rupniewską gorzej oceniało 40 proc. respondentów. W Krakowie – 43 proc. Czyli we wszystkich badaniach, które analizujemy, wyniki Miszalskiego są dużo gorsze, niż były Rupniewskiej w Zabrzu. Właśnie na tej podstawie spodziewam się teraz wyższej frekwencji.

Kraków jest jednak dużo większym miastem niż Zabrze. Dynamika może wyglądać zupełnie inaczej.
Zgadzam się – ale zakładamy, że z tego powodu deklaracje sondażowe mieszkańców Krakowa okażą się dużo bardziej zgodne z prawdą niż mieszkańców Zabrza. Ale faktem jest, że takie zmienne są zupełnie niepoliczalne. Będziemy mądrzejsi po referendum.

Ile w tych referendach samorządowych jest polityki lokalnej, a ile krajowej? W obu przypadkach mamy do czynienia z klasyczną polaryzacją między KO i PiS-em. Jaki to ma wpływ na wynik?
Na pewno w Krakowie polityka lokalna miesza się z ogólnopolską. To jest duże miasto, które skupia uwagę polityków ogólnopolskich itd. Ale to nie jest główna oś napięcia. Powiedzmy sobie szczerze, gdyby Miszalski jako prezydent Krakowa nie był źle oceniany, to do referendum w ogóle by nie doszło. Z prostej przyczyny: wyborców opozycyjnych w tym mieście jest zdecydowanie za mało, żeby do niego doprowadzić. Siłą napędową tego referendum stało się rozczarowanie Miszalskim, który jako prezydent jest gorzej oceniany niż był Jacek Majchrowski. Dopiero na drugim planie mamy politykę ogólnopolską, traktowanie tego referendum wyłącznie jako narzędzia do wyrażenia przez opozycję swojego sprzeciwu wobec rządu Donalda Tuska to błąd. Dokładnie tak samo wyglądało to w czasie przedterminowych wyborów w Rzeszowie.

Doszło do nich w 2021 r. po tym, jak niespodziewanie z funkcji zrezygnował wieloletni prezydent Tadeusz Ferenc.
W tamtych wyborach frekwencja była wyższa, niż była w normalnych wyborach samorządowych. Ale akurat w tym miejscu duże znaczenie miała polityka ogólnopolska. Ówczesna opozycja – Platforma, Lewica, PSL – miały pierwszą od dawna okazję wyrażenia swojego sprzeciwu wobec rządów PiS-u. Ta fala mobilizacyjna sprawiła, że popierany przez nią kandydat Konrad Fijołek wygrał w pierwszej turze. Ale w przypadku Krakowa z tego typu mobilizacją nie mamy do czynienia. Gdyby nie zła ocena przez mieszkańców Krakowa tego, jak rządzi Miszalski, to referendum nie miałoby szans.

Już słychać głosy, że jeśli Miszalski zostanie odwołany, to ruszy cała fala podobnych referendów m.in. w Gdańsku, Łodzi, czy Poznaniu. Realny scenariusz?
To próba łączenia tematów, których połączyć się nie da. Proszę zwrócić uwagę, że we wszystkich miastach, o których się dziś spekuluje, absolutnie dominuje Koalicja Obywatelska. Nawet więc jeśli by doszło w nich do takich referendów, to tylko ze względu na sytuację lokalną, a nie z powodu polityki ogólnopolskiej. Przecież nawet jeśli w Gdańsku władzę straci Aleksandra Dulkiewicz, to jest właściwie niemożliwe, żeby jej następcą został ktoś inny niż kandydat popierany przez Koalicję Obywatelską. Podobnie jest w Łodzi czy w Poznaniu. To nie są miasta, które czekają na referenda.

Już widzę polityków opozycji mówiących o fali niezadowolenia Polaków, gdyby takie referenda rzeczywiście miały mieć miejsce.
Na tej zasadzie już by można mówić o fali – bo przecież po Zabrzu mamy teraz Kraków. Na pewno te referenda są częściowo powiązane, samorządowcy w różnych miastach obserwują się nawzajem. Ale to za mało, żeby mówić o jakimś prawie serii, że sukces jakiegoś referendum w naturalny sposób przyniesie kolejny. Potrzebne są inne elementy.

Wspólnym mianownikiem byłby fakt, że ci wszyscy prezydenci są związani z jednym środowiskiem politycznym.
To jeszcze do tej listy można dorzucić Wrocław, gdzie problemy ma Jacek Sutryk. Są Gliwice, gdzie ostatnie wybory minimalnie wygrała Katarzyna Kuczyńska-Budka. Są Białystok i Lublin, których prezydenci tracą coraz bardziej popularność. Kluczowe do tego, by taki proces referendalny się rozpoczął, jest to, by w tych miastach był ktoś, kto mógłby ich ewentualnie zastąpić. Dlatego właśnie nie chcę mówić o żadnej krajowej fali, samorządy należy analizować jednostkowo. Każda z tych sytuacji wynika ze specyfiki lokalnej polityki.

Załóżmy, że w Krakowie rzeczywiście Miszalski zostanie odwołany i konieczne będą wcześniejsze wybory. Na ile okażą się one prologiem przed przyszłorocznymi wyborami parlamentarnymi?
Okazałyby się taką samą zapowiedzią wyborów, jaką stały się wybory w Rzeszowie w 2021 r. Gdy wtedy ówczesna opozycja skupiała się wokół Fijołka, pokazywała swoją mobilizację – i jego wygrana stała się przedsmakiem porażki PiS w wyborach parlamentarnych dwa lata później. Teraz byłoby podobnie.

Teraz Pan mówi, że jeśli Miszalski przegra, to w Krakowie kolejnym prezydentem będzie kandydat opozycji?
Nie. Oczywiście, w takich przedterminowych wyborach kandydat Koalicji Obywatelskiej miałby niższe szanse, ale nie byłby ich pozbawiony. Proszę pamiętać, że wyborców KO w Krakowie jest cały czas bardzo dużo. Według naszych sondaży, ta partia w tym mieście może liczyć na 45 proc. głosów. Wystarczająco dużo, żeby wprowadzić swojego kandydata do drugiej tury wcześniejszych wyborów. Nie będzie w niej faworytem, ale na pewno będzie miał swoje szanse.

Co dla opozycji może oznaczać taki lokalny sukces?
On przede wszystkim ułatwi jej mobilizację. Taki sukces zawsze dodaje animuszu i energii wyborcom. Wybory w 2027 r. staną się de facto referendum w stosunku do rządu Tuska – tak jak to miało miejsce w przypadku ubiegłorocznych wyborów prezydenckich. Przy takich referendach mobilizacja elektoratów jest kluczowa. Ale też nie ona przesądza, to tylko jeden z elementów.

Jakie szanse ma Tusk w takich wyborach? Sondaże CBOS regularnie pokazują paradoks – niskie zaufanie Polaków do premiera przy jednoczesnym ich zadowoleniu ze standardu życia. Wcześniej te wyniki były skorelowane. Jak Polacy byli zadowoleni z życia, to i z premiera – i na odwrót. Teraz po raz pierwszy te wartości się rozjechały. Co to oznacza?
W badaniach wykonywanych przez OGB dane dotyczące jakości życia trochę się różnią od tych, które pokazuje CBOS. W nich mocno wybrzmiewa fakt, że rząd jest bardzo źle oceniany. Mimo to Koalicja Obywatelska ma regularnie 36-38 proc. poparcia w naszych sondażach. To wynika z tego, że wyborcy, którzy głosowali na Rafała Trzaskowskiego w drugiej turze wyborów prezydenckich, nie mają alternatywy. Mogą głosować tylko na Koalicję.

Chyba że w końcu się nią zmęczą.
To nie będzie przesądzające. Proszę zobaczyć, jak to skoń-

eprasa.pl bb45e65d74



FOT. PAP/ŁUKASZ GĄGULSKI

Prezydent Krakowa Aleksander Miszalski spotkał się z węgierskim premierem Peterem Magyarem

czyło się na Węgrzech. Viktor Orbán przegrał nie dlatego, że Węgrzy byli zmęczeni jego stylem zarządzania państwem, tylko dlatego, że zaczęło im się gorzej żyć. To przesądziło, nic więcej.

Czyli dziś się emocjonujemy liczbą żołnierzy amerykańskich w Polsce, ale z perspektywy wyborów te kwestie są właściwie nieistotne?
Aż tak nie można ich lekceważyć, swoje znaczenie mają. Ale to są tematy numer trzy czy cztery w kolejności ważności. Zawsze podstawowym kryterium jest grubość portfela.

Wspomniał Pan, że wyborcy liberalni mogą głosować tylko na KO. Jest w Polsce miejsce na nową partię?
Miejsce jest, co pokazał sukces Grzegorza Brauna, który tak naprawdę z niczego zrobił czwarty wynik w wyborach prezydenckich, a w sondażach ma regularnie dwucyfrowy wynik. Dokładnie taka sama potrzeba rozszczelnienia systemu występuje po stronie liberalnej.

Czyli spodziewa się Pan po niej nowego ugrupowania?
Nie. Proszę zwrócić uwagę, że nowe partie po tamtej stronie powstawały wtedy, gdy lider Platformy był słaby. Nowoczesna wyrosła, gdy PO kierowała Ewa Kopacz, z kolei Polska 2050 weszła do gry, kiedy na czele Platformy stał Borys Budka. Tymczasem Donald Tusk jest silnym przywódcą, i rządu i partii.

Ale też skrajnie niepopularny.
Ok. Załóżmy, że jakiś przedsiębiorca z sukcesami dostrzega to samo i postanawia wejść do polityki, zakładając centrowo-liberalną partię. Taką partię, która zabiera głosy Koalicji Obywatelskiej. Jego głównym przeciwnikiem staje się więc Donald Tusk – premier, ma pełnię władzy w partii i w rządzie. W takiej sytuacji taki przedsiębiorca pięć razy się zastanowi, czy chce rywalizować z kimś takim. Moim zdaniem ten element przesądzi o tym, że nowego ugrupowania jednak nie zobaczymy. Ten niezadowolony elektorat próbuje dziś zgromadzić wokół siebie PSL, by w ten sposób wejść na poziom powyżej 5 proc. Ale nie spodziewam się, żeby wyrosła nowa Polska 2050.

W ostatnich trojgu wyborach dwa razy wygrywał PiS, otrzymując premię za jedność – ale w ostatnich wyborach sukces odniosła opozycja, która zgarnęła premię za rozproszenie pozwalające jej dotrzeć do szerszego elektoratu. Co będzie premiowane za rok: jedność czy rozproszenie? Lepiej będzie iść ławą czy wbijać klin?
W wyborach 2023 r. ówczesna opozycja otrzymała prawie 54 proc. głosów. Dzisiaj partie, które współrządzą, mogą łącznie liczyć na 49 proc. Takie są realne koszty rządzenia. Nie spodziewam się, żeby strona liberalno-lewicowa w wyborach dostała więcej. W takiej sytuacji najlepszym rozwiązaniem dla Tuska jest konsolidacja, która pozwoli wycisnąć maksa z metody d'Hondta.

Spodziewa się Pan wspólnej listy koalicji rządzącej?
Ona wystartuje na jednej albo dwóch listach. Chodzi przede wszystkim o to, żeby nie zmarnowały się głosy oddane na partie, które spadłyby poniżej progu wyborczego.

Dziś poniżej tego progu są PSL i Polska 2050. Lewica tańczy tuż nad nim.
Te partie będą się konsolidować – w ten albo inny sposób. I taka konsolidacja może wystarczyć, bo z drugiej strony prawica ma odwrotny problem – problem rozproszenia. Karol Nawrocki wygrał, bo elektorat prawicowy się zjednoczył. Ale obecnie jest on podzielony na trzy partie. Nie ma szans, żeby się połączył i wystartował z jednego komitetu.

Ale może im więcej szyldów, tym lepiej? Tak jak to pomogło liberalno-lewicowym partiom w 2023 r.
Nie. Przede wszystkim dlatego, że system d'Hondta nie premiuje mniejszych partii. Załóżmy, że powstanie partia Mateusza Morawieckiego. Pewnie zdobyłaby ona wynik w granicach 6-7 proc. co przełożyłoby się na 10-11 mandatów. Tyle że te same 6-7 proc. zdobyte w ramach PiS przyniosłoby dodatkowych 30 mandatów. Właśnie z tego powodu konsolidacja partii prawicowych jest dla nich bardziej opłacalna. Tyle że takich ruchów nie widać – i nie ma na nie szans.

Prawicę mocno dzieli hasło polexitu. Jest w ogóle możliwość, by to ominąć?
Teraz ten temat ucichł, nie ma go.

Ale wróci w kampanii wyborczej. Teraz jest niepotrzebny.
Pewnie wróci – i to dla prawicy będzie duży problem, gdyż mocno ją on dzieli, gdy druga strona jest skonsolidowana wobec pozostania w Unii Europejskiej i będzie w tej sprawie mówi jednym głosem. Zresztą niewygodne są dla niej także inne tematy, choćby związane z aborcją czy związkami partnerskimi. Rok 2027 może być trudny dla prawicy.

Wybory 2027 r. zapowiadają się bardzo wyrównane. Co więc przesądzi?
Przy remisie decydować będzie premier. Tuskowi będzie łatwiej z tego względu, że jest politycznie bardziej skonsolidowany. Ma władzę, podejmuje decyzje, jest sprawczy. Nawet jeżeli zabraknie mu pięciu mandatów do utrzymania władzy po wyborach, to je sobie dobierze z innych ugrupowań. To będzie prostsze niż klejenie przez Kaczyńskiego koalicji z trzech czy czterech bardzo różnych partii.

A przy remisie nie może decydować prezydent? Karol Nawrocki cały czas jest bardzo popularny.
Tak – ale jego poparcie już jest w kartach. Nawrocki nie przynosi ze sobą nowych wyborców, w tym sensie jego poparcie nie okaże się przesądzające.

Mówi się, że Nawrocki będzie patronować prawicowemu paktowi senackiemu.
Jeżeli prawica się dogada co do paktu senackiego, to ma bardzo dużą szansę, żeby wygrać wybory do Senatu. Według naszych prognoz mogłaby zdobyć w nim 53-54 mandaty. Ale tak się stanie tylko wtedy, gdy ten pakt uwzględni Brauna. Bez niego ten pomysł nie wypali. Ale na Sejm to się nie przełoży. Nie można wykluczyć swoistej powtórki z 2019 r., kiedy opozycja kontrolowała Senat – ale nie mogła zagrozić dominacji PiS w Sejmie.

REKLAMA 0111461412



eprasa.pl bb45e65d74

Polska
Piątek–niedziela, 22–24.05.2026

PROF. LEWICKI: NIE ROZUMIEM, DLACZEGO AMERYKANIE TAK POSTĄPILI W SPRAWIE ZIOBRY

–Nie przesądzam, nie mam prawa, o winie czy niewinności byłego ministra, ale wiadomo, że jeżeli toczy się postępowanie sądowe czy prokuratorskie, to człowiek, który ucieka przed tym postępowaniem, przyznaje się pośrednio do winy. Jeżeli rzeczywiście to prawda, że decyzję o przyznaniu wizy Ziobrze i wpuszczeniu go do USA podjął zastępca sekretarza stanu, to jest to nieprawdopodobny polityczny skandal – mówi prof. Zbigniew Lewicki, politolog, amerykanista

Dorota Kowalska

Panie profesorze, trzydziestu amerykańskich lekarzy wydało oświadczenie, w którym wyrażają swoje zaniepokojenie stanem fizycznym i psychicznym Donalda Trumpa. Określają go jako „wyraźne i bezpośrednie zagrożenie dla bezpieczeństwa świata" i apelują o to, żeby usunąć Trumpa z urzędu. Co pan o tym myśli?
Dwie sprawy. Po pierwsze, jest absolutnym skandalem - amerykańskie stowarzyszenie psychiatrów wydało w tej kwestii oświadczenie - by lekarz wypowiadał się o pacjencie, którego nie zbadał, nie widział i nic na jego temat nie wie, poza tym, co czyta w gazetach. To jest absolutnie nieprofesjonalne! Po drugie, w Stanach Zjednoczonych jest około miliona lekarzy i zawsze znajdzie się trzydziestu nieodpowiedzialnych, niemądrych, przeciwników Trumpa, bo o to bardzo łatwo, którzy będą chcieli zabłysnąć w opinii publicznej swoim „bezkompromisowym sądem". To jest bezwartościowe i stanowi zaprzeczenie etyki lekarskiej.

Tylko o stanie psychicznym Donalda Trumpa mówi się od dawna. Z czego to się bierze, pana zdaniem?
Wie pani, mówić można. Trump jest ulubionym chłopcem do bicia dla amerykańskich elit, szczególnie tzw. liberalnych, po naszemu lewicowych. Oni wykorzystają każdą kwestię albo ją tworzą, jeżeli jej nie ma, by wykazać, że Trump się na urząd prezydenta nie nadaje, że jest chory. Oczywiście on ma swoje lata i mogą mu się zdarzyć przejęzyczenia albo fizyczne potknięcie, albo cokolwiek innego, ale stąd jest bardzo daleko do stwierdzenia, że nie spełnia zdrowotnych wymogów urzędu. Trzeba pacjenta zbadać, trzeba go poddać rozmaitym testom, potem te testy opublikować, a nie mówić: „Mnie się wydaje, że on się nie nadaje". Tak można powiedzieć o każdym. Każdy z nas ma wrogów, o których mniej lub bardziej słusznie mówi: „wariat" albo „dureń". W tym wypadku tą osobą jest prezydent i jest modne, dobrze robiące w towarzystwie, jeżeli się ktoś w ten sposób wypowie, ale to jest skandaliczne. I, jak mówię, amerykańskie stowarzyszenie psychiatrów już dawno, za pierwszej kadencji Trumpa, wydało jednoznaczne stwierdzenie, że nie wolno wydawać diagnoz nie widząc pacjenta i nie badając go.

Zabawię się w adwokata diabła, ale jednak pewna nieprzewidywalność Donalda Trumpa…
Tu pani przerwę. Oczywiście, że tak. Nieprzewidywalność jest jego taktyką polityczną. Nie on to wymyślił. To wymyślił Monteskiusz, który powiedział bardzo wyraźnie - nie mam cytatu pod ręką - że jeżeli będziesz nieprzewidywalny, to będziesz silniejszy. I tak rzeczywiście jest! Jeżeli nieprzyjaciel, a nawet przyjaciel, nie wie, co chcę zrobić, to jestem silniejszy. I to jest jego taktyka, której się nie wstydzi i którą praktykuje od czasu pierwszej kadencji. Przerwałem pani, ale od razu chciałem tę kwestię nieprzewidywalności wyjaśnić.

Myśli pan, że wycofanie tych czterech tysięcy żołnierzy….
Zaraz, zaraz, znowu pani przerwę, ale to w tej chwili już zostało wyjaśnione, prawda? Wiadomo, że to było z góry zaplanowane, że nie chodziło o wycofanie, tylko o wstrzymanie rotacji, że potrzebni byli żołnierze na granicy z Meksykiem i trzeba ich było ściągnąć z Europy. Tylko nasz kochany MON i nasz kochany szef sztabu nie przeczytali tego, co powinni byli przeczytać. Nie przeczytali jawnych informacji z Waszyngtonu, nie wsłuchali się w zeznania w Izbie Reprezentantów i byli zaskoczeni, zwłaszcza własną niewiedzą, własną nieumiejętnością pilnowania spraw w Waszyngtonie. To nie jest wycofanie, to jest wstrzymanie rotacji z powodów wewnętrznych.

Powoli, zaskoczeni byli nawet amerykańscy kongresmeni, bo administracja Trumpa nie uzgodniła tych decyzji z Kongresem, a powinna. Część tych wojsk była już w Polsce, zgadza się pan ze mną?
Tak.

Część transportu była w drodze, więc nie była to przemyślana i zaplanowana wcześniej decyzja, tylko decyzja podjęta w ostatniej chwili.
Nie do końca. Ta decyzja została podjęta w ostatniej chwili, ale nie wtedy, kiedy myśmy się o niej dowiedzieli, tylko znacznie wcześniej. Została podjęta wskutek tego, że zabrakło żołnierzy na granicy meksykańskiej. To był prawdziwy powód. Ten ruch był zapowiedziany i znany w Waszyngtonie przynajmniej tydzień przed tym, kiedy u nas pojawiły się o tym informacje w gazetach. Także tak, to rzeczywiście były decyzje podjęte pod wpływem okoliczności. Przecież zdarza się, że z jakichś powodów trzeba wzmocnić gdzieś siły wojskowe. To nie miało nic wspólnego z Polską. To po prostu było działanie na potrzeby wewnętrzne.

To skąd to oburzenie kongresmenów? I Republikanów i Demokratów dodajmy.
Z dwóch powodów. Pierwszy jest ten, o którym wspomniałem, że krytyka prezydenta i jego ludzi jest zawsze mile widziana.

Nawet przez Republikanów?
Częściowo tak. Przecież część Republikanów głosowała za tym, żeby Trumpa poddać impeachmentowi. Tam nie ma dyscypliny partyjnej. A po drugie, to kwestia niedoinformowania. Być może chodzi też o to, żeby grać na zdobycie głosów wyborców, bo nie wiem do końca, skąd są ci kongresmeni, którzy się tak wypowiadali. Tymczasem zbliżają się wybory do Kongresu i widocznie kandydujący w nich o powtórny wybór kongresman wykalkulował sobie, że będzie mu się opłacało krytykować Trumpa i „bronić Polski", bo na jego terenie tak myślą ludzie albo jest wielu Polaków. Tego do końca nie wiem, przyznam.

Kilku republikańskich kongresmenów krytykowało tę decyzję. Wszyscy tak sobie wykalkulowali?
Trzech czy czterech Republikanów, jeśli dobrze pamiętam. Wie pani, tam jest kilkuset kongresmenów, w związku z tym to się zdarza. Powtarzam, w Kongresie nie ma dyscypliny partyjnej, tam każdy walczy o wybór wśród wyborców, nie wchodzi się do Kongresu z list partyjnych.

Ale przyzna pan, że notowania Republikanów lecą w dół?
Nie wiem. Tak wykazują pewne badania opinii publicznej. Prawdziwe notowania będą oczywiste w listopadzie, podczas wyborów. Oczywiście, że Demokraci wygrają te wybory, bo zawsze wygrywa je partia, która nie jest w Białym Domu. Pytanie, z jaką różnicą. I na ile to ich zwycięstwo będzie wielkie, a na ile normalne, takie, jakie się powtarza co kilka lat. Wszyscy doskonale wiemy, jak się robi badania opinii, jak zadaje pytanie. Istnieje mnóstwo sposobów na zapytanie tej samej grupy ludzi w różny sposób, co skutkuje zupełnie innymi rezultatami. Więc owszem, czytam te badania opinii, ale uważam, że to głos wyborcy jest ważny. Głos człowieka, który odpowiada na telefoniczną czy internetową ankietę, to ułamek ważności. To samo bym powiedział, gdyby było więcej głosów na Trumpa, a nie na jego przeciwników.

Co kierowało administracją Trumpa, która zdecydowała się na udzielenie schronienia Zbigniewowi Ziobrze?
To jest coś niebywałego! Czytam informację, którą podał Reuters, że była to decyzja zastępcy sekretarza stanu i muszę powiedzieć, że zaskoczyło mnie to ogromnie. Co więcej, Reuters pisze też, że ta decyzja zastępcy sekretarza stanu została podjęta pod wpływem opinii ambasadora amerykańskiego w Warszawie. Jeżeli to jest prawda, to nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Nie przesądzam, nie mam prawa, o winie czy niewinności byłego ministra, ale wiadomo, że jeżeli toczy się postępowanie sądowe czy prokuratorskie, to człowiek, który ucieka przed tym postępowaniem, przyznaje się pośrednio do winy. Więc jeżeli rzeczywiście to prawda, że decyzję podjął zastępca sekretarza stanu, to jest to nieprawdopodobny polityczny skandal. Ciekawe, jak na to zareaguje polski minister spraw zagranicznych, który swego czasu powoływał się, jeśli dobrze pamiętam, na rozmowę z ambasadorem Rose'em na ten temat. Więc ciekawi mnie dalszy rozwój sytuacji, ale to wstrząsająca wiadomość.

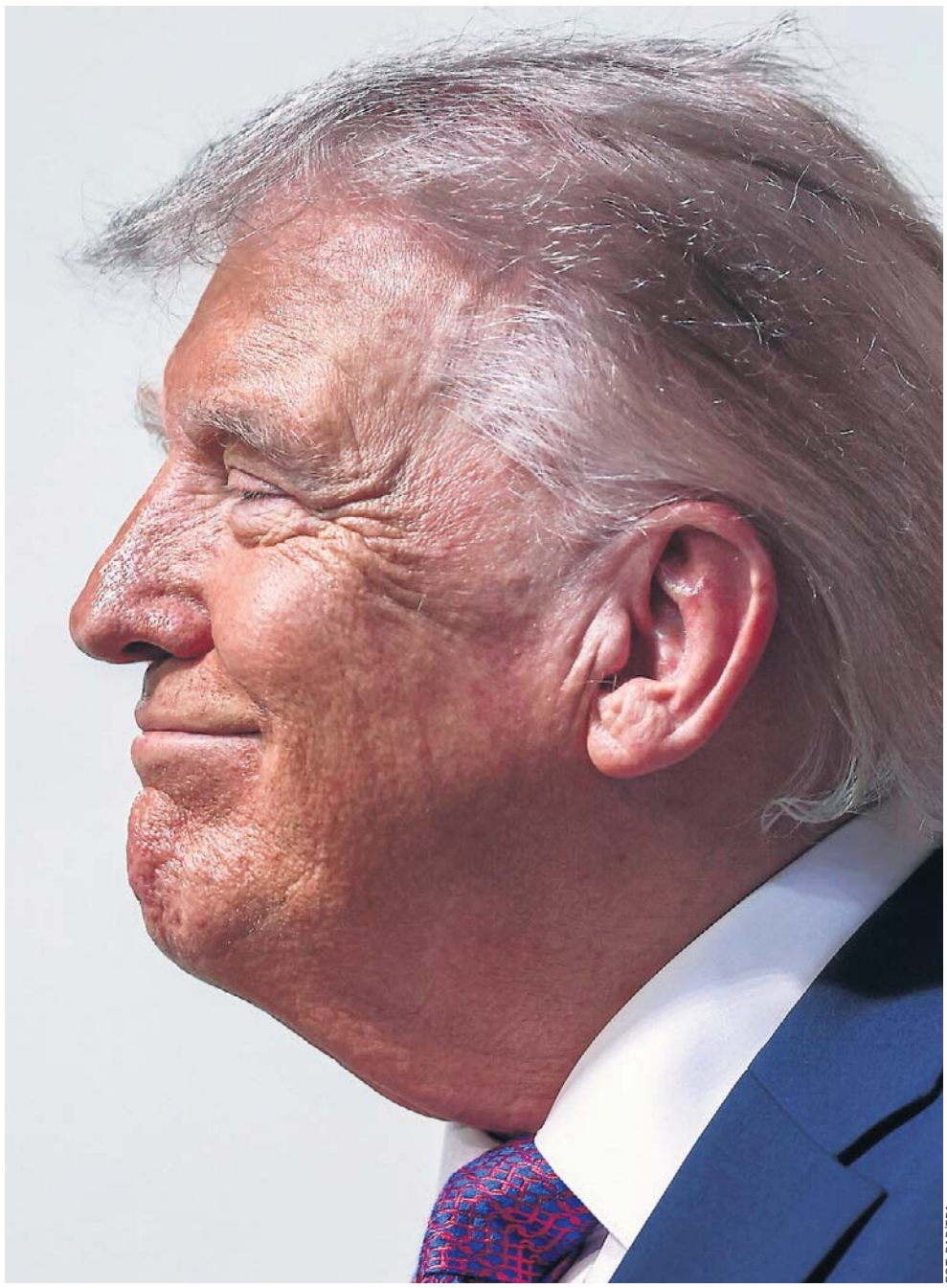
Wstrząsająca dlaczego? Bo świadczy o tym, że ktoś się miesza w polskie sprawy?
Tak. Świadczy o tym, że wysoki urzędnik demokratycznego państwa uważa za możliwe udzielenie pomocy osobie, która ucieka przed wymiarem sprawiedliwości, bo to jest ucieczka przed wymiarem sprawiedliwości, nie przesądzając o wyroku sądowym, ale toczy się postępowanie prokuratorskie, śledczy chcą postawić panu Ziobrze dwadzieścia sześć zarzutów. Być może wszystkie zostaną obalone w sądzie, tego nie można wykluczyć, ale dopóki to postępowanie się toczy, to osoba, która nie stawia się u prokuratora i ucieka z jednego kraju do drugiego, do trzeciego, jest uciekinierem przed prawem. I to w amerykańskich realiach tak jest odbierane. Więc nie rozumiem, dlaczego Amerykanie tak postąpili. No chyba że są dodatkowe elementy, których się jakoś tam domyślam, ale o których nie będę mówił.

Ale jakie to argumenty?
To jest domysł i to bardzo daleko idący, kto w Stanach Zjednoczonych mógłby mieć interes pomocy polskiemu ministrowi.

Kto?
Nie będę o tym mówił. Koniec kropka.

Dobrze, wojna z Iranem to porażka Donalda Trumpa?
To nie jest zwycięstwo Ameryki. Nie ma wątpliwości, że amerykańscy wojskowi nie docenili siły militarnej Iranu. Oczywiście Ameryka tego konfliktu nie przegrała i nie może przegrać, ale długotrwały i skuteczny opór Iranu jest zaskoczeniem chyba dla wszystkich i źle świadczy o amerykańskim wywiadzie wojskowym. Nie o samym Trumpie. On przecież musi polegać na tym, co dostaje od ludzi odpowiedzialnych za pewne kwestie. Ale jest to

eprasa.pl bb45e65d74



FOT. PAP/EPA

Prof. Lewicki: Jak oceniam Trumpa? Jeśli chodzi o tę kadencję, zobaczymy, jak się zakończy konflikt z Iranem, bo to jest kluczowa sprawa

porażka administracji, wizerunkowa na pewno. A militarnie „niezwycięstwo", jeśli mogę tak to określić.

Kto Trumpa namówił na tę wojnę? Benjamin Netanjahu?
Netanjahu na pewno do tego dążył, ponieważ Izrael ma prawo czuć się zagrożony przez fakt, że Iran konstruuje bombę atomową. Skoro takie państwo jak Iran, które ma ropę, nie potrzebuje energii jądrowej, poświęca tyle czasu i tyle pieniędzy na oczyszczanie uranu, żeby stworzyć bombę atomową, to tylko po to, by jej użyć. Przeciwko komu może tej broni użyć? Przeciwko Arabii Saudyjskiej bądź przeciwko Izraelowi. W związku z tym w interesie Izraela leży niedopuszczenie do tego, by Iran tę bombę ostatecznie stworzył. Zresztą powiem szczerze, też czuję się bezpieczniejszy jako mieszkaniec Ziemi, jeżeli Iran nie ma bomby atomowej, ponieważ, powtarzam, on byłby zdolny jej użyć. Chiny nie, Indie nie, Pakistan nie. To są odpowiedzialne państwa. Iran jest państwem chaotycznie zarządzanym. W związku z tym ktoś mógłby taką decyzję podjąć. A jak użyto by pierwszej bomby atomowej, to następnych użyto by chwilę później.

Kto jeszcze oprócz Netanjahu mógł wpływać w tej kwestii na Donalda Trumpa?
Myślę, że w Stanach Zjednoczonych jest bardzo silne lobby proizraelskie, które wychodzi z tych samych założeń. Tym bardziej że Izrael parł do interwencji. Przecież to nie jest pierwsza interwencja w Iranie, jeśli chodzi o instalacje atomowe. Już wcześniej był i atak z powietrza, i atak wirusem, więc rozmaite kroki w tym kierunku były już podejmowane. Na pewno istnieje duża grupa strategów z jednej strony, a sympatyków Izraela z drugiej, którzy z różnych powodów myślą, że nie można pozwolić Iranowi na to, by zbudował i mógł użyć broni atomowej.

Tylko wszyscy odczuwamy skutki tej wojny. Blokada cieśniny Ormuz daje nam się we znaki.
Odczuwalibyśmy mocniej, gdyby Iran miał i użył broń atomową, prawda?

Do tej pory nie użył.
Bo nie miał jeszcze tej bomby. Czasami tego typu działanie wyprzedzające jest bardzo potrzebne i skuteczne. Nie chcę daleko sięgać, ale gdyby w 1939 roku Wielka Brytania i Francja uderzyły na Hitlera, zanim on uderzył na Francję, to też wszystko potoczyłoby się inaczej. Ne zawsze trzeba czekać, aż ta druga strona, która zagraża pokojowi, zrealizuje swoje pomysły. Istnieje pojęcie wojny wyprzedzającej, które jest uzasadnione właśnie tym, że trzeba czasami nie dopuścić do pierwszego ataku.

Strefa Gazy to, pana zdaniem, sprawa zamknięta?
Wydaje mi się, że tak. O przyszłości trudno mówić, ale wydaje mi się, że tak. Tam dochodzi co najwyżej do jakichś incydentalnych ataków. W tej chwili stanie kwestia, która trochę poszła w zapomnienie, to znaczy sprawa odbudowy Strefy Gazy i kosztów z tym związanych. Przez interwencję w Iranie ta sprawa trochę się odsunęła na dalszy plan, ale wróci. Cały czas mówiłem, że najlepszym sposobem zakończenia konfliktu palestyńsko-izraelskiego jest gwałtowne podniesienie poziomu życia Palestyńczyków. Dużo pieniędzy było tam wpompowanych, dużo pieniędzy Arafat ukradł, ale jeżeli nie ma się nic do stracenia, to wtedy działanie samobójczo-rozbójnicze jest normalne, natomiast jeżeli ma się dużo do stracenia, jest inaczej. Weźmy układ niemiecko-francuski Alzacja Lotaryngia, prawda? W chwili, kiedy jedna i druga strona może dużo stracić wywołując konflikt, żadna strona go nie wywołuje. To oczywiste. Więc, jeżeli uda się Gazę odbudować, to sądzę, że nie dojdzie do powtórzenia tych wydarzeń, jakie widzieliśmy z jednej albo z drugiej strony, bo z jednej strony był napad, z drugiej strony była zemsta. Jeżeli obie strony będą uważały, że więcej stracą niż zyskają, to ten konflikt się zakończy.

Nie ma pan wrażenia, że po tym, co dzieje się w Strefie Gazy, w Iranie, na świecie rosną nastroje antyizraelskie?
Oczywiście, że tak! Tylko nie można rozgraniczyć, co jest antyizraelskie, a co jest antysemickie. W tej chwili antysemityzm jest niemodny, więc pojawia się antyizraelizm. Gdzieś ta granica jest zatarta. Nikt nie potrafi powiedzieć, na ile taki czy inny zamach, takie czy inne wystąpienie publiczne jest tylko antyizraelskie, czy także ma element antysemicki. Ja tego nie wiem, nikt tego nie wie. To też przybiera takie, nazwijmy to, nienormalne formy. Na przykład kwestia głosowania w konkursie Eurowizji. Paranoja kompletna! Obrzuca błotem jurorów za to, że uznali, iż jakaś piosenka izraelska jest dobra czy nawet bardzo dobra. Absurd!

Donald Trump odpuszcza sobie trochę Europę?
Co to znaczy odpuszcza Europę? Jest rozczarowany Starym Kontynentem, tak jak był rozczarowany Europą Obama swego czasu. Był przecież w Europie, prosząc o pomoc w interwencji w Afganistanie i tak naprawdę wszyscy mu pokazali figę z makiem. Trump też jest rozczarowany Europą, bo uważa, że skoro Europa przez tyle lat polegała i nadal polega na Stanach Zjednoczonych, jeśli chodzi o jej bezpieczeństwo, to ma prawo oczekiwać, że wesprze go tam, gdzie Ameryka potrzebuje wsparcia. Kiedy nastąpił atak w Nowym Jorku 11 września, wszyscy podnosili, że NATO powołało się na artykuł piąty i przyszło z pomocą Bushowi, ale mało kto pamięta, że to zajęło dwa i pół tygodnia, jeśli nie trzy tygodnie. Tyle trzeba było czasu, żeby NATO zdecydowało się na ofertę pomocy, kiedy nastąpił atak na Stany Zjednoczone. Więc ta nierównowaga jest nieprawdopodobna. Gdyby na nas napadł ktoś zza zachodniej granicy, a Stany Zjednoczone czekały trzy tygodnie z ofertą pomocy, to wiadomo, czym by się to skończyło.

Tak, tylko na Stany Zjednoczone nikt nie napadł, to Donald Trump wypowiedział wojnę Iranowi. Sytuacja jest zupełnie inna.
Zgadza się, ma pani rację, formalnie biorąc Europa mogła powiedzieć Trumpowi: „Przepraszamy bardzo, na drzewo, nie pomożemy". Mogła. Tyle tylko że to ma konsekwencje. Jeżeli ma pani sojusz z kimś, czy po ludzku mówiąc przyjaźń, i ta druga strona mówi: „Pomóż mi" to czy o przyjaźni świadczy, że pani się zastanawia, a potem mówi: „Pomyślę. Nie, raczej nie". Nie na tym to polega. Jeżeli oczekuję, żeby ktoś mi pomógł, to sam też muszę pomagać.

Jaki przyjaciel straszy sojuszników cłami, obrzuca błotem europejskich przywódców? Teraz Donald Trump obraził się nawet na premier Włoch Giorgia'e Meloni, do niedawna swoją ulubienicę. Na pewno przyjaciel?
A nie pamięta pani ile razy i jak konsekwentnie przywódcy europejscy, europejska opinia publiczna obrażała Trumpa? Od tego zaczęliśmy.

Nie przypominam sobie, żeby jakiś europejski przywódca oficjalnie obraził Donalda Trumpa!
To prawda. Trump jest inny i mówi rzeczy, których inni nie mówią. Ale tak naprawdę, to lekceważenie, czy negatywne komentarze zdarzały się. Może mniej formalnie niż trumpowskie, bo on ma inny styl. Ale wie pani, jeżeli mocarstwo, takie jak Stany Zjednoczone, które przez ponad pół wieku finansowało bezpieczeństwo Europy, prosi o wsparcie, to czy to jest moment, żeby się zastanawiać nad tym, czy tego wsparcia warto, czy nie warto udzielić?

Myśli pan, że Stany Zjednoczone odpuszczą Tajwan?
Nie, absolutnie nie. Gdyby tak się stało, to dopiero byłaby prawdziwa klęska i militarna i wizerunkowa i wszystko inne Stanów Zjednoczonych.

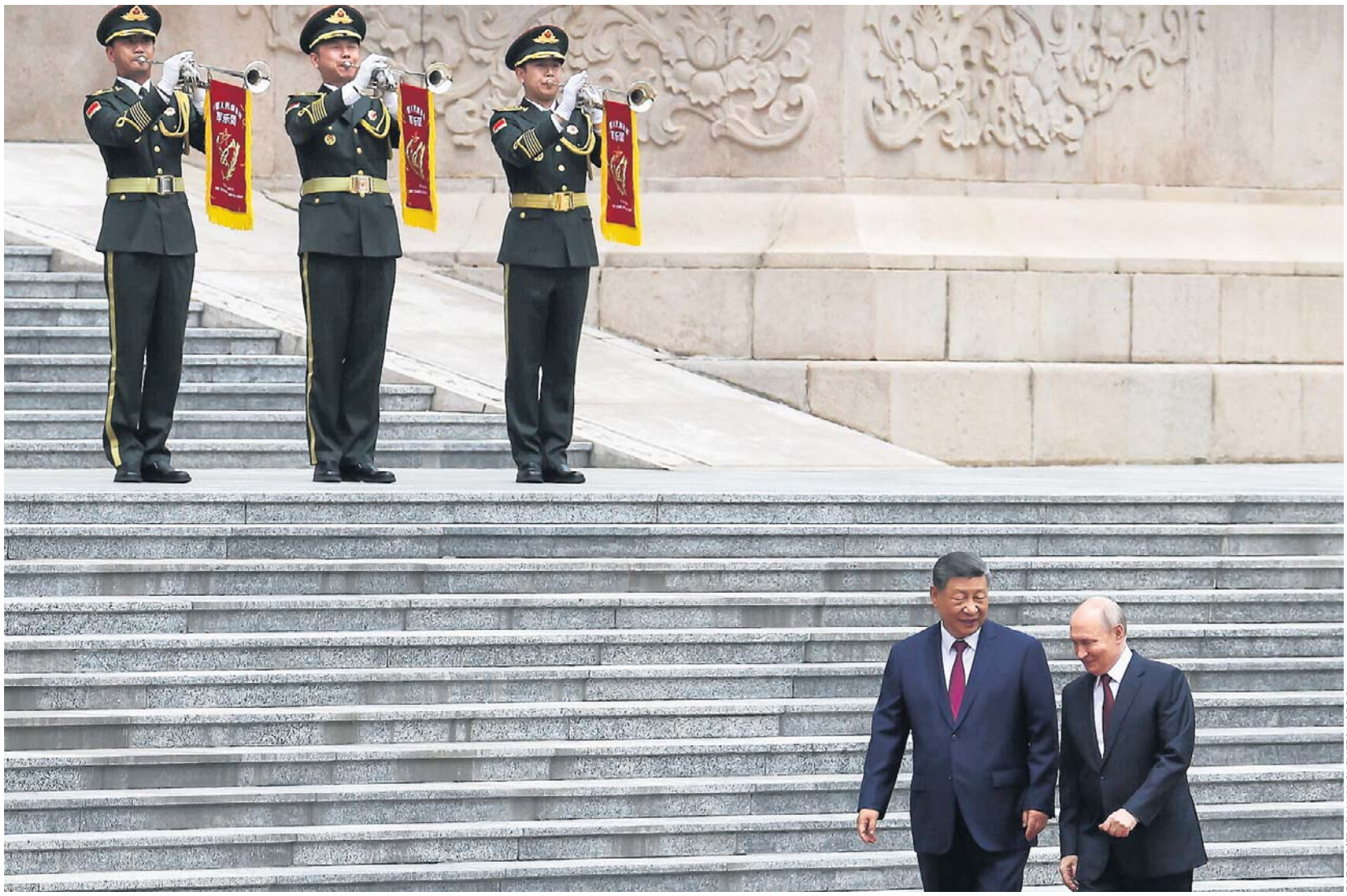
Ale tę ostatnią wizytę Trumpa w Chinach i jeden, i drugi przywódca oceniają bardzo pozytywnie.
Nie wiadomo, co tam się naprawdę działo. Czytam różne komentarze, one są od ściany do ściany. Jedne mówią o wielkim zwycięstwie Xi, drudzy o wielkim zwycięstwie Trumpa. Nie wiem, co tam się odbywało za zamkniętymi drzwiami. Pomijam już fakt, że inwazja Chin na Tajwan wcale nie byłaby taka oczywista i prosta. Pamiętajmy, że jedyny konflikt wojskowy, jaki w ciągu ostatniego prawie wieku miały Chiny, to było starcie z Wietnamem na tym kawałku granicy. I Wietnam wcale nie przegrał, wręcz przeciwnie, wygrał. My nie wiemy, jaki jest stan armii chińskiej, czy ona jest gotowa do walki, czy jest przyzwyczajona do warunków bojowych. Owszem, jest duża, to prawda, ale to tyle. Nic nie wiemy o ich gotowości zbrojnej. Tymczasem Tajwan to ogromna wyspa, to nie jest Uznam ani Wolin. To ogromna wyspa z silnym przygotowaniem militarnym, bardzo dobrze uzbrojona w nowoczesną broń. Inwazja Chin wcale nie byłaby taka łatwa. Chiny mówią o tym, ale nie sądzę, żeby zdecydowały się na inwazję.

Jak pan myśli, Donald Trump, uprawiając politykę, kieruje się wartościami, dobrem Amerykanów czy bardziej swoim własnym interesem, patrz - biznesem?
Przede wszystkim na pewno dobrem Amerykanów. Każdy polityk musi kierować się dobrem swego państwa albo popełnia zdradę. Polski polityk też musi mówić: „Polska przede wszystkim", a francuski: „Francja przede wszystkim". Więc to po pierwsze. Po drugie, pojawiają się informacje, jakoby Trump zarabiał na prezydenturze. Nie wiem, nie znam szczegółów. W historii Stanów Zjednoczonych byli różni prezydenci, byli także prezydenci skorumpowani, byli prezydenci, którzy czerpali osobiste zyski z prezydentury. W związku z czym nie jest to sprawa absolutnie wyjątkowa, jeśli chodzi o historię Stanów Zjednoczonych. Niemniej, trzeba to wykazać, udowodnić, pokazać w sądzie, bo rzucać oskarżeń tak po prostu nie można. To jest niepoważne, co nie znaczy, że to jest niemożliwe. Jak powiedziałem, w historii Stanów Zjednoczonych takie wypadki bywały.

Pan ten czas drugiej kadencji prezydentury Donalda Trumpa ocenia dobrze?
Jeszcze niczego nie ocenię. Dobrze oceniałem pierwszą kadencję Trumpa, jeśli chodzi o politykę zagraniczną. Natomiast jeśli chodzi o tę kadencję, zobaczymy, jak się zakończy konflikt z Iranem, bo to jest kluczowa sprawa. Oczywiście pomoc amerykańska dla Ukrainy też jest bardzo istotna. Ale poczekajmy przynajmniej do połowy tej kadencji, nie spieszmy się z ocenami w jedną lub drugą stronę.

eprasa.pl bb45e65d74

FOTO*komentarz tygodnia*



FOT. PAP/EPA/MAXIM SHEMETOV / POOL

20 MAJA, CHINY

Równo tydzień po wizycie w Pekinie Donalda Trumpa pojawił się tam Władimir Putin. Rosyjski prezydent spotkał się z Xi Jinpingiem. Na poziomie oprawy i deklaracji można było odnieść wrażenie, że Moskwa w oczach Pekinu znaczy tyle samo co Waszyngton, a „przyjaźń bez granic" Putina i Xi to szczera deklaracja. Ale na poziomie konkretu tak dobrze to dla Putina nie wyglądało. Xi delikatnie, acz wyraźnie podkreślał, że nie traktuje go jako równorzędnego partnera. I nie za bardzo widać, by rosyjski prezydent - poza ładnymi słowami - coś innego ze sobą do Moskwy zabrał w drodze powrotnej



FOT. MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE PÉTERA MAGYARA

19 MAJA, KRAKÓW. **Nowy premier Węgier Péter Magyar złożył wizytę w Polsce. Niekonwencjonalną - do naszego kraju przyjechał pociągiem oraz rejsowym samolotem. W Polsce pojawił się w Krakowie, Warszawie i Gdańsku. Wszędzie Magyara przyjmowano z entuzjazmem. Chyba odwzajemnionym**



FOT. SYLWIA DĄBROWA

18 MAJA, WŁOCHY. **Karol Nawrocki spotkał się w Rzymie z włoską premier Giorgią Meloni. Wizyta polskiego prezydenta była połączona z obchodami 82. rocznicy zdobycia Monte Cassino**



FOT. PAP/MARCIN BIELECKI

21 MAJA, SZCZECIN. **Jak co roku Nocny Bieg Studentów otworzył Juwenalia organizowane przez szczecińskich studentów. Bieg o tyle nietypowy - bo nie o kilometry w nim chodzi, co o efektowny strój**

eprasa.pl bb45e65d74



eprasa.pl bb45e65d74

Polska
Piątek–niedziela, 22–24.05.2026

Agaton Koziński

ZMIENIA SIĘ FORMA POLITYKI. TREŚĆ POZOSTAJE TA SAMA



Tłum szczelnie wypełnił Stadion Śląski w Chorzowie na koncercie Metalliki - i Długi Targ w Gdańsku na spotkaniu z Péterem Magyarem. Jedno i drugie miało w sobie atmosferę wydarzenia wyjątkowego. Metallica - bo to zespół kultowy, w Polsce otoczony nimbem monstrualności muzycznej starannie pielęgnowanym od lat 80. Magyar - bo to polityczny fenomen, człowiek dwa lata temu kompletnie nieznany, który zdołał zakończyć 16 lat rządów Viktora Orbana. Nic dziwnego, że za każdym razem tłumy. Ludzie są różni, ale łączy ich jedno: ciekawość. Gdy mają szansę z bliska przyjrzeć się czemuś, co jest określane jako fenomen, to zawsze z tej okazji skorzystają.

Te dwa zdarzenia teoretycznie z dwóch różnych światów - choć też nie ma żadnych wątpliwości, że polityka coraz chętniej sięga po narzędzia wcześniej zastrzeżone tylko dla show-biznesu. Jeśli ktoś ma wątpliwości, niech sobie przypomni inaugurację prezydentury Wołodymyra Zełenskiego (20 maja akurat przypadła ósma rocznica), gdy ten były aktor niemal przebiegł przez szpaler fanów i z impetem wpadł do Pałacu Maryjskiego w Kijowie. Albo niech zwróci uwagę na niekończące się show (złośliwi by powiedzieli „performans"), które swoim wyborcom funduje Donald Trump. Albo na rockową energię, jaka towarzyszyła kampanii Pétera Magyara. Tańczący na scenie po ogłoszeniu wyników wyborów na Węgrzech Zsolt Hegedus (teraz minister zdrowia w rządzie Magyara) to jeden z większych internetowych hitów maja. Tak też się robi politykę.

Specyfika współczesnej postpolityki wymaga tego typu posunięć. W starym świecie wystarczyły różnokolorowe żakiety Angeli Merkel. W dobie błyskawicznie pędzących mediów internetowych potrzebne są treści wiralowe, robiące wrażenie natychmiast - dokładnie na tej samej zasadzie, jak to się robi w show-biznesie. Dlatego skojarzeń z nim w życiu publicznym będzie coraz więcej.

Tylko proszę sobie nie pomyśleć, że całą politykę trywializuję. Jest dokładnie odwrotnie. Bo o ile życie publiczne ma coraz więcej wspólnego ze światem rozrywki pod względem formy, to już pod względem treści jest dokładnie odwrotnie. Show-biznes składa się z formy pewnie w 90 proc. Powiedzmy sobie szczerze: ilu artystów jest w stanie wyzwolić w nas głębsze emocje niż tylko te związane z przyjemnym spędzaniem czasu? Niewielki ułamek. Reszta to rozrywka, czysta przyjemność zamknięta w atrakcyjnej formie.

W polityce jest inaczej. W niej - oprócz często zmieniającej się formy - tkwi głęboko zakryta treść, którą niesie ze sobą władza. Znów przykład Trumpa. On najskuteczniej podchwycił język współczesnej politycznej formy. Ale do tego dokłada swoją władzę. Świetnie to widać przy zamieszaniu wokół zmniejszenia liczby żołnierzy amerykańskich w Polsce. Czemu? Przecież Trump wcześniej jasno podkreślał, że Polska to wzorowy sojusznik USA. Zmienił zdanie? Zadziałała biurokratyczna inercja - USA chcą zmniejszyć zaangażowanie w Europie, a poprzez Polskę dokonać tego najłatwiej? A może amerykański prezydent gra o coś, czego nie wiemy? Na przykład w ten sposób realizuje ustalenia szczytu z Xi Jinpingiem, albo zmusza Polskę do jakiegoś korzystnego kontraktu dla siebie (druga elektrownia atomowa w naszym kraju, którą podobno mają budować Francuzi). Odpowiedź pewnie poznamy bardzo szybko. Ale jedno widać w pełni: forma polityki zmienia się bardzo szybko. Ale jej istota - czyli władza i narzędzia do jej realizacji - ciągle pozostają dokładnie takie same od stuleci.

Adam Buła

NUDNE GLĘDZENIE O LICZBACH RZECZYWISTYCH



Kiedyś, by wybić ze słowotoku jakiegoś polityka lub publicystę, wystarczyło go zapytać o różnicę między procentem a punktem procentowym. Albo między średnią, medianą i dominantą. Dziś zbyt trudny dla nich jest już test dla małych dzieci, uczących się tabliczki mnożenia: ile jest 7x8?

Przyznam, że mnie osobiście latami w ocenie publicznych wypowiedzi prześladowała niepewność, czy mówca istotnie jest tak głupi i ograniczony, jak o tym świadczy treść jego przemowy, czy na zimno rżnie głupiego, bo mu tak do „spinu" bardziej pasuje. Aż wreszcie obudziłem się pewnego ranka i zobaczyłem mądrość: jakie to, k... ma znaczenie?

Oto czołowy pogrobowiec Ziobry, były przecież minister i doktor nauk prawnych, poseł Michał Wójcik ogłasza, że „zrobiono z Polaków jeleni", bo ledwie rząd Tuska podpisał straszliwą pożyczkę SAFE, już Komisja Europejska ogłosiła, że jej oprocentowanie zostaje podniesione. Aż o 5 procent!

Hm, rzeczywiście, podniesiono. Z poziomu 3,17%, którą to wartość podawano w czasie dyskusji o SAFE, do poziomu 3,32%. Czyli nie o 5% tylko o 0,15 p.p. Czy poseł Wójcik w ogóle rozumie tę różnicę, czy łże ludziom na zimno. No właśnie, jaka to w sumie różnica?

Fakt wzrostu oprocentowania pożyczki SAFE łakomym jest jednak newsem, więc temat podnoszą ochoczo kolejni. Już nie kombinując z cyframi, wieszczą katastrofę. „Nie zdążyli wydać z tego jeszcze choćby jednego euro, a już wiadomo, że zapłacimy za ten dług więcej, niż ktokolwiek sądził. Jak tak dalej pójdzie, to skończymy z pożyczką SAFE jak frankowicze na swoich kredytach" - lamentuje np. Ewa Zajączkowska-Hernik. Konfederatka znana głównie z tego, że żyje z krytyki zgniłej Unii, za co jej ta Unia płaci co miesiąc ciężką kasę jako europosłance.

No ale zobaczmy. Wojna Trumpa z Iranem wywindowała ceny ropy, co z tygodnia na tydzień skutkuje coraz większą presją inflacyjną na całym właściwie świecie. Co powoduje, że pożyczanie staje się droższe. Sam Trump płaci już za to 5,2% - bo do takiego, rzadko widzianego poziomu, skoczyło ostatnio oprocentowanie amerykańskich obligacji 30-letnich. Polska na tym tle trzyma się w sumie nieźle - za pożyczenie kasy na 10 lat płacimy ok. 6 procent (30-latek zasadniczo nie emitujemy).

To nie jest wiedza tajemna. Po prostu na jej tle informacja o zmianie oprocentowania pożyczki SAFE o 0,15 p.p. oznacza, że papiery dłużne emitowane przez Unię Europejską trzymają się niewiarygodnie dobrze na światowym rynku i wzięliśmy najlepszą z możliwych pożyczek. No ale to średnio pasuje do narracji - prawda?

Zawsze jednak można wrócić do głównego, choć lekko już zdezelowanego argumentu, że w ogóle nie trzeba było „zadłużać Polaków na pokolenia", tylko wziąć darmową kasę ze złota Narodowego Banku Polskiego, co to ją nam, wspólnie z prezydentem Nawrockim, prezes Glapiński szykował. Możemy pominąć przy tym niedogodny fakt, że ostatecznie tzw. niezrealizowany zysk NBP na złocie oszacowano na 135, a nie 197 mld, wiec na cały program SAFE i tak trochę by nie stykło.

Trudniej jest z faktem, że w czasie, gdy europejska pożyczka podrożała dla nas o 0,15 p.p. (to się, pośle Wójcik, czyta: piętnaście setnych punktu procentowego), złoto staniało o kolejne 5%.

To się Wójcik czyta: 5 procent - i może te 5% miałeś na myśli, kłamiąc Polakom prosto w oczy.

Cieszę się, że tysiącletnia przyjaźń polsko-węgierska otwiera nowy rozdział i ponownie możemy wzmocnić relacje, ponieważ przyszłość jest istotna. („) Ten, kto nie zna historii, ten nie może zrozumieć teraźniejszości i nie zasługuje na przyszłość

PREMIER WĘGIER PETER MAGYAR

eprasa.pl bb45e65d74

REKLAMA 0011517987

Zamek Kliczków

FOLWARK KSIĄŻĘCY



Wakacje 2026

W ZAMKU KLICZKÓW I FOLWARKU KSIĄŻĘCYM

Bezpieczne wakacje w Polsce dla całej rodziny!

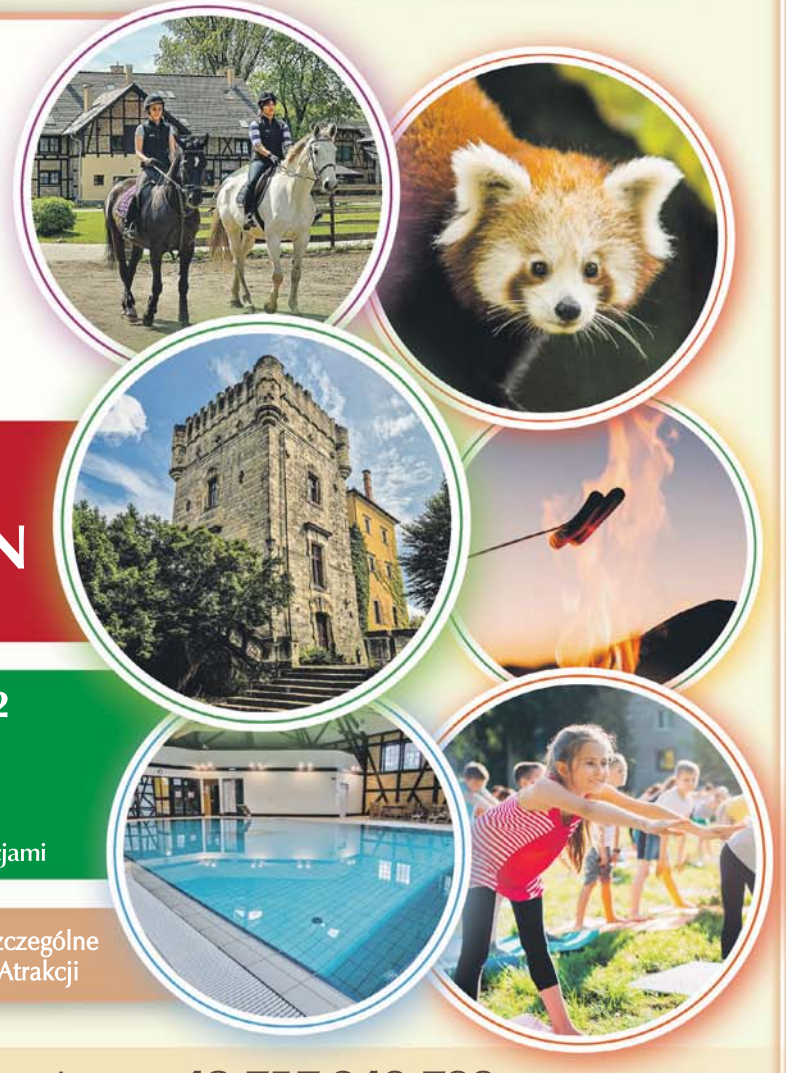
PAKIET WAKACYJNY W KLICZKOWIE OBEJMUJE:

- pobyt w Zamku Kliczków
- codzienne śniadania i obiadokolacje *(dla dzieci do lat 17 - dziecięce menu obiadokolacyjne)*
- dostęp do strefy Wellness z basenem, saunami i siłownią
- codzienne animacje sportowo-ruchowe dla dzieci
- rodzinny wstęp do Muzeum Ceramiki w Bolesławcu
- rodzinny wstęp do Huty Szkła Borowski w Tomaszowie Bolesławieckim
- rodzinny wstęp do Muzeum Obozów Jenieckich w Żaganiu
- ognisko z pieczeniem kiełbaski
- zestaw Małego Odkrywcy (quest)
- wieczór gier planszowych
- wieczorne kino
- dmuchańce dla dzieci
- dyskoteka dla juniora
- bezpłatny wstęp dla dzieci do Zoo w Görlitz
- bon na zabieg SPA o wartości 50 zł *przy zamówieniu na min. 150 zł (dla każdej os. dorosłej)*

CENA
OD 291,50 PLN
OSOBA/NOC

Pobyt dzieci do lat 12
GRATIS!!!
(max. 2 dzieci w pokoju)
Dzieci w wieku 13-17 lat
60 zł/noc ze śniadaniami i obiadokolacjami

*Część atrakcji odbywa się tylko w poszczególne dni tygodnia według Harmonogramu Atrakcji



Napisz! **rezerwacja@kliczkow.com.pl** Zadzwoń! **48 757 340 700**

Więcej informacji na **WWW.KLICZKOW.COM.PL**

eprasa.pl bb45e65d74

Polska
Piątek–niedziela, 22–24.05.2026

Robert Lewandowski został pożegnany na Camp Nou w sposób, na który mogą liczyć tylko klubowe legendy. I to wyłącznie te największe. Czy zdobywając w Barcelonie aż 7 trofeów spełnił dziecięce marzenie? Otóż nie, ale tylko z tego powodu, że życia i osiągnięć w Katalonii mały Bobek nie mógł sobie nawet wyśnić

Adam Godlewski

WIELKA I CAŁKIEM NIEOCZYWISTA KLUBOWA KARIERA ROBERTA LEWANDOWSKIEGO

Po ostatnim występie na Camp Nou w meczu z Betisem Sewilla, na który Robert wyprowadził kolegów z FC Barcelona w roli kapitana, przez polski X przetoczyła się dyskusja, czy może być uważany za legendę Barcy, czy może się nią czuć. Oczywiście niepotrzebna, bo zarówno kibice, jak i zawodnicy Dumy Katalonii fantastycznym zachowaniem jednoznacznie potwierdzili, że dla nich polski napastnik jest ikoną odrodzenia klubu. Przecież kiedy przychodził w 2022 roku, media w kontekście Blaugrana donosiły głównie o kłopotach finansowych, a tytuły mistrzowskie w okresie poprzedzającym ten transfer rozdzielały między sobą zespoły z Madrytu - Real i Atletico.

Niemal 34-letni gracz kosztował 45 milionów euro, co zważywszy na wiek i możliwości Barcy było kwotą niebagatelną, ale spłacił się szybko. I to nawet z naddatkiem. Z Lewandowskim w składzie Katalończycy trzykrotnie wygrali rozgrywki La Ligi, trzykrotnie Superpuchar (w Hiszpanii rozgrywany w formie wyjazdowego miniturnieju, w Arabii Saudyjskiej), raz Puchar Króla. W 192 rozegranych spotkaniach - na wszystkich frontach, również w europejskich pucharach - Robert strzelił 119 goli. Do tego dorzucił Trofeo Pichichi dla króla strzelców ligi hiszpańskiej - i to już w premierowym sezonie. Doprowadził też Barcelonę do półfinału Ligi Mistrzów. W sytuacji, gdy znaczna część jego rówieśników już tylko bawiła się w piłkę, on inkasował najwyższą w swojej karierze - i w aktualnym zespole - pensję (według „Forbesa" to 33 mln euro rocznie).

Trzeba wiedzieć, kiedy ze sceny zejść

Nowego, znacznie zredukowanego, kontraktu Robert na Cam Nou już nie chciał. I słusznie, skorzystał z przywileju największych gwiazd, by odejść na własnych warunkach. Także po to, aby zostać zapamiętanym z najlepszych chwil, z najbardziej udanych zagrań, z trofeów. Pewnie, miał w Barcelonie różne momenty, także te gorsze, a nawet słabe, w pewnym momencie musiał zrestartować cały swój system, aby odbudować się pod względem fizycznym, ale jednak tych dobrych, lepszych, a nawet najlepszych momentów było więcej. Znacznie więcej.

Trafnie decyzję Lewandowskiego o zejściu z hiszpańskiej sceny niepokonanym skomentował znany menedżer sportowy, były właściciel Widzewa Łódź i były prezes Lecha, organizator walk braci Kliczków i Dariusza Michalczewskiego, Andrzej Grajewski: - Bardzo dobrze, że Robert ogłosił rozstanie z Barceloną, czas już na to najwyższy. Lewandowski to jest po Włodku Lubańskim drugi z największych piłkarzy, jakich mieliśmy w Polsce. Robert był świetnym ambasadorem nie tylko naszego futbolu, ale i kraju. Z naciskiem na słowo: był. Kariera w sporcie zawodowym trwa od punktu A do Z, a później trzeba już odpuścić. Zawsze powtarzałem, że jeżeli bokser traci dżep, to natychmiast powinien się wycofać, bo mogą go zabić w ringu. Analogicznie - jeżeli piłkarz traci szybkość, powinien iść piętro, dwa, albo nawet trzy niżej. Jeżeli ma uciechę z grania, niech sobie dalej kopie i pokazuje swoje umiejętności, które na pewno posiada, ale już nie w Barcelonie. To był zbyt wielki zawodnik, żeby prosić się o grę nawet w Dumie Katalonii. Niech na koniec pobawi się w futbol - daj Boże, żeby za tak wielkie pieniądze, o jakich czytam - ale niech też pamięta o szacunku dla własnych dokonań na najwyższym poziomie. Bo to już przeszłość. Teraz wszyscy powinniśmy życzyć Robertowi przede wszystkim zdrowia. Oby jak najdłużej pozwalało Lewandowskiemu na czerpanie przyjemności z gry w piłkę.

Mamy Arrubarrenę, po co nam Lewandowski

Prawda jest taka, że cała dotychczasowa i - jak wszystko wskazuje - właśnie kończąca się na tym najwyższym światowym poziomie kariera Roberta była nawet nie jak z bajki, bo była po prostu nie do przewidzenia. Mamy przecież do czynienia z piłkarzem - jak to się fachowo od kilku lat określa w nomenklaturze szkoleniowej - późno dojrzewającym. Po zmianie w przepisach (wcześniej w poszczególnych kategoriach wiekowych obowiązywał podział na urodzonych „do lipca", a zawodnicy z drugiej połowy roku trafiali już do młodszej drużyny) na rzecz pełnych roczników, chłopiec, który na świat przyszedł w drugiej połowie sierpnia, nie miał łatwego życia. Na wstępnych etapach piłkarskiego wtajemniczenia ustępował rówieśnikom wzrostem, siłą - generalnie pod względem fizycznym. W efekcie nigdy nie przebił się nie tylko do juniorskiej reprezentacji Polski, ale nawet do reprezentacji Mazowsza. A kiedy już trafił do II zespołu Legii, po roku z niego wypadł. Dziś chętnie szydzimy z ówczesnego dyrektora sportowego stołecznego klubu, Mirosława Trzeciaka, który w 2008 roku „błysnął" stwierdzeniem: „Niepotrzebny nam Lewandowski, będziemy mieć Arrubarrenę", ale - po prawdzie - nawet jako król strzelców II ligi (dziś ta klasa rozgrywkowa nosi nazwę 1. liga) w ogólnym odbiorze nie rokował na najlepszego polskiego piłkarza w historii i najlepszego środkowego napastnika pierwszego ćwierćwiecza na świecie, którym został. Jeśli ktoś twierdzi, że przewidział takie splendory dla Roberta - jedynie się chwali. Albo zwyczajnie kłamie.

JEŚLI KTOŚ TWIERDZI, ŻE PRZEWIDZIAŁ TAKIE SPLENDORY DLA ROBERTA – JEDYNIE SIĘ CHWALI. ALBO ZWYCZAJNIE KŁAMIE

W życiu trzeba mieć szczęście

Owszem, jako król strzelców III ligi (dziś to liga 2.) i następnie II ligi (dziś to liga 1.) w barwach Znicza Pruszków - mając niemal 60 goli w dorobku w tych dwóch klasach - Lewandowski miał już inne notowania niż napastnik, który w Legii II rozegrał 13 meczów i zdobył 2 gole na peryferiach poważnego futbolu. Tyle że kolejki po zakontraktowanie środkowego napastnika Znicza wcale się nie ustawiały. Owszem, bardzo chciał go pozyskać zarządzający wtedy Jagiellonią Cezary Kulesza, dobrymi pieniędzmi kusiła też Cracovia, ale wtedy nie były to kluby z elity.

Lech - po fuzji z Amiką Wronki - do którego ostatecznie trafił Robert - także nie miał ugruntowanej pozycji na krajowym rynku, tak naprawdę Kolejorz dopiero odbudowywał renomę po kwarantannie na zapleczu ekstraklasy i finansowych perturbacjach. A jednak Poznań - choć wcale nie był oczywisty - okazał się najlepszym z możliwych wyborów. Nieostatni raz w karierze Roberta. O ile bowiem początek miał on trudny, a potem dał się poznać jako megazawodowiec, który na formę i sportową długowieczność zapracował ciężką pracą i wzorowym prowadzeniem się, w życiu miał mnóstwo szczęścia. A to czynnik nieodzowny dla udanej kariery. I niezwykle istotny.

Z perspektywy czasu za fartowny można uznać nawet fakt, że Lewandowski odbił się od Legii, bo w tamtym czasie zespół z Łazienkowskiej - owszem solidny - bardziej kojarzył się z „imprezowiczami" niż z promocją wiodących reprezentantów Polski. Pewnie (lekką) przesadą byłoby stwierdzenie, że Warszawa psuła wtedy utalentowanych zawodników, ale na pewno nie gwarantowała takiego postępu, jaki Robert zrobił w Poznaniu.

Stanowcze nie dla Szachtara, Guangzhou czy PSG

Lewandowski miał to - podwójne - szczęście, że jego agentem został Cezary Kucharski, którego zawsze (to jest od czasów piłkarskich „Kucharza") sentymentem darzył Franciszek Smuda, ówczesny trener Lecha. Śp. „Franz" może i był naturszczykiem, ale panów piłkarzy rozpoznawał bez pudła, już po tym - jak się chwalił - jak wchodzą po schodach. I Smuda rzeczywiście zobaczył to coś u Lewandowskiego - a potem bardzo umiejętnie, stopniowo, wprowadzał do zespołu.

eprasa.pl bb45e65d74



FOT. PAP/EPA

Przyszedł jako gwiazda, odchodzi jako legenda – napisano w mediach społecznościowych FC Barcelona. Trzeba przyznać, że pożegnanie było królewskie. Znacznie bardziej emocjonalne niż choćby pożegnanie w Monachium

A Kucharski - w przeciwieństwie do większości ówczesnych (choć dziś rynek niewiele się różni) menedżerów był majętny, ustawiony po karierze piłkarskiej i nie gonił za kasą. Kierował się instynktem, i sportowym rozwojem prowadzonego zawodnika; pieniądze były na drugim planie przy wyborze kolejnych pracodawców.

Dlatego z Lecha Lewandowski trafił do Borussii Dortmund, a nie np. Szachatara Donieck, choć Lech mógłby zarobić co najmniej 30 procent więcej w roku 2010 na sprzedaży króla strzelców i mistrza Polski w jednej osobie na Ukrainę. A co za tym idzie - prowizja agenta także mogłaby być co najmniej o jedną trzecią wyższa. Także później ani piłkarz, ani agent nie oglądali się na jakieś kosmiczne pieniądze, które proponowały kluby z Premier League, czy chińskie Guangzhou Evergrande (30 mln euro netto w 2016 roku leżało na stole), tylko spokojnie budowali pozycję i karierę w Niemczech. Zresztą, przechodząc do Barcelony Lewy miał lepszą ofertę (opiewającą na 35 mln rocznie) z PSG, ale wolał magię Dumy Katalonii niż (nieco) wyższy kontrakt w stolicy Francji.

„Supertalentem to jest Kagawa, nie Robert"

Początek w futbolu przez duże F - w Dortmundzie - Robert miał w sumie niezły, ale do zachwytów było daleko. Bo na tamtym etapie nasz genialny (jak się później okazało) rodak - delikatnie określając - nie był mistrzem pierwszego wrażenia. Dość powiedzieć, że po kilku miesiącach, Roman Kołtoń - komentator Bundesligi stwierdził w jednym z programów, że „Kagawa supertalentem jest, a Lewandowski po prostu nie" - co złośliwcy chętnie przypominają dziennikarzowi do dziś.

Prawda była jednak taka, że RL9 w Dortmundzie dopiero nabierał rozpędu. I dopiero tam - ale wcale nie od razu - zorientował się, jaki rzeczywiście ma potencjał i uwierzył w siebie. Tyle że to też był proces - w 2011 roku dołożył (tylko) 8 goli do tytułu mistrza Niemiec dla Borussii, w 2012 był już autorem spektakularnego hat-tricka strzelonego Bayernowi w finale Pucharu Niemiec, w 2013 - niejako zadając kłam ocenie jednego z najbardziej opiniotwórczych dziennikarzy, że „jest najlepszym polskim piłkarzem, ale nigdy nie będzie topowym na świecie" zapakował czteropak Realowi Madryt w półfinale Ligi Mistrzów. W 2014 roku odchodził do Bayernu jako król strzelców Bundesligi i najlepiej opłacany piłkarz w historii Borussii.

To - wbrew pozorom - ważny wątek, bo o ile Robert miał swój charakterek, o tyle w bardzo dużym stopniu ten piłkarski charakter pomógł mu zbudować menedżer Kucharski, którego rola w rozwoju Lewandowskiego jest dziś niesłusznie (zapewne także na skutek sporu sądowego, który piłkarz z menedżerem toczą po zakończeniu współpracy) pomniejszana, czy wręcz pomijana.

Wcale nie taki miły był ten chłopak

Po raz pierwszy rozmawiałem z Lewym w 2008 roku, gdy został królem strzelców II ligi - uznałem, że to wystarczająca przepustka, żeby niespełna 20-letni młokos trafił na... trzecią okładkę branżowego miesięcznika „Piłka Nożna Plus"; zaczął od wypełnienia modnej wówczas ankiety personalnej. Robert bardzo grzecznie opowiedział, że jego ulubionym klubem jest Real Madryt, że stara się wzorować na Thierrym Henrym, jakiej muzyki słucha i do zakupu jakiego auta się przymierza.

Pierwsze wrażenie było więc takie, że to miły i ogarnięty chłopak, który wie czego chce od życia. Tym bardziej jednak wprawił mnie w zdziwienie, a nawet lekkie osłupienie, kiedy dwa dni później zadzwonił z awanturą i grubym słowem, dlaczego opublikowałem „kwiatki", o których wcale nie mówił. Był zaskoczony, że choć rozmawiał tylko ze mną - a ja nie zdążyłem jeszcze opublikować tekstu z uwagi na cykl produkcyjny miesięcznika - ktoś inny opublikował zmyślony wywiad z nim. W sumie, szybko wyjaśniliśmy sobie nieporozumienie, i zakończyliśmy rozmowę telefoniczną ze śmiechem, ale miałem dowód, że ten chłopak - gdy trzeba walczyć o swoje - wcale taki miły nie jest. Przeciwnie, jest charakterny i to bardzo.

Dlatego Kucharski - swoją drogą też wyjątkowo charakterny - nie miał problemu, aby ułożyć Roberta na tamtym etapie na własną modłę. Choćby nakłonić Roberta do kolegowania się w Dortmundzie przede wszystkim z niemieckimi piłkarzami (a nie dwójką reprezentantów Polski). Bo to miało pomóc w szybszej nauce języka i aklimatyzacji w zagranicznej szatni. A po jakimś czasie obaj doszli do wniosku, że skoro Lewandowski zaczynał z najniższego płacowego pułapu w BVB, to po gigantycznym skoku jakościowym, którego dokonał w Borussii, zażądają najwyższej pensji w historii klubu. I oczywiście - dopięli swego!

Historia „królewskich" rozmów z „9" w tle

Robert odszedł z BVB na swoich warunkach - bez sumy odstępnego - ale jako posiadacz rekordowego na tamte czasy, wynoszącego 7 milionów euro kontraktu. W Bayernie na dzień dobry dostał 15 milionów, ale bardzo szybko zobligował swoich menedżerów, żeby podbili stawkę do najwyższej w monachijskim klubie. I gdy odchodził - progresywna umowa gwarantowała mu już 22 miliony euro za rok. A były jeszcze bonusy, za tytuł króla strzelców (podejmowane) i (niepodjęty) za Złotą Piłkę. Dlaczego warto teraz o tym przypomnieć? Otóż Lewandowski, kiedy już odkrył swoją wartość, potrafił się cenić, ale - co jest istotne - nie przeceniał; dyktował warunki, które były spełniane.

Wiele osób, i to nie tylko wywodzących się z grona polskich kibiców Realu Madryt, zastanawia się, dlaczego Robert - nie kryjąc się z sympatiami do Królewskich - nigdy nie trafił na Santiago Bernabeu, nawet w sytuacji, gdy gigant z hiszpańskiej stolicy także był zainteresowany polskim goleadorem.

Otóż prawda jest banalna - chcąc sprawdzić, jaką rolę szykują w Madrycie dla Lewego, agent Kucharski zażądał koszulki z „9" dla swojego zawodnika. A kiedy nie dostał oczekiwanego numeru - już wiedział, że Robert nie będzie tam pierwszym wyborem i nie ma sensu kontynuować rozmów.

Rekordy zostaną niepobite. Można przyjmować zakłady

Lewandowski zrobił oszałamiającą karierę - zarówno w wymiarze sportowym, jak i finansowym. Przed nim, żaden z polskich piłkarzy nawet nie zbliżył się do takiego poziomu. Po nim - będziemy jako kibice czekać zapewne kilka generacji na kolejnego giganta, choćby zbliżonego pokroju.

Pewnie, można podsumowując karierę Roberta wspominać Złotą Piłkę, z której został okradziony w roku pandemicznym, można też podkreślać niedosyt wynikający z dokonań reprezentacji Polski w czasach jego gry i kapitańskiej kadencji; po prawdzie cały dorobek w tym segmencie zamknie się na jednym ćwierćfinale Euro i na jednym awansie do 1/8 finału na mundialu. I to oczywiście skaza na CV tak wielkiego piłkarza. Tyle że - nawet taki geniusz jak RL9 sam meczu nie wygra. A jego indywidualne rekordy - 89 goli w 169 meczach - długo, przez dekady, a można pewnie przyjmować zakłady, że do końca obecnego stulecia, pozostaną niepobite.

Gracies, Robert!

Biorąc pod uwagę bardzo dyskretny punkt wyjścia, Lewandowski wyciągnął z klubowej kariery absolutnego maksa. Co zapamiętamy w pierwszej kolejności? Na pewno 5 goli wbite w 9 minut Wolfsburgowi, bo to wyczyn, który zapewnił Robertowi trwałe miejsce w historii światowego futbolu.

Podobnie jak 41 bramek w sezonie Bundesligi i odebranie - galaktycznego - jak się wydawało rekordu Gerdowi Muellerowi. Do tego 14 tytułów mistrza kraju (1 w Polsce, 10 w Niemczech, 3 w Hiszpanii), 12 tytułów króla strzelców (III liga, II liga, ekstraklasa w Polsce, 7 w Bundeslidze, 1 w Hiszpanii, 1 w Lidze Mistrzów), 2 tytuły Piłkarza Roku FIFA, 13 tytułów Piłkarza Roku w Polsce, 2. miejsce w plebiscycie Złotej Piłki...

Przede wszystkim jednak piękne pożegnanie na Camp Nou, pełne - momentami nabożnego - respektu ze strony klubowych kolegów z kultowej Barcelony, którego w sumie też, jak większości sportowych dokonań RL9, nikt się nie spodziewał...

„I taka właśnie jest ta kariera Lewandowskiego. Ciągle można powtarzać: nie spodziewałem się, nie pomyślałbym, przekroczyło to moje najśmielsze oczekiwania. Gracies, Robert. Znowu wygrałeś..." - bodaj najtrafniej spuentował zarówno pożegnanie, jak i całą karierę naszego najlepszego piłkarza w historii Mateusz Święcicki, komentator Eleven Sport, który najczęściej komentował mecze Barcelony z Lewandowskim w składzie...

eprasa.pl bb45e65d74

Polska
Piątek–niedziela, 22–24.05.2026

OLGA KWIECIŃSKA: NASTOLATKI NIE POTRZEBUJĄ DOROSŁYCH GURU. POTRZEBUJĄ KOGOŚ, KTO ZACZNIE ICH SŁUCHAĆ

– Młodzi ludzie są samotni, bo często nikt naprawdę nie zadaje im pytań. Jeśli przychodzimy do nich z pozycji dorosłego guru i mówimy: „Za naszych czasów", „Moim zdaniem", „Ja uważam", bardzo łatwo ich zgubić – mówi Olga Kwiecińska, założycielka Fundacji Cześć Ciało

Anita Czupryn

Kiedy patrzy pani na dzisiejszych nastolatków, jako matka i jako założycielka Fundacji Cześć Ciało, to co najbardziej panią niepokoi?
Najbardziej? Myślę, że samotność młodych ludzi. Mówię z własnej perspektywy, z tego, co widzę i czuję, ale mam wrażenie, że dziś bardzo wyraźny jest brak zrozumienia między rodzicami a dziećmi. Można powiedzieć: może zawsze tak było. Pewnie w jakimś sensie tak. Tylko że kiedyś te światy nie były aż tak różne. Dzisiaj młody człowiek może tworzyć swój świat kompletnie poza rodzicami. I rodzice często naprawdę nie mają do niego dostępu. Więc najbardziej niepokoi mnie samotność.

Z jakich pani osobistych doświadczeń i obserwacji wzięła się Fundacja Cześć Ciało?
Z bardzo silnej potrzeby pomagania. Z tego pierwiastka, który mam w sobie, że warto poświęcić część życia na pomoc innym. Ale myślę, że także z mojego doświadczenia jako matki. Mam czwórkę dzieci i pewnie nieraz nie nadążałam za którymś z nich. Nie chcę generalizować, ale mam wrażenie, że bardzo często młody człowiek zostaje sam z rówieśnikami, którzy mogą mu powiedzieć coś mądrego, ale mogą też powiedzieć rzeczy zupełnie przypadkowe. A rodzice bywają jak z innej planety. Nawet jeśli bardzo się staramy, to wielu rzeczy po prostu nie rozumiemy. Pomyślałam więc, że powinno powstać miejsce, w którym młody człowiek znajdzie rzetelną, ekspercką odpowiedź. Głęboko wierzę, że ludzie, także młodzi, chcą znać prawdę. Chcą wiedzieć, jak są zbudowani. Czy penis ma kości. Czy piersi rzeczywiście mogą się od siebie różnić. Chcą wiedzieć, co oznacza silny lęk. Czy zwykły smutek to już depresja, czy jednak depresja wymaga czegoś więcej? Ta wiedza oczywiście gdzieś istnieje. Jest rozproszona w wielu miejscach, a mnie zależało na tym, żeby stworzyć jedno mądre miejsce w internecie. Skoro młodzi ludzie szukają odpowiedzi w sieci, to dobrze, żeby mogli trafić na miejsce bezpieczne, rozsądne, stworzone z myślą o nich. Dzisiaj mówi się, że dzieci jednak czytają, i bardzo dobrze. Książek jest dużo. Ale takich mądrych miejsc w internecie wciąż, moim zdaniem, nie ma wystarczająco wiele. Dlatego powstało Cześć Ciało. Jako odpowiedź dla młodych ludzi.

Nie generalizujmy więc, tylko oprzyjmy się na danych. A one pokazują, że 89 procent nastolatków regularnie odczuwa silne napięcie. Jak to wygląda w ich codziennym życiu? Z czym najczęściej zostają sami? Jak wygląda samotność nastolatka z telefonem w ręku, który ma znajomych w komunikatorach, rówieśników na ekranie i pozornie cały czas jest z kimś w kontakcie?
Patrzę też na siebie, na nas, dorosłych. My wszyscy jesteśmy wiecznie w telefonach. Tylko czy w komunikatorach można naprawdę mówić o bliskości? Nawet najprostsza komunikacja, czyli umówienie się z kimś, rozmowa o czymś ważnym, w komunikatorze jest bardzo ograniczona. Słyszałam kiedyś historię opowiadaną przez amerykańskiego psychologa. Napisała do niego przyjaciółka: „Jak się masz?". On nie odpisał od razu. Odpowiedział dopiero po dwóch dniach. Okazało się, że ona była wtedy w bardzo złym stanie, miała myśli samobójcze. Na szczęście próba była nieudana. Kiedy później się spotkali, zapytał: „Dlaczego mi nie powiedziałaś?". A ona odpowiedziała: „Przecież ci napisałam". Tym komunikatem było właśnie: „Jak się masz?". I o to chodzi. Co my jesteśmy w stanie wyczytać z komunikatora? Można napisać dużo wykrzykników, można dodać emotikon, ale co naprawdę jesteśmy w stanie usłyszeć? Z głosu człowieka można wyczytać dużo więcej. Dlatego ja nie lubię komunikatorów. Wolę zadzwonić i porozmawiać. Poza tym młody człowiek często nie napisze wprost: „Potrzebuję pomocy". Bo się wstydzi. Bo nie wie, jak to nazwać. Bo nie chce obciążać innych. I wtedy bardzo łatwo coś przeoczyć. Kiedy rozmawiam z moim synem, który jest za granicą, albo w ogóle z młodymi ludźmi, myślę o tym, że jeśli człowiek nie ma szczęścia do dobrej paczki, to zostaje sam. Kiedyś jednak częściej wychodziło się choćby na te przysłowiowe trzepaki. Spotykało się koleżanki, wisiało na trzepaku i widziało, czy ktoś ma łzy w oczach. Widziało się twarz, ciało, gest. Byłam ostatnio na spotkaniu dotyczącym raportu LEGO o zabawie. Jedna z mam powiedziała tam bardzo mądrą rzecz: że my musimy iść za tymi telefonami. To znaczy nie udawać, że one nie istnieją, tylko przechodzić przez ten świat razem z dziećmi. Moje córki mają siedem i dziewięć lat i oczywiście nie mają jeszcze telefonów. Cały czas im mówię, że dostaną je, jak będą miały piętnaście, osiemnaście albo dwadzieścia lat. Tylko mam świadomość, że to jest absurd. Jeśli będę tak mówiła, mogę doprowadzić do tego, że one się ode mnie odsuną, bo tego świata nie da się po prostu zakazać. Dlatego ta kobieta na spotkaniu bardzo mnie przekonała. Mówiła, że przez pierwszy telefon powinno się przechodzić razem z dzieckiem. Pokazywać, jak się z niego korzysta. Jak robić to mądrze. Tyle że my sami często nie mamy tej umiejętności.

Dlaczego tylko część nastolatków, bo około 21 procent, wie, gdzie szukać pomocy, kiedy jest im naprawdę źle? Co musi się stać, żeby młody człowiek pomyślał: mam prawo poprosić o pomoc?
Po pierwsze, mam wrażenie, że samo chodzenie do psychologa jest w Polsce nadal świeżą sprawą. Oczywiście w niektórych środowiskach to się zmieniło. Dzisiaj, zwłaszcza w dużych miastach, coraz częściej mówi się: „Chodzę na terapię". I to bywa traktowane jako coś normalnego. Ale myślę, że dotyczy to przede wszystkim dużych miast i określonych środowisk. Poza tym terapia kosztuje. 250 złotych tygodniowo; nie wiem, ile rodzin może sobie na to pozwolić. Druga sprawa to psycholog szkolny, którego w szkole często po prostu nie ma. Albo jest, ale przeciążony. Albo dzieci nie mają do niego zaufania. Jeszcze do niedawna dziecko, które nie radziło sobie psychicznie, mogło usłyszeć, że jest słabe, że przesadza, że „Każdy tak miał". Do tego nadal nie mamy w szkołach rzetelnej edukacji seksualnej. Może edukacja zdrowotna od września coś zmieni, zobaczymy. Ale mamy 2026 rok i wciąż młody człowiek bardzo często nie wie, gdzie iść z pytaniem o ciało, emocje, relacje, granice, dojrzewanie. Skąd dziecko ma wiedzieć, gdzie szukać pomocy, jeśli nikt mu tego nie powiedział? Rodzice też często go w tym kierunku nie popychają. Jeśli samemu nigdy nie chodziło się na terapię, trudno nagle powiedzieć dziecku: „Idź, to jest dobre, to może ci pomóc". Jest jeszcze jedna rzecz. Zawód psychologa długo nie był wystarczająco jasno uregulowany, więc wiele osób mogło trafić na kogoś niekompetentnego. To też jest problem. Bo jeżeli młody człowiek odważy się opowiedzieć o swoim smutku, lęku, wstydzie, o czymś bardzo intymnym, a trafi na osobę, która nie umie z nim rozmawiać, może się bardzo zrazić. Wyobrażam sobie, że jestem młodym człowiekiem i mam opowiadać obcej osobie o sobie, o swoich trudnościach, o rzeczach, które mnie bolą. To jest strasznie trudne. A jeśli ta osoba okaże się nieodpowiednia, może to być doświadczenie porażki. Dlatego nie dziwi mnie, że tylko część nastolatków wie, gdzie szukać pomocy, a reszta próbuje radzić sobie sama.

Skąd rodzic ma wiedzieć, że dziecko przeżywa kryzys, jeśli normalnie chodzi do szkoły, ma dobre oceny i mówi, że wszystko jest w porządku? Jakie sygnały powinny zaniepokoić?
Nie mówię jako ekspertka. Mówię jako matka czwórki dzieci, z którymi miałam różne przejścia. Myślę, że najważniejsza jest uważność. Ale od razu podkreślam: mam Fundację Cześć Ciało, pracuję z psychologami, a i tak wielu rzeczy nie widziałam. Wielu pewnie bym nie zauważyła. Wiele mogłabym zbagatelizować. Mogłabym powiedzieć: „Boże, jestem zmęczona, padam na twarz, zajmę się tym jutro". A tu właśnie chodzi o gotowość, żeby widzieć. Żeby nie odkładać wszystkiego na jutro. Dlatego mam też taką myśl, może niepopularną, że fakt, iż w Polsce rodzi się coraz mniej dzieci, jest dla mnie w pewnym sensie obiecujący. Może częściej rodzą się one w rodzinach, u matek i ojców, którzy naprawdę chcą wziąć za nie odpowiedzialność. Bo samo urodzenie dzieci, jeśli oczywiście nie ma choroby czy innych przeszkód, nie jest największą sztuką. Największą sztuką jest być przy nich naprawdę. Tylko nie oszukujmy się: w dzisiejszym świecie wymaga się od kobiet, mówię tu z perspektywy matki, żeby były świetnie zorganizowane, zdrowo jedzące, dobrze zarabiające, zadbane, obrotne i jeszcze genialnie wychowujące dzieci.
A doba ma 24 godziny. I teraz ta mama ma jeszcze być cały czas uważna. To jest ogromna praca. Dzisiaj niechętnie mówi się o poświęceniu. Ja też nigdy nie chciałabym, żeby którekolwiek z moich dzieci czuło, że się dla niego poświęciłam. Ale prawda jest taka, że poświęciłam kawał życia na to, żeby moje dzieci widzieć i dobrze się nimi zajmować. A i tak popełniłam tysiące błędów.

W badaniach jako jedno ze źródeł lęku i napięć pojawia się szkoła. Dlaczego, pani zdaniem, bywa dziś tak opresyjna dla młodych ludzi? Co powinno się w niej zmienić od razu, żeby nie dokładać dzieciom lęku?
Myślę, że po pierwsze, nauczyciele są zawaleni pracą: programem, liczbą przedmiotów i uczniów. A szkoła, mam poczucie, właściwie nie zmieniła się od naszych czasów, za to świat poszedł bardzo do przodu. Mam pięćdziesiąt lat i kiedy patrzę na szkołę, widzę klasy podobnej wielkości, podobny sposób uczenia, często te same lektury. Tymczasem jesteśmy już w zupełnie innym świecie. Może edukacja zdrowotna, która ma pojawić się od września, coś zmieni. Bo to są podstawowe rzeczy. Bardzo często mówię o tym młodym ludziom, z którymi się spotykam. Niedawno byłyśmy w liceum Sempołowskiej. To było dla mnie dość wstrząsające spotkanie, choć sama szkoła zrobiła na mnie bardzo dobre wrażenie. Chciałyśmy wtedy przygotować e-book w innym temacie,

eprasa.pl bb45e65d74



FOT. MAT.PRAS.

Olga Kwiecińska: Patrzę też na siebie, na nas, dorosłych. My wszyscy jesteśmy wiecznie w telefonach

o innej emocji, ale to uczniowie zaczęli mówić nam o presji. Rozmawiałam z siedemnasto-, osiemnastolatkami. To bardzo inteligentne osoby. Opowiadali, że ich rówieśnicy z Instagrama w wieku dwudziestu lat mają już mieszkania, samochody, domy w Hiszpanii. Ale to nie wszystko. Największa presja dotyczyła tego, gdzie pójść na studia, jakie wybrać, jaką decyzję podjąć. Nie ma w tym luzu, że można się pomylić, zmienić kierunek, wycofać, spróbować czegoś innego. I, co dla mnie było bardzo ważne, oni mówili, że tej presji nie robią im rodzice. Że robią ją sobie sami. Potem wróciłam do domu i przełożyłam to na siebie. Wydawało mi się, że jestem matką, która nigdy nie naciskała swoich dzieci. Ale ostatnio rozmawiałam z synem, który studiuje w Londynie. Powiedział mi: „To ty wywołałaś we mnie największą presję". Zapytałam: „Ale czym?". A on odpowiedział: „Postawą. Mówieniem o wartościach, o ratowaniu świata. Tym, że wszystko musi być duże, ważne, wielkie. Że dziadek robi takie filmy, wujek robi takie rzeczy, że trzeba robić rzeczy poważne, znaczące. A gdzie jest miejsce na coś małego?". I wtedy pomyślałam: rzeczywiście. Nigdy nie mówiłam: „Dostałeś czwórkę? Szkoda, że nie piątkę". A jednak stworzyłam w domu presję innego rodzaju. Presję wielkości, sensu, misji, autorytetów.

Dzieci czują, że nie mogą być przeciętne?

To jest bardzo ważne pytanie: czy one mogą być po prostu przeciętne? Czy mają prawo zrobić coś zwyczajnego? Pomylić się? Nie wiedzieć? Wybrać coś, co nie jest wielkie? Bo jeśli wszystko ma być znaczące, potrzebne, ważne, pomocowe, mądre, to gdzie w tym wszystkim jest miejsce na błąd?

Na początku rozmowy wspomniała pani o telefonach i mediach społecznościowych. Dlaczego rozmowa o nich tak często kończy się konfliktem między rodzicami a dziećmi? Jak rozmawiać, żeby to nie brzmiało jak kontrola albo przesłuchanie?

Jako matka ponoszę tutaj fiasko. Mówiłam dzieciom, że nigdy nie zobaczą w moim domu telefonu. I mówiłam to z pozycji osoby, która sama absolutnie siedzi w telefonie. Ja właściwie nie pracuję na komputerze, tylko na telefonie. W telefonie odpowiadam na e-maile, załatwiam sprawy. Telefon pod tym względem jest genialny, bo mamy w nim wszystko. Można być w podziemiu i pracować. I to jest największy problem. Mówimy o szkodliwości telefonów i mediów społecznościowych, ale sami jesteśmy od nich zależni. Część rodziców, takich jak ja, bardzo dużo pracujących w telefonie, staje się potem radykalnie antytelefoniczna. Co ciekawe, mam wiele koleżanek, influencerek, znanych osób, które same są bardzo obecne w mediach społecznościowych, a prywatnie są totalnie przeciwne telefonom u dzieci. Myślę, że one po prostu wiedzą, jak bardzo telefon potrafi rozwalić głowę. Z drugiej strony jest wielu rodziców, którzy po prostu dają dziecku telefon bez żadnego wprowadzenia. Mam przyjaciół, do których jeździłam z dziećmi na różne spotkania. Kiedyś dzieci nie miały telefonów. Było gotowanie, bieganie, szaleństwo. Było głośno. Dzieci dorosły, dostały telefony i w tym roku zauważyłyśmy z innymi mamami, że nagle w domu zrobiła się cisza. Wszystkie siedziały w telefonach.

Fundacja Cześć Ciało postanowiła działać właśnie tam, gdzie młodzi ludzie są: w telefonach, w internecie, w mediach społecznościowych. To wasza odpowiedź na kryzys? Skoro oni i tak tam są, trzeba pójść za nimi?

Tak, bo oni tam są. Wszyscy tam jesteśmy. Chociaż muszę uczciwie powiedzieć, że jestem dość radykalna, jeśli chodzi o media społecznościowe. Nie uważam, że one są dobre. Mam dziewięcioletnią córkę, więc wszystko jest przed nami, ale za dwa lata pewnie pojawi się pytanie o telefon. Zwłaszcza jeśli wszyscy wokół będą go mieli. Z moim starszym synem przeszłam przez ten etap, mówiąc: „No i co z tego, że wszyscy mają telefony? Ty jesteś inny". Tylko czy to był dobry komunikat? Nie wiem. Dzisiaj nie sądzę. To też mogło być wykluczające. Jako Fundacja jesteśmy więc w telefonach, bo wiemy, że tam są młodzi ludzie. Można powiedzieć: hipokryzja. Ale czy to naprawdę hipokryzja? Oni tam po prostu są. A skoro są, chciałabym, żeby mieli tam dostęp do dobrych treści.

Dlaczego Fundacja wyszła właśnie z e-bookami do pobrania? Dlaczego nie kampania, billboardy, konferencja albo kolejny poradnik dla rodziców?

E-book można pobrać od razu. Za darmo. Może to zrobić młody człowiek, który chce sięgnąć po wiedzę, rodzic, który chce nawiązać kontakt z dzieckiem i powiedzieć: „Widzę, że czujesz presję, zobacz, może tu znajdziesz coś dla siebie", babcia, dziadek, właściwie każdy. Te e-booki są przygotowane z udziałem znanych osób, ale też fantastycznych psychologów i ekspertów. Dzięki temu są atrakcyjne, ale też merytoryczne. Dostaliśmy bardzo dużo wiadomości, także od starszych ludzi. Pierwszy e-book „Pokonaj presję" naprawdę się rozszedł. W tej chwili pobrano go ok. 62 tys. razy bez wielkiej promocji. One trafiły do domów. Dla mnie ważne jest też to, że nad e-bookiem mamy kontrolę. Możemy zadbać o treść, język, jakość, ekspertów. Billboardy, kampanie, konferencje – to wszystko może być dobre. Ale zanim by się to wydarzyło, minęłoby dwieście lat, a młodzi ludzie byliby już w zupełnie innych emocjach. Tu trzeba reagować teraz. Szybko, tam, gdzie oni są. Mogło się to wydarzyć także dzięki PZU, które weszło z nami w ten projekt i w niego uwierzyło.

Co znalazło się w e-booku „Pokonaj presję", żeby szesnastolatek nie miał poczucia, że znowu dorośli mówią mu, jak ma żyć?

Przede wszystkim młody człowiek mógł zobaczyć, że presja nie dotyczy tylko jego. Że dotyczy także osób, które są dla niego autorytetami. Dlatego zaprosiliśmy młode osoby, które młode pokolenie zna, lubi i szanuje. W e-booku mówią o swojej presji m.in. Young leosia, Hugo Tarres i inne osoby, które mogą powiedzieć: „Nas też to dotyczyło. My też przez to przechodziliśmy". Bardzo ważny był dobór języka. Dlatego wybieramy ekspertów, którzy potrafią mówić do młodych ludzi – normalnie, wprost. Joanna Gutral mówi o tym w niezwykle prosty sposób. I to jest dla mnie bardzo ważne. W tym e-booku nie chodzi tylko o to, żeby powiedzieć: presja jest zła. Bo presja może być różna. Czasem daje energię, mobilizuje, popycha do zrobienia czegoś dobrego. Ale w pewnym momencie może też stać się niszcząca. Dlatego chodziło o konkret: jakie są rodzaje presji, kiedy ją czujesz, po czym ją rozpoznać i co możesz z nią zrobić, jeśli chcesz sobie pomóc. To się łączy z tym, o czym mówiłyśmy wcześniej. Jeśli młodzi ludzie nie chodzą do psychologa, jeśli nie mają z kim porozmawiać, to może dzięki takiemu e-bookowi przynajmniej nazwą to, co czują.

Kilkadziesiąt tysięcy pobrań tych e-booków – co to właściwie znaczy? To sukces projektu czy dowód na ogromną lukę w systemie wsparcia?

Uważam, że Cześć Ciało, z milionowymi zasięgami na TikToku, jest sukcesem, a jednocześnie pokazuje porażkę systemu. Oczywiście jestem zachwycona, że to działa. Ale jako obywatelka uważam, że taka fundacja właściwie nie powinna musieć powstać. Bo ta wiedza powinna być w szkołach. To wsparcie powinno być dostępne w systemie. To, że ponad 60 tys. osób pobrało e-booka i że ta liczba dalej rośnie, jest dla nas ogromnym sukcesem. Cieszę się, jeśli komuś to pomogło. Ale jednocześnie jest mi przykro, że tak wiele osób nie korzysta z pomocy psychologa, nie ma miejsca, w którym dowie się, jak radzić sobie z presją. Więc tak: jestem zachwycona, że ten e-book komuś pomógł. Ale przykro mi, że jest aż tak potrzebny.

O czym to świadczy? Że młodzi chcą pomocy? Czy, że ta pomoc musi być inaczej podana?

Na pewno musi być inaczej podana. Mam poczucie, że przepaść między mną a moimi dziećmi jest większa niż ta, która była między mną a moimi rodzicami. Kiedy moja mama mówiła do mnie: „Ja uważam, że powinnaś…", to jednak mówiła z rzeczywistości, która była do mojej w jakimś stopniu podobna. A kiedy ja dzisiaj mówię do syna czy córki: „Ja uważam…", muszę pamiętać, że bardzo wielu rzeczy o ich świecie po prostu nie wiem. Ich życie dzieje się częściowo w zupełnie innej przestrzeni. Jeśli nie zaczniemy zadawać pytań, nie dostaniemy odpowiedzi. Dobrym przykładem było nasze spotkanie w Sempołowskiej. Poszłyśmy tam z gotowym pomysłem na temat e-booka. Wydawało nam się, że wiemy, o czym trzeba pisać. A młodzi ludzie powiedzieli nam wprost: ten temat nas nie interesuje. Nas interesuje presja. I to było bardzo ważne. Bo jeśli nie pytasz młodych ludzi, tylko przychodzisz z pozycji dorosłego guru i mówisz: „Za naszych czasów…", „Moim zdaniem…", „Ja uważam…", bardzo łatwo ich zgubić. Moim zdaniem właśnie dlatego młodzi ludzie są samotni. Bo często nikt naprawdę nie zadaje im pytań.

Kolejne e-booki mają dotyczyć pierwszych relacji, lęku i stresu. Który z tych tematów wydaje się pani dzisiaj najpilniejszy?

Przed wakacjami e-book o pierwszych relacjach. I właśnie taki zaraz wydajemy z Agatą Stolą. To będzie e-book o relacjach romantycznych, przyjacielskich, ale też o tej najważniejszej relacji, z samym sobą. Wydajemy go na początku czerwca. Dlaczego? Bo to ważny moment - kończy się szkoła, znikają codzienne obowiązki, zaczynają się wakacje. I zaczynają się też relacje. Agata napisała ten e-book w taki sposób, że łza się w oku kręci. Do tego zaprosiliśmy fantastyczne osoby, które opowiadają o swoich pierwszych relacjach. We wrześniu pojawi się e-book o lęku z Martą Niedźwiecką i też nie jest przypadkowo, bo zaczyna się szkoła, wraca presja, obowiązki, napięcie. Marta opisuje bardzo konkretnie: czym jest lęk, jakie są jego rodzaje, jak go rozpoznać i co można z nim zrobić. Potem będzie e-book o stresie. O tym będzie mówił między innymi Tomasz Sobierajski.

Świetne osoby!

Tak. I chciałam z nimi pracować właśnie dlatego, że są to osoby, które rozumieją dzisiejszy świat i potrafią mówić wprost. Jestem ADHD-owcem i nie znoszę mówienia, w którym muszę się domyślać. Młodzi ludzie też tego nie lubią. Oni chcą usłyszeć jasno: co mogę zrobić, co to znaczy, jak to rozumieć. Jak już wspomniałam, każdy z tych e-booków jest uzupełniony głosami znanych, młodych osób. Udało nam się zaprosić naprawdę niezwykłych ludzi, którzy opowiadają o tych stanach z własnej perspektywy. Czyli młody człowiek dostaje wiedzę, ale też widzi kawałek doświadczenia osób, które zna, lubi albo podziwia. Bardzo się cieszę, że robimy ten projekt. Jestem z nim mocno związana.

Jak będzie można sprawdzić, czy te e-booki naprawdę pomogły, a nie tylko osiągnęły duże zasięgi jako projekt społeczny? Czy planujecie ewaluację?

Dostajemy bardzo dużo wiadomości od osób, którym te e-booki pomogły. Czy zrobimy formalne badanie? Nie wiem. Na razie działamy tu i teraz. Widzimy potrzebę i na nią reagujemy. Moim największym marzeniem jest wejście do szkół. To, co robimy jako Cześć Ciało, chciałabym przenieść do przestrzeni człowiek-człowiek. Bardzo dobrze, że jesteśmy w mediach społecznościowych, bo tam są młodzi ludzie, ale pragnę też być z nimi w rzeczywistym kontakcie. Może uda się to zrobić także z Ministerstwem Edukacji. Zależy mi na tym, żebyśmy mogli mówić o tych sprawach bezpośrednio, w szkołach. Ale Fundacja ma dopiero trzy lata. Proszę dać nam jeszcze chwilę. To dopiero początek.

eprasa.pl bb45e65d74

Polska
Piątek–niedziela, 22–24.05.2026

Nie ma ludzi niewidzialnych. Człowiek zawsze zostawia ślad: telefon, samochód, monitoring, rodzinę, nawyki albo własny strach – mówi dziennikarz Piotr Halicki, autor książki o tym, jak działają łowcy cieni z elitarnej jednostki policji

Anita Czupryn



FOT. 123RF

PIOTR HALICKI: ŁOWCY CIENI ŚCIGAJĄ TYCH, KTÓRZY ROBIĄ WSZYSTKO, BY ZNIKNĄĆ

Twoja książka „Łowcy cieni" opowiada o policjantach znajdujących osoby, które wcale nie chcą być odnalezione. Według doniesień medialnych łowcy cieni mieli być gotowi do przejęcia Zbigniewa Ziobry i Marcina Romanowskiego na Węgrzech. A jednak Ziobro znalazł się w USA. Łowcy cieni przegrali nie dlatego, że nie potrafią kogoś znaleźć, ale dlatego, że w grę weszła polityka?

Trzeba pamiętać, że łowcy cieni mogą ścigać ludzi poszukiwanych przez polski wymiar sprawiedliwości za granicą, ale nie mogą ich zatrzymywać. Kompetencje do zatrzymania danej osoby mają wyłącznie służby kraju, w którym ta osoba przebywa. Piszę o tym w książce, żeby rozwiać różne mity. Zwłaszcza politycy czasami mówią tak, jakby sądzili, że łowcy cieni mogą po prostu pojechać na przykład na Węgry, rzucić poszukiwanego na ziemię, skuć go i zabrać do Polski. Tak to nie działa. Taką interwencję mogą przeprowadzić tylko służby danego kraju. Łowcy cieni mogą przy tym asystować. Mogą pomóc w namierzeniu takiej osoby, bo mają do tego możliwości. Ściśle współpracują ze służbami państwa, w którym przebywa osoba ścigana przez polski wymiar sprawiedliwości. Co do Zbigniewa Ziobry, to szczerze mówiąc, nie wiem, czy te informacje są stuprocentowo potwierdzone, więc trudno mi się do nich jednoznacznie odnosić. Natomiast łowcy cieni mają kompetencje, żeby tropić i namierzać osobę ściganą przez polski wymiar sprawiedliwości, niezależnie od tego, czy jest to polityk, czy ktokolwiek inny. Muszą jednak istnieć odpowiednie narzędzia prawne. Nie mogą namierzać i zatrzymywać kogoś tylko dlatego, że ktoś uznał, że byłoby dobrze go znaleźć. Musi być Europejski Nakaz Aresztowania albo Czerwona Nota Interpolu. Dlatego na tę chwilę nie mogą ścigać Ziobry w Stanach Zjednoczonych.

Można w ogóle porównywać poszukiwanie gangsterów z poszukiwaniem polityków, i to tak wysokiej rangi? Politycznie to przecież zupełnie inne planety.

Łowcy cieni sami powtarzają i o tym także piszę, że dla nich nie ma znaczenia, czy ktoś jest mniej czy bardziej ważny. Ważne jest to, czy jest poszukiwany za poważne przestępstwo. Nie szukają człowieka, który ukradł batonik w sklepie i wyjechał za granicę. Z tego, co pamiętam, Zbigniew Ziobro ma chyba 26 zarzutów, w tym poważne, dotyczące kierowania zorganizowaną grupą przestępczą i malwersacji finansowych. Teoretycznie, gdyby była za nim wydana Czerwona Nota Interpolu, łowcy cieni mogliby go szukać. Z tego punktu widzenia byłaby to osoba, wobec której toczy się poważne postępowanie karne. Przypomnę, że przez łowców cieni został namierzony „Wielki Bu", zatrzymany potem przez niemieckie służby. On też jest w Polsce politycznie kojarzony jako dawny znajomy obecnego prezydenta, z czasów, kiedy ten nie był jeszcze prezydentem. W tej sprawie również było pewne polityczne oczekiwanie. Natomiast łowcy cieni podkreślali , że „Wielki Bu" był poszukiwany w związku z poważnymi przestępstwami, dotyczącymi między innymi działania w zorganizowanej grupie przestępczej i handlu narkotykami. W świetle prawa była to więc osoba, którą mieli prawo ścigać, bo była poszukiwana przez wymiar sprawiedliwości.

I w książce wraca myśl, że nie ma ludzi niewidzialnych. Ale czy Ziobro, przebywając w Stanach Zjednoczonych, jest dziś właściwie poza zasięgiem?

Wydaje mi się, że łowcy cieni mają narzędzia do poszukiwań, o których my nawet nie mamy pojęcia. Oni sami nie chcą ujawniać wszystkich swoich metod, żeby nie stworzyć poradnika dla przestępców, tego jak się przed policją chronić. Natomiast sądzę, że mają dziś narzędzia, żeby szukać ludzi praktycznie na całym świecie. W książce opisuję sprawę człowieka, którego udało się znaleźć w bardzo odległym kraju, z którym Polska nie ma właściwie żadnych relacji, a mimo to oni swoimi kanałami byli w stanie go namierzyć i dorwać. Mówię o gangsterze o pseudonimie „Twardy", który był powiązany między innymi w sprawie pobicia Wojciecha Kwaśniaka, byłego wiceszefa Komisji Nadzoru Finansowego. Sądzę więc, że gdyby istniała prawna możliwość namierzania Zbigniewa Ziobry albo Marcina Romanowskiego, łowcy cieni mogliby to robić. To są ludzie bardzo doświadczeni i wyspecjalizowani właśnie w takich działaniach. Za każdym razem podkreślają jednak, że są apolityczni. Ich polityka nie interesuje.

Łowcy cieni są stworzeni do pracy bez rozgłosu, a ty, jako dziennikarz, z definicji wydobywasz rzeczy na światło dzienne. Spotkały się dwa światy, które wzajemnie się wykluczają?

Podczas pierwszego spotkania z obecnym szefem łowców cieni i jego zastępcą, było wzajemne badanie się: o co chodzi, co ja właściwie chcę napisać. Od razu usłyszałem, że nie ma mowy o nazwiskach, zdjęciach, ujawnianiu twarzy. Dla mnie ważne było też pokazanie łowców cieni jako zwykłych – niezwykłych ludzi. Chciałem zobaczyć, kim naprawdę są ci, którzy na co dzień ścigają najgroźniejszych przestępców. Potem wracają do domu i co dalej? Jak się żyje pod taką ciągłą presją? Jak to jest możliwe, że ktoś znika na kilka tygodni, a rodzina musi to zaakceptować? Bardzo zależało mi na pokazaniu ludzkiej strony tych policjantów. Ciekawiło mnie, czy mają rodziny, jak te rodziny patrzą na ich pracę, jak znoszą taką służbę. Ale oczywiście bardzo interesowały mnie też ich metody. Jak działają? Jak to możliwe, że są w stanie namierzyć kogoś na drugim końcu świata?

Jak zdobywa się zaufanie ludzi, którzy zawodowo nikomu nie ufają? Ile czasu minęło, zanim naprawdę zaczęli opowiadać?

Podejrzewam, że nieźle mnie prześwietlili, zanim w ogóle zaczęliśmy rozmawiać. Przecież mają narzędzia. Myślę, że sprawdzili też moją twórczość dziennikarską. Mam nadzieję, że to mi pomogło. Od początku stawialiśmy sprawę szczerze. Ja mówiłem: jeśli czegoś nie będę mógł napisać, trudno, powiedzcie, że nie mogę. Z kolei prosiłem ich, żeby opowiedzieli mi również o sprawach, o których nigdzie wcześniej nie słyszeliśmy. Nie chciałem odtworzyć tylko tego, co już wiadomo. Chciałem, żeby ta książka dawała coś więcej. Mam wrażenie, że znaleźliśmy złoty środek. To był nasz wspólny projekt. Bo muszę powiedzieć jasno, że bez nich tej książki bym nie zrobił. Musiałem jednak pewne rzeczy przemilczeć. Mówili: „Jeśli o tym napiszesz, tą metodą już nikogo nie złapiemy". Od początku ustaliliśmy, że to nie ma być podręcznik dla przestępców. Chodziło o opisanie procesu powstawania tej jednostki, jej funkcjonowania, tego, jakimi są ludźmi, jakimi są funkcjonariuszami, kto może do nich trafić, a kto nie, jakie trzeba mieć predyspozycje. No i oczywiście chodziło też o najciekawsze sprawy.

eprasa.pl bb45e65d74

W książce pojawia się ważne zdanie: do łowców cieni nie bierze się ludzi z ulicy. Kto może zostać łowcą cieni? Kto się do tego nadaje?
Mają swoje kryteria. Mogę mówić tylko na podstawie tego, co usłyszałem: bardzo mocno podkreślają, że muszą to być osoby doświadczone. Nie chcą przyjmować osób, które trzeba będzie wszystkiego uczyć. Pierwsi łowcy cieni, rekrutowani przez Marka Boronia, to byli ludzie, którzy mieli już po kilka lat doświadczenia w poszukiwaniach. Przychodzili z pionów kryminalnych, mieli za sobą konkretną służbę i konkretne umiejętności. Trafiali do nowej formacji po to, żeby od razu działać. Oczywiście były szkolenia, trzeba było się dotrzeć jako grupa, ale to nie byli ludzie przypadkowi. Marek Boroń mówi w książce, że z każdym kandydatem rozmawiał indywidualnie. Dobierał ludzi bardzo uważnie. Później, kiedy wypracowała się już metoda ich pracy, zaczęły się pojawiać także ogłoszenia. Myślę, że gdybyś teraz wpisała w internecie hasło o naborze do łowców cieni, można znaleźć informację, że poszukują osób, które chciałyby do nich dołączyć. Ale około 70 procent CV odpada od razu. Najczęściej dlatego, że kandydaci mają za małe doświadczenie, nie spełniają kryteriów albo przychodzą z jednostek, które nie dają gwarancji, że taka osoba od razu będzie mogła wejść w ich tryb pracy. Z tych pozostałych 30 procent wybiera się konkretne osoby. Przez jakiś czas pracują one z łowcami cieni na okresie próbnym. Dopiero wtedy okazuje się, czy mogą zostać. Bardzo ważny jest też aspekt rodziny. Szef łowców mówił mi, że od razu rozmawia z kandydatami o rodzinie. Mówi im: musicie pamiętać, że to jest bardzo trudne, kiedy nagle trzeba wyjechać na dwa tygodnie. Bliskich też trzeba na to przygotować. Nie mówię tylko o rodzinie w sensie formalnym, ale o wszystkich bliskich osobach, z którymi człowiek żyje na co dzień. Często to sami łowcy cieni proponują niektórym policjantom przejście do nich. Jeśli mają akcję w jakiejś części Polski, współpracują z lokalnymi funkcjonariuszami, z komend powiatowych, miejskich, wojewódzkich albo z innych formacji. Bardzo to podkreślają: nie działają sami, tylko współpracują z policjantami w terenie. Co ważne, trzeba też odróżnić łowców głów od łowców cieni. Łowcy głów działają w komendach wojewódzkich, a łowcy cieni są tylko w CBŚP. Bywa więc tak, że podczas wspólnej akcji przy poszukiwaniach albo przy sprawach uprowadzenia dla okupu, bo tym też się zajmują, widzą policjanta, z którym bardzo dobrze im się pracuje. I wtedy mogą zaproponować: „Może chciałbyś do nas przyjść?”. Wszystko zależy od chęci tej osoby. Bo to jednak duże poświęcenie; to nie jest praca od ósmej do szesnastej.

Stereotypowo można sobie wyobrażać łowcę cieni jako twardziela z bronią. Ty pokazujesz ludzi, którzy są cierpliwymi analitykami, świetnymi obserwatorami, improwizatorami. Potrafią przebrać się za kuriera albo dostawcę jedzenia i zniknąć w tłumie. Co cię najbardziej zaskoczyło?
Zaskoczyło mnie, że kiedy się z nimi rozmawia, ma się poczucie, że to jest bardzo zgrana ekipa; grupa ludzi, którzy naprawdę dobrze się znają, ufają sobie, wręcz są przyjaciółmi. Widać, że lubią tę pracę i mają pasję. Kilku z nich wprost mi mówiło, że bez pasji nie da się tam pracować. To niewdzięczna robota, zwłaszcza przy uprowadzeniach dla okupu, bo nigdy nie wiadomo, jak taka sprawa się zakończy.

W książce wraca sprawa Krzysztofa Olewnika, dla polskiej policji to jedna z najboleśniejszych historii. Co sami łowcy cieni mówią o błędach, które wtedy popełniono?
Trzeba od razu powiedzieć, że sprawa Krzysztofa Olewnika jest właściwie punktem wyjścia do powstania łowców cieni. Popełniono w niej wiele błędów. Sprawą zajmowali się między innymi policjanci, którzy dzień wcześniej byli u Krzysztofa Olewnika na imprezie. Gubiły się akta, nie przesłuchano świadków, nie sprawdzono części informacji, które przychodziły z zewnątrz. Błędów popełniono wiele. I później niejako z tych błędów powstała metodyka działania. W jej tworzeniu uczestniczył między innymi Janusz Gołębiewski, który pojawia się też w mojej książce; fachowiec, największy specjalista w Polsce, jeśli chodzi o sprawy uprowadzeń dla okupu. Dzięki temu powstały procedury, według których dziś działają między innymi łowcy cieni. Kiedyś taka sprawa zostawała często na poziomie policji lokalnej. Teraz oczywiście lokalna policja przyjeżdża na miejsce jako pierwsza, ale sprawa od razu idzie wyżej, do komendy wojewódzkiej albo do CBŚP. Przy uprowadzeniach dla okupu łowcy cieni zawsze jadą na miejsce.

Co najczęściej zdradza człowieka, który chce być niewidzialny?
To bardzo szerokie pytanie.

Ale chodzi o zasadę, bo człowiek zawsze zostawia jakiś ślad?
Tak, ten ślad zawsze jest. Jeden z łowców opowiadał mi, że kiedy ktoś znika i trzeba go znaleźć, zaczyna się od miejsca, w którym był ostatnio widziany. Dzisiaj ogromne znaczenie mają telefony. Ale jeśli ktoś się ukrywa, to prawdopodobnie telefon wyrzucił, zniszczył, schował, nie ma go przy sobie. Trzeba pamiętać, że przestępcy też są sprytni i robią wszystko, żeby nie dać się namierzyć. Ale można sprawdzić, co działo się w rejonie, w którym ta osoba była ostatni raz widziana. Czy pojawił się tam Uber albo taksówka? Czy monitoring zarejestrował jakiegoś człowieka? Czy gdzieś widać ruch, który może mieć znaczenie? Poszukiwanie zaczyna się od takiego właśnie punktu. Dzisiaj mamy rozbudowaną sieć monitoringu, praktycznie w każdym mieście. To są rzeczy, które pozwalają próbować kogoś odnaleźć. Dobrym przykładem jest Kajetan P. Łowcy cieni namierzali go między innymi dzięki temu, że co jakiś czas pojawiał się na monitoringu. Zauważono go na przykład w Niemczech, na dworcu, kiedy stał przed ruchomymi schodami. To jest właśnie takie dłubanie, przeglądanie tysięcy nagrań, cierpliwa praca. Trzeba sprawdzać wszystko. Wracając do pytania, co zdradza poszukiwanych: czasem zdradza ich strach. Łowcy opowiadali mi o przestępcach, którzy byli już tak sfrustrowani tym, że są poszukiwani, że kiedy się na nich patrzyło, było widać, że coś mają na sumieniu. Rozglądali się, wpadali w paranoję. Jeden z nich, kiedy zobaczył drugi raz tego samego człowieka jednego dnia, był już przekonany, że to policjant, który go śledzi.
Od razu zmieniał mieszkanie. Ale wielu poszukiwanych wpada przez zwykłe błędy. Ktoś drugi raz użyje tego samego samochodu, który łowcy wcześniej obserwowali. Ktoś pojawi się w miejscu, które już było sprawdzane. Ktoś wykona ruch, który wydaje się drobny, ale dla policjantów jest sygnałem. Oczywiście nie umniejszajmy ich pracy. To nie jest tak, że przestępcy zawsze popełniają oczywiste błędy. Czasem ktoś siedzi w jednym miejscu, nie wychodzi i namierzenie go jest bardzo trudne. Podam przykład „Hossa”, czyli słynnego króla mafii wnuczkowej. Został namierzony po tygodniach obserwacji mieszkania, w którym mógł się pojawić, ale wcale nie musiał. W pewnym momencie ta obserwacja została nagrodzona. Najpierw pojawiły się kobiety z zakupami, które zaczęły sprzątać to mieszkanie. To już wzbudziło zainteresowanie. Kilka dni później przyszedł człowiek w stroju budowlańca, z kaskiem i poziomicą w ręku. Okazało się, że to był właśnie kamuflaż, którego używał „Hoss”.

Która z historii opowiedzianych przez łowców cieni najbardziej cię poruszyła?
Chyba historia uprowadzenia dla okupu dziesięcioletniego chłopca. Było o tym głośno. Chłopiec został porwany w Krakowie przez człowieka, który, jak się wydaje, zdradzał objawy obsesji. Latami przygotowywał się do porwań. Nie kręciło go tylko to, że odbierze okup. Chodziło też o to, że będzie mógł pogrywać z policją. Wybrał chłopca, obserwował go tygodniami. Zauważył, że mama odwozi go do szkoły samochodem, ale wysadza trochę wcześniej. Najwidoczniej chłopiec nie chciał, żeby rówieśnicy widzieli, że mama przywozi go pod samą szkołę. Sprawca zmierzył tę drogę, prześledził, którędy chłopiec idzie. To było raptem kilkaset metrów. Sprawdził, w którym miejscu nie obejmują go kamery. Z samego momentu porwania nie było żadnego nagrania. On naprawdę był profesjonalistą, oczywiście w złym znaczeniu tego słowa. A mimo to udało się go ostatecznie złapać. Uprowadził chłopca i umieścił go w skrzyni zakopanej w ziemi. Był luty, mróz, około minus dwunastu stopni. Trzymał go tam przez kilka dni. Trudno mi sobie wyobrazić, co przeżywali rodzice, kiedy wysyłał im zdjęcia chłopca w tej skrzyni. Bo wysłał im dowód życia: dziecko siedzące w ciemnicy, nie wiadomo gdzie. Na szczęście chłopca udało się uratować. Przekazano okup. I tu bardzo ważna rzecz: łowcy cieni za każdym razem podkreślają, że najpierw jest zakładnik, a dopiero potem łapanie porywacza. Do momentu uwolnienia zakładnika porywacz schodzi na drugi albo nawet trzeci plan. Najważniejsze jest uratowanie życia człowieka. W tej sprawie na szczęście się udało, a potem udało się też namierzyć sprawcę. Zdarza się i tak, że błędy popełniają współpracownicy porywacza. Tak było w sprawie uprowadzenia żony biznesmena. Jeden z ludzi głównego organizatora miał ukraść samochód. Tylko że pojechał potem tym kradzionym samochodem zatankować. Został nagrany. Po nitce do kłębka, policjanci doszli. Oczywiście to nie jest takie proste, jak brzmi w dwóch zdaniach. Czasem mijają tygodnie. Ale właśnie tak często wygląda ta praca: ktoś popełnia mały błąd, a łowcy potrafią z niego zbudować drogę do sprawcy.

Czy są w ogóle osoby, których łowcy cieni nie są w stanie znaleźć?
Pewnie ich trzeba by o to pytać. Ale myślę, że skoro wiele osób nadal jest poszukiwanych, to znaczy, że jeszcze wszystkich nie złapali. Pamiętajmy jednak, że jest też grupa osób, które zostały przez nich namierzone, na przykład w Dubaju, ale procedury międzynarodowe są takie, że nie można ich od razu ściągnąć do Polski. Przez długi czas tak było przecież z Sebastianem M., kierowcą BMW, podejrzanym o spowodowanie wypadku, w którym zginęła trzyosobowa rodzina. Był w Dubaju, służby wiedziały, gdzie jest, ale przez wiele miesięcy nie można go było sprowadzić do Polski. Ostatecznie się udało. Mówimy więc także o kilku osobach, które są już namierzone, wiadomo, gdzie przebywają, ale nie da się ich natychmiast sprowadzić do kraju. Trzeba też pamiętać, że przestępcy bywają inteligentni. Potrafią się ukrywać, potrafią korzystać z luk, pieniędzy, kontaktów i różnych procedur.

Czy łowca cieni może mieć normalne życie? Rodzinę, dzieci, dom?
Jak najbardziej. Ale musi mieć to wszystko przegadane z rodziną. Jeden z łowców mówił mi, że to są bardzo trudne sprawy. Na początku człowiek jest w euforii: „Zostałem łowcą cieni, jestem w grupie, o której zawsze marzyłem, cały świat stoi przede mną otworem”. Ale po pewnym czasie ośmioletni syn pyta: „Tato, dlaczego znowu cię tak długo nie ma? Dokąd jedziesz? U mnie w szkole inni rodzice mówią, co robią, a ty nie możesz”. Bo pamiętajmy, że ktoś może wiedzieć, że jego sąsiad jest policjantem, ale nie musi wiedzieć, że jest łowcą cieni. Dlatego od strony rodzinnej wszystko musi być ustalone. Łowcy cieni nie mogą opowiadać, czym dokładnie się zajmują, nawet najbliższym. Często też nie chcą tego robić. Bo po co dodatkowo stresować żonę, męża, partnera czy partnerkę informacją, że ścigasz faceta, który zabił trzy osoby, i nie wiesz, czy ta akcja będzie bezpieczna? Wolą nie obciążać rodziny sprawami, którymi się zajmują. Także po to, żeby rodzina była wsparciem, a nie kolejnym ciężarem. W tej pracy potrzebne jest ogromne wzajemne zaufanie. W książce opisuję przykład łowczyni, która przebywała w domu rodziny osoby uprowadzonej. Bo łowcy cieni zajmują się też tym, że przygotowują rodzinę do rozmów z porywaczami, pilotują całą sprawę, są przy tych ludziach w najtrudniejszym momencie. I w pewnej chwili partner tej kobiety zaczął się niepokoić. Nie wiedział, gdzie ona jest, próbował się do niej dodzwonić, a ona nie mogła odebrać telefonu. Sytuacja stała się na tyle trudna, że musiała razem z innym łowcą pojechać do domu i powiedzieć mu, oczywiście nie zdradzając szczegółów, że jest w pracy, na akcji.

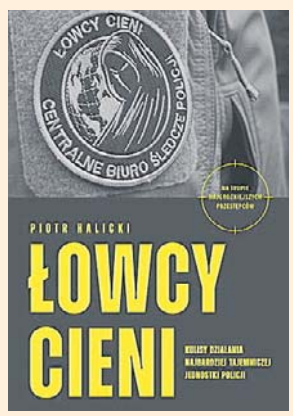
Przypomniała mi się scena z książki, w której łowcy cieni udawali zespół disco polo. Ich praca wymaga też improwizacji.
Scena jest trochę humorystyczna, ale pokazuje coś ważnego. Łowcy cieni muszą wtapiać się w otoczenie. Nie mogą przyjechać do hotelu i powiedzieć: „Dzień dobry, jesteśmy z Komendy Głównej, prosimy fakturę na komendę”. Jeśli mają się wtopić, nikt nie powinien wiedzieć, kim są. A tu nagle przyjeżdża więc grupa dobrze zbudowanych facetów – to może kogoś zainteresować, więc trzeba improwizować. Choć to też jest ciekawe, bo mamy wyobrażenie, że oni wszyscy mają po dwa metry wzrostu i dwa metry w barach. A wcale tak nie jest. Część z nich to ludzie, którzy wyglądają zupełnie niepozornie. I to też jest ich siła.

Po napisaniu tej książki bardziej ufasz policji? Łowcy cieni są dowodem, że państwo ma siłę, by walczyć z najgroźniejszymi przestępcami?
Myślę, że tak. Za nimi idzie skuteczność. Często słyszymy, że kogoś zatrzymali, i to osoby z pierwszych stron policyjnych komunikatów, ludzi, którzy popełniają najcięższe przestępstwa. Łowcy cieni sami mówią: „Dorwiemy go. Jeśli nie teraz, to później”. Nawet jeśli ktoś wymknie im się z zasadzki, to nie odpuszczają. Po rozmowach z nimi mam poczucie, że to naprawdę świetnie zgrany zespół i znakomici fachowcy w swojej dziedzinie. Mam nadzieję, że w moim życiu nigdy nie wydarzy się nic takiego, żeby musieli interweniować. Ale dobrze wiedzieć, że tacy ludzie są.

CV


FOT. JACEK KAMIŃSKI

Łowcy cieni są jedną z najciekawszych jednostek polskiej policji. O swojej pracy opowiedzieli dziennikarzowi Piotrowi Halickiemu. Książkę „Łowcy cieni. Kulisy działania najbardziej tajemniczej jednostki policji (RB)” wydało Wydawnictwo Otwarte.



eprasa.pl bb45e65d74

Polska
Piątek–niedziela, 22–24.05.2026

Od początku ukrywa się pod pseudonimem. Ludzie mijają go na ulicy i nie wiedzą, że to on jest najpopularniejszym street-artowcem w Poznaniu. Każdy jednak kojarzy jego Pana Peryskopa

Maciej Szymkowiak

W PRACOWNI NORIAKIEGO. TAJEMNICZY WANDAL CZY ARTYSTA?

Noriaki, czyli kto? Mimo tylu lat wciąż ukrywasz się pod pseudonimem. Może trochę wyjawimy?
Jeżeli chodzi o sztukę uliczną, czyli street art, to w zasadzie cała masa ludzi posługuje się pseudonimem z wiadomych względów. Mój przylgnął do mnie x lat temu, zanim w ogóle wymyśliłem postać Peryskopa. W tamtym czasie bardzo popularny był skoczek Noriaki Kasai, z którym się w pewien sposób identyfikowałem, dlatego że też uprawiam sporty zimowe. Na początku cały człon pseudonimu brzmiał „Noriaki Kasai", później przez lata ta druga część wyparowała. Stało się to samoistnie i przylgnęła do mnie na stałe ksywka Noriaki. Tym pseudonimem podpisuję się do dzisiaj i nie zamierzam nic zmieniać. Istnieje jeszcze inna geneza ksywki Noriaki, ale to zostawię już dla siebie.

A hobby?
Malarstwo. Szeroko pojęte. Bardzo szeroko. Wracając do twojego pytania o wykształcenie… Nie skończyłem ASP.

To miłość do sztuki wzięła się z graffiti?
Graffiti było jednym z elementów hip-hopu. Cała kultura bardzo mocno rozwijała się w latach 90. i 2000. Po prostu na każdym osiedlu latało kilkanaście dzieciaków z puszkami sprayu. Był też breakdance, rap i to wszystko wiązało się z kultrą hip- hopową, która przyleciała do nas zza oceanu. Minęło tyle lat, a ja codziennie rysuję, działam, jeżdżę. Cały czas czuję się jak dzieciak, przyklejający naklejki, malujący wszędzie i zawsze. Nadal po tylu latach sprawia mi to bardzo dużo przyjemności. Jeszcze się dobrze nie rozkręciłem.

Dopytam: studiowałeś w Poznaniu czy za granicą?
W Poznaniu. Jestem rodowitym poznaniakiem. Staram się, w miarę moich możliwości, nasz Poznań promować na świecie w taki sposób, jaki potrafię. Identyfikuję się z tym miastem. Świadomym moim wyborem jest to, że mieszkam tutaj, w Poznaniu. Miasto jest niewielkie. Nie daje aż tak dużo możliwości, jakich potrzebuję do samorozwoju wewnętrznego, jeżeli chodzi o materię sztuki. Dlatego bardzo dużo jeżdżę po świecie, zwiedzam, ale zawsze tutaj wracam. To jest mój dom.

Masz swoje ulubione miejsce na świecie?
Moją ulubioną destynacją podróżniczą jest Barcelona. Jak tylko mam przestrzeń to wsiadam w samolot i lecę do Barcy. Właśnie wróciłem po miesiącu i nie mogę się odnaleźć… Wiadomo, że tam street art i cały nurt urban art są na zupełnie innym poziomie. Można powiedzieć, że światowym, dlatego tam czuje się jak ryba w wodzie.

Pamiętasz swoją pierwszą wrzutkę w Poznaniu? Kiedy była i gdzie?
Tak. To był rok 2000 albo 2001. Garaże na Piątkowie. Godzina 5 rano, środek krzaków, ucieczka z domu oczywiście, gdy mama spała. Byłem z kolegą. W ogóle nas nie było widać, byliśmy schowani za krzakami, a jak o 5 rano jechała jakaś ciężarówka, która dowoziła bułki do piekarni, to wszystko rzucaliśmy i udawaliśmy, że sikamy. Gdy myślę o tym po tylu latach, to nadal mam uśmiech na twarzy.

Teraz jest mniej graffiti?
Tutaj bym się nie zgodził. Każde miasto jest inne i ma inną scenę. Na pewno jest mniej graffiti, nielegalnego. Czasy są inne. Wszędzie są kamery i społeczeństwo się zmieniło. Wydaje mi się też, że kiedyś to w dużej mierze wychodziło po prostu z nudy; żebyśmy mieli co robić. Sami organizowaliśmy sobie zajęcia, bo ich nie było. Teraz wygląda to trochę inaczej.

Kiedy był moment, w którym Watcher (Pan Peryskop) przestał być tylko twoim symbolem, a stał się symbolem miasta?
To nie mnie oceniać. Ciężko mi powiedzieć dokładnie, kiedy to było.

Ale zgadzasz się z tym?
Tak, zgadzam się z tym i niewątpliwie jest to dla mnie bardzo miłe. Ja też się pod tym podpisuję. To taki nieformalny znak. Swoimi kanałami staram się to promować, ogarniać i pokazywać światu: tu jest nasz Poznań, to jest Watcher. Parę dni temu dostałem wiadomość: „Jestem w Nepalu, czuję się jak w Poznaniu. O, nasi tu byli". To jest właśnie fajne, że mogę nasze miasto promować po mojemu, z dowcipem, tak jak czuje i w sposób, który daje mi masę szczęścia i spełnienia. Ci bardziej zainteresowani odbiorcy, od razu wypatrują nowego Peryskopka na świecie, i chcąc nie chcąc kojarzą go z Poznaniem.

Współpracujesz z miastem. To czy legalny mural sponsorowany przez miasto to nadal street art, czy już bardziej urban design?
Street art to szeroko pojęta sztuka uliczna, pod którą możemy podciągnąć wielkoformatowe murale, szablony, wlepy oraz każdy wyraz artystyczny na mieście. Od samego początku wiązał się z działalnością nielegalną, a dziś jest obecny wszędzie. Duże marki często sięgają po tę formę wyrazu, gdyż jest coraz modniejsza, dobrze nam znana. Myślę, że taka współpraca z miastem to bardziej urban design.

Częściej pracujesz nocą?
Jeżeli chodzi o taką rutynę malarstwa w pracowni, to z reguły staram się wszystko załatwić wcześniej i około 17–18 być już na miejscu, żeby zacząć pracować. Jak przychodzę o 20 czy 21, to zanim się rozkręcę, jestem już zmęczony i robi się późno, więc wolę zacząć trochę wcześniej. Staram się malować codziennie. Nawet jak nie mam inspiracji i siły, to przychodzę, robię jakieś podmalówki, coś zamalowuję, coś zeskrobię, a każda z tych czynności prowadzi mnie do dalszych kroków. Do mojego malowania podchodzę naprawdę poważnie, poświęcam się temu. Dla mnie to jest najważniejsza część tej działalności. Najbardziej emocjonalna i najbardziej przyjemna. Oczywiście dochodzi też wątek prac na ulicy, co też jest mega super. Głównie przez podróżowanie i zwiedzanie. Lubię przypatrywać się nowej stylistyce, sprawdzać nowe rzeczy i wpasowywać się w to swoimi malunkami. Staram się wejść w stylistykę danego miejsca i trochę dostosować do tego, co tam się dzieje. Zmienić kontekst, nadać nowe znaczenie. Zwiedzanie i poznawanie świata poprzez malowanie daje satysfakcję.

CHCIAŁBYM TEŻ, BY MOJA POSTAĆ JUŻ TROCHĘ FUNKCJONOWAŁA BEZE MNIE, KIEDY BĘDĘ STARSZYM PANEM

Był kiedyś taki trend, że ludzie tatuowali sobie Watchera. To nadal trwa?
Tak. Wróćmy do tego, o co pytałeś wcześniej, czyli do mojej poznańskości i tego, że jestem z Poznania. Głównie, jeżeli chodzi o tatuaże, ludzie robią je sobie jako pamiątkę z Poznania albo identyfikację z tym miejscem. Dla mnie to największa forma pochwały. Projektuję te rzeczy, wysyłam do tatuatorów. Robimy też z moim przyjacielem Local Pirate takie eventy, gdzie przygotowuję wzory, ludzie się zapisują, przychodzą, a ja tworzę dla nich projekty indywidualnie. Potem tatuujemy przez cały weekend.
Takich eventów odbyło się już chyba dziesięć, więc cała masa Watcherków wskoczyła już na skórę… W międzyczasie ludzie piszą na Instagramie czy Facebooku, pytają, czy mogą sobie zrobić taki tatuaż, a ja oczywiście wydaję aprobatę. Jak tylko mogę, pomagam też z projektem. Nigdy nic za to nie biorę, robię to z przyjemnością. To dla mnie duża nagroda, kiedy ktoś ma tego Watchera na całe życie i opowiada o nim swoje historie. Parę dni temu kolega z Islandii zrobił sobie tatuaż na klatce piersiowej. Przedwczoraj ktoś z Azji wysłał mi Watcherka, który wygląda jak pyra.

Ty też masz taki tatuaż?
Nie.

Za to masz swój sklep. Komercjalizacja sztuki ulicznej?
To raczej wynikło samo z siebie. Ciuchy, koszulki i tego typu rzeczy robiłem już naprawdę x lat temu. Zawsze robiłem to po swojemu, własnym sumptem. Teraz po prostu nadszedł taki czas. Zbierałem się do tego latami, ale to nie było takie proste. Jest papierologia, strony internetowe, dokumenty, regulaminy etc. A ja zawsze się śmieję, że w papierki jestem bardzo słaby. Mogę je ewentualnie popisać. (śmiech)

Masz swoją ulubioną pracę?
Nie, ale wolę te agresywne prace czarno-białe, wywodzące się z graffiti: tłuste, teksturalne i czarne. Parę dni temu byliśmy z dyrektorem Wozowni w Toruniu i wybieraliśmy właśnie takie prace z pazurem graffiti, bo już niebawem pokaże tam swoje najnowsze prace.

Za granicą też miałeś wystawy.
Tak, nawet sporo. 12 czerwca robię wystawę pod tytułem „Co ty tu robisz i kim ona jest" w Berlinie. We wrześniu mam wystawę w Barcelonie.
W końcu taką pierwszą naprawdę porządną, solową. Wcześniej miałem tam już dwie wystawy, ale teraz to będzie coś większego. W tym roku szykuje się jeszcze Londyn. Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, to będzie Berlin, Londyn i Barcelona, jeżeli chodzi o ekspozycje. Trzy bardzo mocne miasta i trzy fajne galerie. W tym roku skupiam się na pokazywaniu swoich prac za granicą. W zeszłym roku miałem wystawę w Szok Art w Poznaniu. To też kwestia możliwości, jakie daje miasto. Wiadomo, że w innych miejscach tych możliwości jest więcej, więc staram się tam teraz uderzać, rozwijać i rozprzestrzeniać to wszystko na świat.

Wspomnieliśmy o Barcelonie, teraz pojawił się Berlin i Londyn. Czy Berlin nadal jest kolebką street artu, murali i graffiti?
Nic się nie pozmieniało. Berlin to jest top. Na pewno pierwsza trójka w Europie jak nie numer jeden. Ale wiadomo: ile ludzi, tyle zdań. Jeżeli chodzi o kulturę graffiti, to ona jest tam już tak rozpędzona, że wręcz popkulturowo się zakorzeniła. Jest tam bardzo charakterystyczny styl graffiti, który bardzo lubię. Uwielbiam Berlin i tę stylistykę.

Zauważyłeś zmiany w samym mieście? Mam na myśli konserwację zabytków, remonty, renowacje.
Na pewno widać, że miasto się zmienia i rozwija. Widać też, że jest coraz bardziej zadbane. Te remonty naprawdę widać, nie ma co ukrywać. Powoli się to wszystko zmienia. Na pewno jest lepiej i przyjemniej się żyje.

Jeżeli chodzi o Londyn, to pierwsze skojarzenie ze street artem jest jedno – Banksy…
… Nie, nie jestem poznańskim Banksym.

Dobrze, ale jak w ogóle oceniasz Banksy'ego?
Jako absolutnego króla i topkę. Jeżeli chodzi o samą myśl, to facet jest po prostu genialny i trafia w punkt. Technicznie też bardzo mi się to podoba. Do niego naprawdę brakuje mi lata świetlne, ale to nie jest kwestia porównywania się. Takie porównania robią ludzie, którzy totalnie się nie znają. „Jeździsz taksówką, to jesteś Robertem Kubicą", „jeździsz na nartach, to jesteś Adamem Małyszem", „malujesz graffiti, to jesteś Banksym". Ja się z tym nie zgadzam, bo żadnym Banksym nie jestem. Robię zupełnie inne rzeczy. Jestem Noriaki.

eprasa.pl bb45e65d74



FOT. ROBERT WOŹNIAK

Malarstwo uliczne ewoluowało w stronę sztuki współczesnej. Dawniej artyści tworzyli prace na murach, a dziś ich dzieła trafiają także na płótna i do galerii sztuki. Noriaki przyznaje, że świenie odnajduje się w obu przestrzeniach

On ma jednak bardziej polityczne zacięcie. Nigdy nie chciałeś iść w tym kierunku?
Moja sztuka i to, co robię, jest apolityczne. Oczywiście wyrażam się w niektórych sprawach. Ludzie nawet tego ode mnie oczekują: „Weź, coś powiedz w tej sprawie". Szczególnie przy tematach politycznych – protesty kobiet, PiS, nie PiS. Ludzie mówią: „Weź, zareaguj na to i na tamto" i tak dalej. Nie robię takich rzeczy, bo ktoś chce. Nie mam potrzeby komentowania wszystkiego. Takie rzeczy polityczne dzieją się raczej u mnie w zaciszu pracowni. To są rzeczy, które sobie wymalowuję, podpisuję i jakoś wyrażam nimi swoje emocje na dany temat. Pokazać coś w galerii, odnieść się do problemu poprzez obrazy i emocje. To jest świetna sprawa i to staram się robić, ale typowe komentowanie tego, co jest modne tylko po to, żeby zwiększyć zasięgi? „Tu mamy mistrza Polski", „tu są małpki w zoo" i tak dalej... Rozumiem takie rzeczy i rozumiem takie postępowanie, ale to nie jest mój świat. Powoli pcham swój wózeczek. Nie mam zajawki, żeby robić coś pod zasięgi, bo teraz jest o tym głośno. Nie zrozum mnie źle, nie neguje tego, każdy ma swoją stylistykę i sposób, mój jest po prostu inny.

Współprace komercyjne uczą kompromisu albo autocenzury?
Nie mam pełnej dowolności, bo przy dużych markach zawsze jest jakaś specyfikacja i gotowe systemy działania, ale bardzo lubię tak pracować. To dla mnie temat rozwojowy. Dwa lata temu zrobiłem na przykład kurtkę z marką motocyklową: z ochraniaczami, certyfikowaną. Premiera była w Paryżu. To są super projekty, bo uczę się cierpliwości, rysując takie rzeczy. To cała masa czasu, detali, wyjazdy, spotkania. To bardzo rozwija artystycznie i to jest najważniejsze. Staram się podejmować takie zlecenia, które pchają mnie do przodu jako artystę. Jestem postawiony przed czymś nowym, muszę coś zrobić i dzięki temu staję się lepszy. Natomiast rzeczy typowo odtwórczych robię już bardzo mało, skupiam się raczej też na większych projektach niż na małych rzeczach. To już mam za sobą. To też były fajne czasy, ale teraz myślę bardziej galeryjnie.

Dopiero co byłem na festiwalu Otwartych Pracowni i rozmawiałem z jednym z artystów, ale też wykładowców UAP. Mówił, że młodzi ludzie idący na kierunki artystyczne często chcą zrobić karierę w ciągu dwóch lat. A to przecież zwykle trwa dużo dłużej.
Styl buduje się latami, nie da się tego zrobić od razu. Oczywiście są młodzi ludzie bardzo utalentowani, ale chodzi o to, żeby coś odkryć i być sprecyzowanym w czymś charakterystycznym dla danej osoby. Niestety to wychodzi z wiekiem i doświadczeniem. Trzeba pewne rzeczy przeżyć, żeby potem je wymalować. Rzadko zdarza się, że młody chłopak od razu ma styl, którym zachwyca wszystkich, sprzedaje się za miliony. Takie rzeczy się zdarzają, ale stosunkowo rzadko.

Zahaczyliśmy wcześniej o Instagrama. Jak myślisz, czy współczesny street art powstaje jeszcze dla miasta, czy bardziej pod social media i zasięgi?
Dla mnie street art to jest to, co widać na mieście. Wjeżdżasz do miasta i mówisz: „O, ten gościu tutaj nieźle działa. On jest stąd". Wydaje mi się jednak, że to też zależy od twórcy. Lubię, kiedy coś żyje w mieście, kiedy nie musisz znać tych osób z internetu, ale widzisz ich obecność w przestrzeni, ale jest też dużo ludzi, którzy robią street art dla własnej przyjemności. Idą na jakąś „bardaszkę", opuszczony budynek, siedzą tam dzień czy dwa, malują, robią zdjęcie i to jest tylko dla nich, dla samego procesu i przyjemności malowania. Tego nikt później nie zobaczy na żywo, bo budynek za dwa lata się zawali, ale zdjęcie będzie krążyć po internecie, może mieć milion lajków i obiec cały świat. A realnie nikt tego nie zobaczy. I to też jest spoko.

Jednym z najbardziej viralowych postów ostatnio był wygenerowany przez AI ślub Zendayi i Toma Hollanda. Obawiasz się, że sztuczna inteligencja odbierze artystom pracę?
Na pewno będzie odbierać, bo taki jest rozwój cywilizacyjny i tego nie zmienimy. I tutaj znowu wracamy do tego, czy ktoś jest twórcą, czy odtwórcą. Jak ktoś jest odtwórcą, to AI zrobi to od razu lepiej, ale jak ktoś jest twórcą, to AI samo nie stworzy czegoś od podstaw. Może to poprawić, przekonwertować, ogarnąć po swojemu, ale sama myśl i stworzenie czegoś wymaga jednak człowieka, emocji i uczuć. Trzeba czegoś doświadczyć, żeby potem przełożyć to na dzieło sztuki – nieważne, czy to rzeźba, obraz czy obiekt. Wydaje mi się, że malarze, ludzie zajmujący się rękodziełem, będą mieli pracę. Natomiast jeśli chodzi o rzeczy bardziej graficzne, komputerowe, składanie czegoś w Photoshopie, to AI już teraz robi to szybciej i lepiej. Natomiast w ogóle nie myślę w tych kategoriach. Nie zastanawiam się, czy będę miał pracę. Trochę inaczej na to patrzę.

Byliśmy ostatnio na prezentacji twojej rzeźby przy ul. Towarowej pt. „Przełom". Chcesz dalej rozwijać się w tym kierunku?
Bardzo bym chciał. Szczególnie tutaj, w Poznaniu. Tak jak mówiłem: po świecie maluję, ale rzeźby i obiekty bardzo mnie kręcą. Udało mi się postawić już dwie rzeczy dzięki uprzejmości pewnych ludzi i chciałbym iść dalej w tym kierunku. Niestety to jest bardzo problematyczne, jeżeli chodzi o papierologię, to przy takich obiektach pojawia się mnóstwo kwestii: części wspólne, plastyk miejski, pozwolenia, konserwacja, kto ma to czyścić, do kogo to należy. Te papiery mielą się bardzo długo. To nie jest łatwe. Dlatego też w Poznaniu nie ma aż tak dużo rzeźb czy obiektów tego typu, ale bardzo chciałbym iść w tę stronę, bo sądzę, że to są rzeczy nieśmiertelne. A samo ich tworzenie daje dużo szczęścia. Mogę w pewien sposób zwizualizować swoje pomysły i pokazać je w trójwymiarze.

Czego twoim zdaniem Poznań jeszcze o sobie nie zauważył, a ty widzisz to z poziomu ulicy?
Na pewno uważam, że brakuje tutaj neonów. W moim odczuciu to jest rzecz łopatologicznie prosta do zrobienia, a historycznie przecież byliśmy miastem neonów. Mieliśmy kiedyś ulice neonowe i wydaje mi się, że wystarczyłby bardzo prosty ruch, może nawet jedna ustawa, żeby całkowicie zmienić miasto pod tym względem. Przyciągnąć ludzi, sprawić, żeby Poznań był charakterystyczny.
Mam wrażenie, że w kwestiach estetycznych jesteśmy trochę nijacy. Święty Marcin po remontach wygląda tak sobie, ale nie zdziwię się, jak za trzy lata znowu będzie przebudowa. Brakuje nam własnego stylu, takiej charakterystycznej estetyki miasta. Tak jak w Barcelonie. Tam widać, że stoi za tym jakaś myśl. W architekturze nie oszczędza się na pewnych rzeczach i kiedy wchodzisz do miasta, masz efekt „wow". Tutaj brakuje też jakości wykonania niektórych rzeczy. Jestem detalistą, dużo podróżuję po świecie, dotykam wszystkiego, patrzę na murki, poręcze, wykończenia i widzę, że u nas często jest to zrobione niechlujnie.

Mówiłeś, że w Poznaniu mało się dzieje. Jak dziś oceniasz sytuację artystyczną i kulturalną miasta?
Nadal jesteśmy w tle za Warszawą, Krakowem i Wrocławiem.

Pamiętasz którąś ze swoich realizacji, która była bliska porażki albo niedokończenia, ale ostatecznie się udała?
Myślę, że każda z tych rzeźb. Ta rzeźba na Placu Wielkopolskim to była walka z wiatrakami. W międzyczasie przyszedł COVID, stal strasznie poszła w górę, więc wszystko zrobiło się dużo droższe. Takie wielkoformatowe obiekty ciągną się latami. „Przełom" ciągnął się chyba cztery lata. Trzeba się uzbroić w cierpliwość. W tym nie można być człowiekiem „w gorącej wodzie kąpanym", bo można dużo stracić. Powolutku, małą łyżeczką i się uda. Moje podejście jest takie, że jak już coś sobie wymarzę, to będzie to zrobione. Nieważne, czy za dwa lata, czy za dziesięć. Jak trzeba, sam to sobie zbuduje i tyle. Kropka.

Obawiasz się, że Pan Peryskop może kiedyś stać się atrakcją turystyczną podobną do krasnali we Wrocławiu?
Czemu nie? Wydaje mi się, że byłoby to fajne zarówno dla mnie, jak i dla miasta. Tylko u mnie działa to trochę inaczej. Ktoś widzi ten dziwny łom i zastanawia się: „O co chodzi? Kto to wymyślił?". Jest jakaś zagadka. Krasnale są bardziej oczywiste. Widzisz krasnala i tyle. Ja bym chciał robić takie rzeczy trochę inaczej, z moim charakterystycznym jajem. Może jakieś Watcherki w przestrzeni miasta... Nigdy nie miałem potrzeby, żeby to było „nie wiadomo czym". Ja po prostu nazwałem tę postać Watcher, inni nazwali ją Panem Peryskopem i to samo zaczęło żyć. Nie było w tym wielkiej strategii. Ludzie chyba chcieli się z czymś identyfikować, bo w Poznaniu niewiele się działo, a nagle pojawił się ten „pamperek", którego można spotkać na całym świecie. Cała zabawa zaczęła mieć sens dopiero po latach. Ta postać jest dziś w całej Europie i kiedy jesteśmy gdzieś daleko, a ktoś nagle ją rozpoznaje, to cały koncept się domyka. Ja też nigdy się pod tym nie podpisuję, więc ludzie sami muszą do tego dojść. Czasem ktoś po ośmiu czy dziesięciu latach nagle odkrywa: „Boże, widziałem to w tylu miejscach i nie wiedziałem, że to ty". I właśnie o tę grę chodziło od początku. Mogłem dziesięć lat temu wszystkim powiedzieć: „To jest Noriaki", ale dużo fajniejsze jest, to kiedy ludzie sami to odkrywają

Liczyłeś kiedyś, ile zrobiłeś Watcherów?
Nie liczyłem. Ktoś mnie ostatnio zapytał, czy zrobiłem w życiu sto Watcherów, a ja odpowiedziałem: „Tak, dzisiaj". I to było w Londynie. Oczywiście nie mówię o wielkoformatowych rzeczach, ale o tagach, wlepkach i całych ilościach drobnych rzeczy. Tego są już takie ilości, że nie liczę ich w sztukach, tylko praktycznie w centymetrach stosów. Jak jestem „rozkulany" na świecie, to człowiek o niczym innym nie myśli. Nawet nie ma czasu zjeść. Chodzi i maluje. Watcherów jest cała masa, nie jestem w stanie tego zliczyć. Może kiedyś powstanie jakaś mapa tego wszystkiego. Dużo dużych projektów jest jeszcze w planach, ale jak będzie, zobaczymy.

CV

Noriaki to tajemniczy, poznański twórca street artu i malarz. Rozpoznawalność w całej Polsce (i na świecie) przyniósł mu Watcher, nazywany też Panem Peryskopem. To charakterystyczna, zantropomorfizowana postać z jednym okiem, osadzonym na długiej szyi. Pochodzi z Poznania.

eprasa.pl bb45e65d74

Polska
Piątek–niedziela, 22–24.05.2026

POZOSTAŁO JESZCZE WIELE NIEWIADOMYCH

Przed nami sądna, już ostatnia kolejka w PKO Ekstraklasie w sezonie najbardziej zwariowanym od lat. Jedno jest pewne - będą emocje!

Jacek Czaplewski

W sobotnie późne popołudnie trzy zespoły powalczą o wicemistrzostwo Polski gwarantujące eliminacje Ligi Mistrzów. Trzy kolejne pozostają w grze o europejskie puchary w ogóle - dzięki dodatkowej przepustce do kwalifikacji Ligi Konferencji. W tym drugim gronie - ku powszechnemu zaskoczeniu - jest Legia Warszawa.

Z klubów ścisłej czołówki tylko najlepszy w stawce Lech Poznań może skupić się na świętowaniu. Kolejorz już tydzień temu przypieczętował bowiem zdobycie drugiego z rzędu i dziesiątego w historii mistrzostwa. O Ligę Mistrzów tym razem nie powalczy sam. Po raz pierwszy w historii do boju wyślemy również wicemistrza - także od drugiej rundy, ale na znacznie trudniejszej ścieżce.

O ten przywilej do samego końca starają się trzy zespoły. To aktualny wicelider Górnik Zabrze, trzecia Jagiellonia Białystok, która również uzbierała 53 punkty i będący tuż za podium Raków Częstochowa. Aktualny wicemistrz ma oczko mniej.

Wszyscy rozegrają mecze u siebie. Górnik podejmie Radomiaka, Jagiellonia - Zagłębie Lubin, zaś Raków zmierzy się z Arką Gdynia, która jako druga w kolejności spadła do Betclic 1 Ligi.

Teoretycznie w najlepszym położeniu jest Górnik. Zespół Michala Gasparika potrzebuje tylko i aż wygranej. Każda strata punktów może oznaczać problemy, które planują wykorzystać Jagiellonia z Rakowem.

Co stanie się w przypadku równej liczby punktów? Wtedy o kolejności w tabeli decydują mecze bezpośrednie. Górnik ma korzystny bilans z Jagiellonią (2:1, 2:1) i Rakowem (3:1, 1:0), więc w takim przypadku, nawet gdyby trzy zespoły miały identyczny dorobek punktowy, wicemistrzem również zostanie zdobywca Pucharu Polski z Zabrza.

Przypomnijmy, Polska wysyła do europejskich pucharów nie cztery, ale pięć zespołów. Górnik jako triumfator krajowego pucharu już zagwarantował sobie eliminacje co najmniej Ligi Europy od III rundy. Jeżeli jednak zostanie wicemistrzem, to zagra o Ligę Mistrzów, a miejsce w kwalifikacjach Ligi Europy odda brązowemu medaliście mistrzostw Polski. W takim przypadku czwarte i piąte miejsce będą gwarantować eliminacje Ligi Konferencji - od II rundy.

Walka o piąte miejsce właśnie zapowiada się równie pasjonująco. Kandydatów też jest trzech. To według aktualnej tabeli GKS Katowice (49 punktów), Zagłębie Lubin (48 punktów) oraz sensacyjnie Legia Warszawa (46 punktów), która w tych rozgrywkach reprezentowała nas trzy razy z rzędu. W ubiegłej edycji nawet dotarła do ćwierćfinału.

Trener Marek Papszun, który przegrał zaledwie dwa z piętnastu meczów w Legii - odkąd przejął stołeczny zespół po zakończeniu poprzedniej rundy - po pokonaniu Lechii Gdańsk (2:1) mówił tak: - Przychodząc, chciałem przede wszystkim pomóc klubowi uchronić go przed degradacją. To był cel numer jeden. Wierzę w to, co robię. Wierzę w ludzi, z którymi pracuję. Drużyna mi zaufała, ja ufam zawodnikom. To jest efekt konsekwentnej i systematycznej pracy. Krok po kroku - nawet, gdy coś się nie udaje. Pokonujemy trudności, bo one zawsze się pojawiają. Trzeba działać, a my to robimy. Chcemy dalej iść do przodu. W ostatniej kolejce musimy zrobić wszystko, co możemy zrobić - wygrać. Aby nikt nie żałował, że wysypaliśmy się na ostatniej prostej.

Legia podejmie Motor Lublin, Zagłębie jedzie do Białegostoku, GKS Katowice wybiera się do Szczecina. Legia, żeby prześcignąć rywali w tabeli i zająć drogocenne piąte miejsce, ma obowiązek wygrać, ale to jeszcze nie wszystko. GieKSa musi przegrać, a Zagłębie, z którym warszawska drużyna ma lepszy bilans bezpośrednich starć, przegrać lub zremisować. Jeżeli natomiast Zagłębie zrówna się punktami z GieKSą, a Legia z tego wyścigu odpadnie, to o puchary zagra drużyna z Katowic, ponieważ ma lepszy bilans z Miedziowymi.

Pozostało zatem naprawdę wiele niewiadomych, ale jedno jest pewne - to będzie bardzo emocjonująca sobota!



FOT. DAWID WYGAS

Górnik Zabrze ma już Puchar Polski, teraz walczy o tytuł wicemistrza

NERWOWO W AŻ CZTERECH DRUŻYNACH

Jacek Czaplewski

Dopiero w ostatniej kolejce PKO Ekstraklasy poznamy trzeciego spadkowicza. Kto nim zostanie? Zagrożone są aż cztery zespoły. O uniknięcie czarnego scenariusza powalczą Cracovia, Lechia Gdańsk, Piast Gliwice oraz Widzew Łódź. Każdy z nich tak naprawdę ma swój los w garści.

Do 1. Ligi spadli już dwaj beniaminkowie. To ostatnia Bruk-Bet Termalica Nieciecza i przedostatnia Arka Gdynia, która przegrała z nią w miniony poniedziałek kluczowy mecz, przez który straciła matematyczne szanse. O wszystkim zadecydował doliczony czas. W ciągu dosłownie sekund akcja przeniosła się z jednego pola karnego na drugie. Arka swoją piłkę meczową zmarnowała. Termalica - przeciwnie. W Gdyni skończyło się 2:3.

Co przed nami? Widzew podejmie Piasta Gliwice. Cracovia zagra z Koroną Kielce, która zagwarantowała sobie utrzymanie w poprzedniej kolejce. A Lechia jedzie do Niecieczy.

Lechia bezwzględnie potrzebuje wygranej. Jeśli zwycięży, to się utrzyma. Każdy inny wynik sprawi, że spadnie z PKO Ekstraklasy - nawet remis przy porażce Widzewa, z którym ma gorszy bilans bezpośredni, a właśnie ten czynnik jest decydujący przy równej zdobyczy punktowej. Serwis 90minut.pl, wyliczył prawdopodobieństwo Lechii na spadek aż na 47,6 procent - to zdecydowanie najwięcej ze wszystkich. Złych informacji z perspektywy biało-zielonych jest więcej. Drużyna z Wybrzeża nie wygrała od przeszło miesiąca, notując ostatnio serię czterech porażek z rzędu. Średnio traci blisko dwie bramki na mecz.

- To jest powtarzający się schemat. Nie blokujemy dośrodkowań, źle kryjemy w polu karnym, nie zbieramy drugich piłek - wyliczał po przegranej z Legią Warszawa trener John Carver. A na domiar złego ze środka pola wypadł mu pauzujący za kartki Iwan Żelizko. Kontuzje wykluczyły natomiast Bohdana Wjunnyka i Dawida Kurminowskiego.

Tylko i aż 29,9 procent sięga prawdopodobieństwo spadku Widzewa. W 1. Lidze łódzki klub znajdzie się wówczas, jeśli Lechia wygra, a on sam przegra z Piastem lub nawet zremisuje. To byłaby prawdziwa katastrofa! Właściciel Robert Dobrzycki za namową niekompetentnych działaczy i doradców w tym sezonie wydał około 100 mln złotych na transfery - więcej niż Lech Poznań czy Legia Warszawa. Zespół prowadziło już czterech trenerów. Efekt jest jednak opłakany - do samego końca trzeba walczyć o cel, który powinien zostać zrealizowany na początku rundy. Z powodu kartek nie zagra motor napędowy ofensywy, Emil Kornvig. Pikanterii dodaje fakt, że o życie przyjedzie walczyć zespół Daniela Myśliwca, którego z Łodzi zrezygnowano przy pierwszym kryzysie w obecnym sezonie.

Prawdopodobieństwo spadku prowadzonego przez Myśliwca Piasta wyliczono na 16,1 procenta. Mało? Pozory mylą. Widmo degradacji wydaje się całkiem realne. Wystarczy, że Widzew i Lechia wygrają, a Cracovia ugra przynajmniej remis. Warunków do spełnienia jest zatem sporo, ale wszystkich wykluczyć nie wolno.



FOT. PRZEMYSŁAW SWIDERSKI

Arka Gdynia już spadła z Ekstraklasy

W najbardziej komfortowym położeniu wydaje się być Cracovia, w przypadku której prawdopodobieństwo spadku wynosi zaledwie 6,4 procent. Istnieje tylko jeden czarny scenariusz, który zakłada twarde lądowanie: to porażka z Koroną przy równoczesnych zwycięstwach Widzewa i Lechii. Przy Kałuży nikt za bardzo nie wierzy, że akurat drużyna Jacka Zielińskiego miałaby sprawić gigantyczne problemy. Kto wie czy pierwszy raz kibice nie ucieszą się z... remisu. Cracovia bowiem wyspecjalizowała się w minionych tygodniach w podziale punktów z rywalami. Z nowym trenerem Bartoszem Grzelakiem zremisowała wszystkie cztery mecze, natomiast na przestrzeni całego sezonu zanotowała aż czternaście takich rezultatów i jest to najwyższy współczynnik w ekstraklasowej stawce.

Warto dodać, że spośród wszystkich zagrożonych degradacją drużyn to Lechia ma najkrótszy, nieprzerwany staż w PKO Ekstraklasie - ledwie dwa sezony. Widzew rozgrywa czwarty, Cracovia trzynasty, zaś rekordzista Piast - już czternasty.

eprasa.pl bb45e65d74

MAREK JÓŹWIAK: NASZA LIGA JEST NIEOBLICZALNA, A CZASEM ŚMIESZNA

Na finiszu bardzo szczególnego sezonu, w którym przed ostatnią kolejką nie znamy jeszcze wicemistrza kraju, piątego pucharowicza i ostatniego spadkowicza, rozmawiamy z Markiem Jóźwiakiem, byłym obrońcą Legii Warszawa i reprezentacji Polski, dziś wziętym ekspertem

Zbigniew Czyż

Lech Poznań obronił tytuł mistrza Polski i po raz drugi z rzędu zagra w eliminacjach Ligi Mistrzów. Kolejorz zasłużenie sięgnął po trofeum?
Lech obronił mistrzostwo Polski kolejkę przed końcem rozgrywek i to przede wszystkim należy docenić, że zdołał znowu wywalczyć tytuł. W naszej ekstraklasie nie znalazł sobie równych, choć drużyna z Poznania w kończących się rozgrywkach także miała różne fazy. Były wzloty i upadki, ale Kolejorz dobrnął szczęśliwie do brzegu i zasłużenie zdobył złoty medal.

Polscy kibice czekają na Champions League nad Wisłą już dziesięć lat, gdy po raz ostatni w tych rozgrywkach zagrała Legia Warszawa. Lech ma szanse w końcu dostać się do elity?
Przede wszystkim potrzebuje trzech, czterech wzmocnień, aby nie było takich niespodzianek jak w ubiegłym roku, gdy walczył z Crveną Zvezdą Belgrad. Mam nadzieję, że przy Bułgarskiej wyciągnięto wnioski i Lech zostanie wzmocniony wcześniej niż kilka dni przed startem rozgrywek. Myślę, że w Poznaniu zdają sobie doskonale sprawę, że potrzebny jest przede wszystkim zmiennik dla Mikaela Ishaka. Szwed potrzebuje kogoś do prawdziwej rywalizacji, ale też zawodnika, który go wesprze w trudnych spotkaniach. Myślę, że w Lechu konieczne są wzmocnienia w każdej formacji, by móc skutecznie walczyć o Ligę Mistrzów.

Misję powinien kontynuować trener Niels Frederiksen? Wciąż nie wiadomo, czy zostanie w Poznaniu, choć rozmowy na ten temat są podobno zaawansowane.
Z Lechem zdobył dwa z rzędu mistrzostwa Polski i to wiele mówi, więc jestem ciekawy jak właściciel i prezes klubu Piotr Rutkowski podejdzie do tej sprawy i czy duński szkoleniowiec będzie kontynuował swoją misję.

Bardzo ciekawie zapowiada się walka o wicemistrzostwo Polski i drugie miejsce dla polskiego zespołu w eliminacjach Ligi Mistrzów. Wszystkie zainteresowane drużyny, Górnik Zabrze, Jagiellonia Białystok i Raków Częstochowa rozegrają ostatnie mecze u siebie, kolejno z Radomiakiem, Zagłębiem Lubin i Arką Gdynia; przy czym wszystko w swoich rękach ma zdobywca Pucharu Polski z Zabrza, który obecnie jest drugi w tabeli.
Górnik zdobywając Puchar Polski nabrał wiary we własne umiejętności, choć tuż po finale był trochę zmęczony i stracił punkty w dwóch kolejnych meczach. Wciąż jednak imponuje dobrą grą ofensywną i bardzo solidną defensywą.

Co jeszcze przemawia za klubem z Zabrza?
Górnik wystąpi na własnym stadionie, który zapełni się do ostatniego miejsca i myślę, że także dzięki wspaniałej atmosferze nie wypuści już z rąk wielkiej okazji na wicemistrzostwo Polski. I to właśnie on wywalczy drugie miejsce

Pasjonująco zapowiada się również walka o ostatnią, piątą lokatę premiującą grę w europejskich pucharach. W stawce są GKS Katowice, który zagra na wyjeździe z Pogonią Szczecin, Zagłębie Lubin, które wystąpi w Białymstoku przeciwko Jagiellonii i niespodziewanie Legia Warszawa.
To w pigułce pokazuje, jak nieprzewidywalny był ten kończący się już sezon i jak wyrównana jest ekstraklasa. Legia zmierzy się u siebie z Motorem Lublin i musi wygrać, a to nie jest takie oczywiste. Dopóki matematyczna szansa istnieje, to należy się jej przyjrzeć i wykorzystać. Wygrana z Lechią spowodowała, że ekipa Marka Papszuna wciąż może marzyć o występie na jesieni w Europie.



Jóźwiak: Były wzloty i upadki, ale Kolejorz dobrnął szczęśliwie do brzegu



FOT. PAP/PIOTR POLAK

Wisła Kraków awans do Ekstraklasy świętowała na początku maja

FOT. WOJCIECH MATUSIK

Jeszcze dwie kolejki temu Warszawianie drżeli o utrzymanie. Tabela ekstraklasy przez większość sezonu była bardzo spłaszczona, a na finiszu okazuje się, że przy nieco lepszej grze Legia mogła na poważnie włączyć się do walki o tytuł, nawet po fatalnej dla siebie rundzie jesiennej.
Nasza liga jest szalona, nieobliczalna, nierówna, zaskakująca, tragiczna, emocjonująca i czasami śmieszna. Każdy walczy o coś, a to pokazuje też, jak przesądzanie znacznie przed ligowym finiszem, kto będzie mistrzem, a kto spadnie, ma się nijak do rzeczywistości. To prognozowanie pod naszą szerokością nie miało większego sensu, choć większość faworytów jednak znalazła się na koniec sezonu w czołówce.

Sporo ciekawego zapowiada się również w walce o uniknięcie degradacji. O pozostanie w ekstraklasie walczą Piast Gliwice, Cracovia, Widzew Łódź, Lechia Gdańsk. Przesądzony jest już los Termaliki Nieciecza i Arki Gdynia. Szczególnie ciekawie zapowiada się mecz w Łodzi pomiędzy Widzewem a Piastem.
Będzie naprawdę gorąco. Widzew ma wszystko w swoich nogach, rękach, głowach i sercach. I to jest dla niego najważniejsze. W ostatniej kolejce Legia zagrała dla Widzewa, wygrywając w Gdańsku i myślę, że kibice łódzkiej drużyny po raz pierwszy w życiu mocno ściskali kciuki, żeby Legia wygrała mecz. To spowodowało, że w ostatniej kolejce wszystko zależy właśnie od Widzewa.

Zespół trenera Aleksandara Vukovicia nie musi liczyć na nikogo innego, a to w takiej sytuacji będzie niezwykle ważne?
Wygrywając z Piastem, Widzew utrzyma się w lidze. Jeśli zremisuje lub przegra, będzie musiał liczyć na potknięcie Lechii, która zagra w zdegradowanej już Niecieczy i powinna stamtąd wywieźć trzy punkty. Końcówka sezonu jest niespotykanie ciekawa i to dla kibiców wielu drużyn, praktycznie czternastu zespołów. To pokazuje, że trzeba chodzić na stadiony i oglądać rozgrywki w Canal Plus, bo nasza liga przynosi naprawdę sporo emocji i zaskakujących zwrotów akcji.

Do ekstraklasy wracają wielkie firmy, Wisła Kraków i Śląsk Wrocław i chyba śmiało można powiedzieć, że dzieje się to z dużą korzyścią dla polskiej piłki?
Jak najbardziej. Wisła cztery lata walczyła o powrót i wreszcie dopięła swego, a Śląsk wraca po roku banicji. Fajnie, że te drużyny znów będą w najwyższej klasie rozgrywkowej. To na pewno podniesie oglądalność i prestiż ekstraklasy. Te kluby mają piękne stadiony, bogatą historię i mnóstwo kibiców. Mecze z ich udziałem, jestem pewien, dostarczą wielu emocji. Osobiście bardzo się cieszę, bo to są zasłużone firmy.

eprasa.pl bb45e65d74

Polska
Piątek–niedziela, 22–24.05.2026

BALLADA O JACKU ZEJDLERZE, SERIALOWYM TOLKU BANANIE

Jacek Zejdler nie żyje już blisko pięćdziesiąt lat. Był łodzianinem. Dla wielu osób pozostał niezapomnianym Tolkiem Bananem, bohaterem popularnego serialu. Okoliczności jego śmierci do dziś owiane są tajemnicą

Seriale Kochają Łódź.

Anna Gronczewska



FOT. FILM POLSKI

Jacek Zejdler zagrał Szymka Krusza, chłopaka, który podszywa się pod Tolka Banana, rzekomego uciekiniera z domu poprawczego i zajmuje się grupą tzw. trudnej młodzieży

Jacek Zejdler urodził się 19 stycznia 1955 roku w Łodzi. Jego ojciec Andrzej był adwokatem, mama Barbara lekarzem, znaną pediatrą. Jacek skończył III LO im. Tadeusza Kościuszki. Po maturze, którą zdał w 1973 roku dostał się do Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi. Nie był anonimowym chłopakiem. Miał za sobą epizod w „Niewiarygodnych przygodach Marka Piegusa", zanim zasłynął tytułową rolę w serialu Stanisława Jędryki „Stawiam na Tolka Banana".

Pokolenie dzisiejszych pięćdziesięcio- czy sześćdziesięciolatków powie, że był to ulubiony film ich dzieciństwa. Nie było podwórka, na którym nie nucono by piosenki o Tolku Bananie, o jego starych dżinsach i dziurawych kamaszach. Jacek Zejdler zagrał Szymka Krusza, chłopaka, który podszywa się pod Tolka Banana, rzekomego uciekiniera z domu poprawczego i zajmuje się grupą tzw. trudnej młodzieży.

Fatum ciążyło nad aktorami serialu

Serial do dziś cieszy się wielką popularnością. Głównie dzięki młodym aktorom, którzy w nim zagrali. Znalazł ich reżyser „Stawiam na Tolka Banana" nieżyjący już Stanisław Jędryka. Nie ukrywał, że ciążyło nad nimi jakieś fatum.

– Z sześciu aktorów grających główne role nie żyje już trzech – mówił nam w wywiadzie Stanisław Jędryka. – Ale żyją dalej w serialu. Sergiusz Lach przyszedł na zdjęcia próbne po ogłoszeniu w gazecie. Gdy go zobaczyłem, to od razu wiedziałem, że to idealny kandydat na „Filipka". Dalej nie szukałem. Po latach odwiedziłem go w Sztokholmie, gdzie mieszkał. Był działaczem „Solidarności" i w pewnym momencie postanowił wyemigrować do Szwecji, bo groziły mu przykre konsekwencje. Pojechał do Szwecji, a następnego dnia zjawili się u niego panowie z SB. Jacek Zejdler studiował już wtedy w łódzkiej Szkole Filmowej. Był idealnym aktorem do roli Tolka. Ostatni raz spotkałem się z nim na Mazurach. Kręciłem tam „Szaleństwo Majki Skowron". Nagle ktoś zaczął wykrzykiwać w moją stronę: Dzień dobry, panie reżyserze! Był to Jacek. Kilka lat później nie żył...

Wspominany przez reżysera Sergiusz Lach zmarł nagle w Szwecji w 2015 roku. Miał 54 lata. W Szwecji mieszkał od lat, zajmował się między innymi fotografią. Nie żyje też Andrzej Kowalewicz, który w „Stawiam na Tolka Banana" grał „Cygana", chłopaka o czarnych, kręconych włosach, który pięknie grał na skrzypcach. Nie związał się jednak z aktorstwem. Wiele podróżował, zajmował się handlem, był właścicielem firmy serwisowej. W 2012 roku zginął w wypadku samochodowym...

Filip Łobodziński, dziś znany dziennikarz i tłumacz, opowiadał w jednym z wywiadów o swojej znajomości z Jackiem Zejdlerem. Poznali się na planie „Stawiam na Tolka Banana".

– Jacek odmienił moje życie – mówił o swoim koledze Filip Łobodziński. – Powiedział mi o „Ilustrowanym Tygodniku Rozrywkowym" Jacka Janczarskiego i Adama Kreczmara, zeszyt, w którym spisywał teksty Beatlesów. Pokazał mi, że słowa piosenek mogą nieść treść.

SB szła za nim krok w krok

Gdy Jacek studiował w Szkole Filmowej, był już znanym człowiekiem. Jednak koledzy zapewniają, że popularność go nie zmieniła.

Na studiach w łódzkiej Szkole Filmowej Jacek związał się z łódzkim środowiskiem skupionym wokół Komitetu Obrony Robotników. Łodzianin Józef Śreniowski, członek KOR, dobrze pamięta Jacka Zejdlera. Tak jak pierwsze spotkanie z aktorem. KOR zbierał podpisy pod listem do sejmu, w którym domagano się zwolnienia z więzień robotników zatrzymanych po wydarzeniach w Radomiu i Ursusie.

– Nie było nas w Łodzi wielu – wspomina Józef Śreniowski. – Pomagali nam studenci, m.in. z polonistyki, fizyki, biologii. Zapamiętałem też dwójkę młodych ludzi, którzy studiowali w szkole filmowej. Przynieśli bardzo dużo podpisów.

Tymi studentami byli Jacek Zejdler i studentka reżyserii, nieżyjąca już Natasza Czarmińska.

Józef Śreniowski nawiązał bliższą znajomość z Jackiem.

– Przychodził często do mnie do domu – mówi Józef Śreniowski. – Nie interesował się polityką, ale związał się z nami z powodu moralnego sprzeciwu. On szukał swojego miejsca w życiu. Był bardzo wrażliwym młodym człowiekiem.

Dziewczyna Tolka Banana

Po skończeniu Szkoły Filmowej Jacek Zejdler dostał etat w Teatrze im. Jaracza. Nieżyjąca już Barbara Wałkówna, długoletnia aktorka tego teatru, która wykładała też w Szkole Filmowej, zapamiętała Jacka z roli Gucia w „Ślubach panieńskich". Zagrał ją jeszcze na studiach. Był to jednocześnie jego dyplom.

– Pięknie zagrał tego w Gucia – wspominała Barbara Wałkówna. – Nie był za wysoki, ale na scenie był pełen wdzięku, bardzo zabawny. Prywatnie robił wrażenie człowieka spokojnego, z poczuciem humoru. Takiego, do którego uśmiecha się świat.

Aktor dalej współdziałał z łódzką opozycją. Nieżyjący już Tomasz Filipczak, działacz podziemia, mówił nam, że Jacek był jednym z najwspanialszych ludzi, jakich spotkał na swojej drodze.

Dziewczyną Jacka Zejdlera była znana, nieżyjąca już aktorka Daria Trafankowska, o rok starsza od Jacka. Razem studiowali aktorstwo w łódzkiej Szkole Filmowej.

– Dziewczyna Tolka Banana! – krzyczały dzieci, gdy szła z Jackiem łódzkimi ulicami.

Jednak ich związek nie przetrwał. Jacek poznał inną dziewczynę, z którą się ożenił. Po latach Daria Trafanowska opowiadała, że dostała dramatyczny list od swojego byłego chłopaka. Jacek miał w nim pisać, że nic nie ma sensu i myśli o tym, by pożegnać się z tym światem. Ona przygotowywała się do premiery „Braci Karamazow". Kilka dni po niej dotarła do niej tragiczna wiadomość..

Dyrektor wyrzucił go z teatru

W 1979 roku Jacek Zejdler zagrał jeszcze w serialu Jerzego Hofmana „Do krwi ostatniej". Grał Zbyszka Trepko, młodego chłopaka wstępującego do armii Zygmunta Berlinga. Ale ten rok nie był dla niego szczęśliwy. Stracił pracę w łódzkim Teatrze im. Jaracza. Dziś już trudno dociec dlaczego. Tomasz Filipczak przekonywał, że były to powody polityczne.

– Wystawiano spektakl z czasów rzymskich, tytułu nie pamiętam – opowiadał Tomasz Filipczak. – Jacek z kolegami na ścianie sceny umieścił wielki napis: „KOR".

Jacek był rozczarowany tą decyzją. Z dnia na dzień pozostał bez pracy. Pomogli przyjaciele. Dwóch grało w Teatrze im. Jana Kochanowskiego w Opolu. Zapytali ówczesnego dyrektora Bogdana Cybulskiego, czy przyjmie Jacka. Zgodził się. Tak we wrześniu 1979 roku Jacek Zejdler znalazł się w Opolu. Zaczął próby do „Wojny chłopskiej" Jonasza Kofty. Premiery nie doczekał...

Zdzisław Jaskuła, nieżyjący już znany łódzki poeta, były dyrektor Teatru Nowego w Łodzi, też działacz opozycji, widział się z Jackiem Zejdlerem na kilka dni przed jego śmiercią. Pamięta tylko, że miało to miejsce w mieszkaniu ich wspólnej koleżanki Joasi. Zapamiętał Jacka jako niesłychanie wrażliwego, młodego człowieka.

– Tego wieczora rozmawialiśmy bardzo długo – wspominał Zdzisław Jaskuła. – Widać było, że jest w depresji. Miał nieciekawą sytuację rodzinną, której szczegółów nie znałem. Chodziło o rozczarowanie miłosne. Pojawiły się problemy w jego małżeństwie. Miał poczucie absurdu dalszej egzystencji. To osobiste nieszczęście bardzo przeżywał. Przekonywałem Jacka, że życie ma sens. Gdy się rozstawaliśmy, wydawało się, że jest weselszy, uspokojony. Ale chyba było to tylko złudzeniem. Kilka dni potem dowiedziałem się, że nie żyje.

Dlaczego umarł?

O śmierci Jacka Zejdlera przez lata krążyły legendy. Mówiono, że Tolek Banan zginął w wypadku samochodowym. Pojawiały się informacje, że esbecy zrzucili go z mostu na Odrze, albo przejechali go autem. Inna z wersji mówiła, że związali aktora, wsadzili do śpiwora i odkręcili gaz. Jak było naprawdę?

Józef Śreniowski jeszcze dziś nie wyklucza, że za sprawą śmierci Jacka Zejdlera stała SB, że było to upozorowane samobójstwo. Wie, że aktora nękało SB. Powiedział mu kiedyś, że jest szantażowany przez esbeków. Nie zdradzał jednak, o co chodzi.

– Raz tylko zdenerwowany Jacek krzyknął: Nie zrobią ze mnie kapusia! – wspomina Józef Śreniowski.

Bliski przyjaciel Jacka opowiada, że kiedy był z nim na kursach dokształceniowych organizowanych w Łodzi, w jednym z mieszkań przy ul. Narutowicza, niedaleko słynnej przed laty kawiarni „Irena", wpadli tam esbecy. Potem on wyjechał z Łodzi, Jacek został. Wie, że był ciągany przez SB. Jednak jego zdaniem to, co się stało, było zbiegiem splotu psychologicznych zdarzeń. Rok przed śmiercią Jacek ożenił się. Gdy wyjechał do Opola, jego żona została w Łodzi. Zaczęło się coś psuć. Bardzo to przeżywał.

– Wydawało się, że nie jest kruchy, ma dużo siły – twierdzi jego przyjaciel. – Optymistycznie myślał o swojej przyszłości zawodowej, życiowej. Coś jednak musiało w nim pęknąć.

Imprezę sylwestrową, na której witano nowy 1980 rok zorganizował dyrektor opolskiego teatru, Bohdan Cybulski. Jacek był na tym sylwestrze. Podobno doszło do jakiejś wymiany zdań między nim a dyrektorem. Obaj byli po alkoholu. Jacek wyszedł z imprezy. Wrócił do swojego mieszkania. Na ulicy równo zaparkował swojego fiata...

Jacka znaleziono 2 stycznia 1980 roku. Ktoś poczuł gaz wydobywający się z jego mieszkania. Leżał w śpiworze, przy otwartym piekarniku. Podobno wcześniej wykręcił korki. Jacek Zejdler został pochowany w rodzinnej Łodzi, na cmentarzu przy ul. Szczecińskiej w Łodzi. Miał 25 lat. Niedługo przed śmiercią pojawił się w filmie „Wesela nie będzie". Zagrał w nim samobójcę, którego odratowano po kolejnej próbie odebrania sobie życia...

eprasa.pl bb45e65d74



FOT. PAWEŁ RELIKOWSKI

W muzeach we Wrocławiu i Środzie Śląskiej znajdują się odzyskane fragmenty znaleziska: prawie 8000 monet, gotycka korona ślubna, złote pierścienie i inne elementy j biżuterii. Wszystko jest warte ok. 250 mln złotych

OPOWIEŚĆ O „SKARBIE TYSIĄCLECIA" ZE ŚRODY ŚLĄSKIEJ

Skarb w Środzie Śląskiej odkrywano niejako dwa razy, a towarzyszące temu okoliczności nadają się co najmniej na film sensacyjny

Mariusz Grabowski

Obecnie odzyskane fragmenty skarbu średzkiego znajdują się w muzeach we Wrocławiu i Środzie Śląskiej. To gotycka korona ślubna, złote pierścienie, inne elementy średniowiecznej biżuterii, a także prawie 8 tys. monet. Wszystko warte przynajmniej ćwierć mld zł.

Odkrycie pierwsze

8 czerwca 1985 r. robotnicy robiący wykop pod fundamenty centrali telefonicznej przy niewielkiej ul. Daszyńskiego natrafili na kilka glinianych dzbanów wypełnionych złotymi i srebrnymi monetami. Znajdowało się w nim 3771 srebrnych krążków pochodzących z I poł. XIV w.: grosze praskie i miśnieńskie.

Odkrycie było sensacyjne, ale nie nadano mu rozgłosu. Znalezisko zabezpieczyli funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej i trafiło później do Muzeum Archeologicznego we Wrocławiu. Nie podjęto wówczas także żadnych prac badawczych w miejscu dokonania znaleziska, a przy Daszyńskiego kontynuowano dalsze prace budowlane.

Zajęto się też tymi, którzy część monet rozkradli. „Ponieważ – zgodnie z obowiązującym prawem – wszystko, co leży w ziemi, jest własnością Skarbu Państwa, postanowiono odzyskać złoty złom od osób, o których wiedziano, że byli »szczęśliwymi znalazcami«" - pisał w 1997 r. historyk sztuki Michał Gradowski, jeden z pierwszych, który oglądał i szacował znaleziska. „W dniu 28 czerwca i paru następnych organa MO dokonały licznych przeszukań, odzyskując kilka fragmentów złotych wyrobów i sporo monet. Sprawy nieuczciwych znalazców skierowano do prokuratury we Wrocławiu" - dodawał.

Tłum żądny złota

Minęły trzy lata i sprawa ucichła. Po raz drugi na skarb średzki natrafiono 24 maja 1988 r., tym razem podczas rozbiórki kamienicy stojącej przy Daszyńskiego 14. Nowe odkrycie, znacznie większe od poprzedniego, stało się szybko lokalną sensacją, która ściągnęła na miejsce znaleziska rzesze przypadkowych osób poszukujących srebra i złota.

„Znalezisko było na tyle ciekawe, że oczywiście odkrywcy i przypadkowi gapie skrzętnie wyzbierali monety, ale nikt nie zadał sobie trudu by pobiec za wywrotką na wysypisko, gdzie niebawem spychacz rozgarnął kolejny pagórek gruzu, a z nim górną część glinianego garnka wraz z zawartością - relacjonował Gradowski

Z ruin piwnic domu, zanim zareagowały odpowiednie władze, wyniesiono znaczną część monet i biżuterii. Z czasem pojawiła się także informacja, z której wynikało to, że precjoza pochodzące ze skarbu średzkiego można znaleźć na wysypisku gruzu zlokalizowanym na terenie Miejskiego Ośrodka Sportu i Rekreacji. Tam także pojawiły się hordy poszukiwaczy, często agresywne, którzy przeszukiwali hałdy gruzu w nadziei znalezienia czegoś drogocennego.

Ile to warte?

25 lipca zgromadzone w wyniku dotychczasowych działań przedmioty mogli obejrzeć wezwani biegli, a wśród nich cytowany tu Michał Gradowski. Po ich oględzinach nie było już żadnych wątpliwości: fragmenty korony, zausznica, pasek złotej blachy i kilka dodatkowych drobiazgów, okazały się obiektami o ogromnej rzadkości i olbrzymiej wartości historycznej i artystycznej. Prócz tego parę tysięcy monet. Całość została wstępnie datowana na XIII w.

Momentalnie powstał czarny rynek: srebrny grosz praski można było nabyć już za kilka niemieckich czekolad oraz paczkę dobrej kawy, a za garść srebrnych monet dwa kufle piwa prosto z beczki. Ludzie wymykali się nocami z domów, żeby kopać. Do znalazców docierali antykwariusze pytający po okolicy o precjoza i monety.

Szybko uruchomiono machinę administracyjną mającą na celu odzyskanie całości skarbu. Nielegalnym znalazcom zaproponowano odkupienie za 3-krotność wartości, to jednak nie przekonało wszystkich. Niezdecydowani nie spodziewali się chyba, że będą musieli się liczyć z konsekwencjami, bo żarty naprawdę się skończyły. Zaczęto ich śledzić i ścigać, włączając w to prokuraturę.

Milicja rewiduje

Akcję odzyskiwania fragmentu skarbu nazwano błyskotliwym kryptonimem „Korona". W jej wyniku ostatecznie udało się odzyskać wiele bezcennych znalezisk, w tym kolejne fragmenty korony, zausznice, sygnet i przede wszystkim kolistą zaponę, która obok korony jest główną ozdobą skarbu.

Do Środy Śląskiej zostali skierowani młodzi milicjanci, którzy zajęli się przesiewaniem ziemi. W nocy wysypiska pilnował wartownik, ale kiedy rano wychodził, amatorzy wykorzystywali ten czas, żeby kopać dalej. Nikt nie kontrolował tego, co znikało i gdzie.

Prokuratura wystawiła ponad pięćdziesiąt nakazów rewizji. W ten sposób w średzkich mieszkaniach znaleziono kilkaset monet i fragmenty biżuterii. Posiadacze tłumaczyli się rozmaicie, niektórzy zasłaniali się niewiedzą. Ale nikt nie przyznał się, że cokolwiek już zdążył sprzedać albo gdzieś wywieźć.

Bezcenny „złoty złom"

Gradowski wspominał: „21 lipca powołano nas jako biegłych i w 4 dni potem mogliśmy obejrzeć »złoty złom« zgromadzony we wrocławskiej prokuraturze. Były to fragmenty korony, zausznica, pasek złotej blachy, skromny pierścionek i kilka drobiazgów. Mimo luźno rozrzuconych elementów uznaliśmy niezwłocznie, że mamy tu do czynienia z koroną o powtarzalnych segmentach - obiektem ogromnej rzadkości oraz wielkiej rangi historycznej i artystycznej. Zausznica wśród znanych mi z literatury wielu obiektów tego typu (kilka lat pracowałem w warszawskim Muzeum Archeologicznym) wyróżniała się ozdobnością i bogactwem. Całość znaleziska wstępnie datowałem na wiek XIII z możliwością wejścia w sąsiednie stulecia. W protokole odnotowano także, że znalezisko zostało uznane za zespół pierwszorzędnej wartości".

Dodajmy, że elementy skarbu znajdowały się w różnym stanie. Jakość kruszcu, z jakiego wykonano biżuterię, powodowała, że ich powierzchnie zewnętrzne zachowały się doskonale. Najgorsze były uszkodzenia mechaniczne, jakich poszczególne elementy skarbu doznały, jak należy przypuszczać, w trakcie wykopywania ich koparką z ziemi oraz na wysypisku.

Kto był właścicielem skarbu?

Badacze dość szybko zidentyfikowali historię skarbu. Został prawdopodobnie ukryty w połowie XIV w., czyli w okresie, w którym miasta Śląska nawiedziła epidemia dżumy. Według badań przeprowadzonych przez historyków zajmujących się jego pochodzeniem był prawdopodobnie własnością bogatego bankiera żydowskiego Mojżesza, który w 1348 r. dokonał we Wrocławiu korzystnej dla siebie transakcji pożyczkowej, w wyniku której król Czech Karol IV Luksemburski zastawił u niego znaczną część swoich kosztowności w zamian za wsparcie finansowe starań o koronę cesarską. Podczas czarnej śmierci tenże Mojżesz w obawie przed prześladowaniami opuścił Środę Śląską i nigdy do niej nie powrócił. Nie odzyskał też skarbu, który zakopał w piwnicach swojego domu.

Ale są i inne teorie. Np. taka, że stanowiły one rezerwę skarbca Karola IV zastawioną lub sprzedaną za pośrednictwem Jana ze Środy Żydom średzkim, a następnie ukrytą przez nich w czasie pogromu.

Zacytujmy Rainera Sachsa, historyka sztuki, autora „Leksykonu Artystów i Twórców Rzemiosła Artystycznego Śląska": „Szczęśliwym trafem zachowały się przekazy pisane. (...) Mówią one, że 3.09.1348 r. król czeski Karol IV Luksemburski upoważnia: Jana, proboszcza kaplicy Wszystkich Świętych na Hradczanach, głogowskiego scholastyka Henryka, Petrusa de Luna i swego marszałka dworu Hubardusa Altari do poprowadzenia negocjacji w sprawie dużej pożyczki. 28.10 tegoż roku został wystawiony we Wrocławiu dokument zapewniający Żydowi Muscho ze Środy Śląskiej trzyletnie prawo do pobytu na Śląsku i zwolnienie z podatku żydowskiego za pożyczenie władcy większej sumy pieniędzy. Warto podkreślić, że pod postacią proboszcza Jana ukrywał się nikt inny, tylko późniejszy kanclerz cesarstwa Jan ze Środy Śląskiej".

Dziś skarb jest skrupulatnie i opisany, i skatalogowany, choć wciąż trafiają doń sporadycznie odzyskiwane artefakty (np. trzy fragmenty odnaleziono w 2005 r.). Najcenniejsza jest złota gotycka korona kobieca prawdopodobnie należąca do żony cesarza Karola IV Luksemburskiego, Blanki de Valois - wykonana w warsztacie sycylijskich mistrzów złotnictwa. Wysadzana jest bogato szlachetnymi kamieniami. Prawdopodobnie jej ostatnią właścicielką była Blanka de Valois, pierwsza żona Karola IV, zmarła w 1348 r., a więc niedługo przed domniemanym czasem ukrycia i utraty skarbu. Bezcenna jest także kolista zapona z kameą z chalcedonu w postaci orła, ozdobiona szlifowanymi kamieniami szlachetnymi, a także dwie pary złotych zawieszek: jedna pochodząca z XII w., druga o stulecie młodsza. Do tego dochodzą złote taśmy, pierścienie, bransolety i monety. To w większości srebrne grosze praskie wybite w czasie panowania Wacława II i Karola IV Luksemburskiego, ale także złote floreny, dukat, halerz i grosze miśnieńskie z czasów Fryderyka II Poważnego.

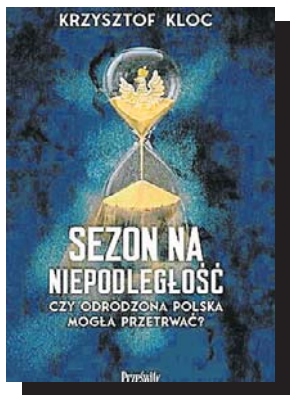
eprasa.pl bb45e65d74

Polska
Piątek–niedziela, 22–24.05.2026



NIEZBĘDNIK CZYTELNICZY

poleca
Agaton Koziński



Fenomen historii w Polsce na przykładzie pewnej książki

Polska to kraj dla historyków. Premier ma takie wykształcenie, prezydent podobnie. Były prezydent (Komorowski) i były premier (Morawiecki) również musieli na studiach pogłębiać różnice między Polską piastowską a Polską jagiellońską. Historyków zajmujących mniej prominentne, ale niewiele mniej istotne miejsca w naszym życiu publicznym, już całe zatrzęsienie. Fora komentatorskie są zasypane – zarówno historykami, jak i tematami historycznymi – w takim samym stopniu, w jakim Chorzów był w tym tygodniu fanami Metalliki. Specyfika Polski w trzeciej dekadzie XXI wieku: kochamy wszystko, co stare. Nie tylko stare zespoły rockowe, ale także stare tematy w stylu o wyższości Piłsudskiego nad Dmowskim (albo na odwrót). Takie czasy.

Jeśli by ktoś chciał to zjawisko bliżej prześwietlić, to świetnie się do tego nadaje przykład Krzysztofa Kloca. Ten ciągle stosunkowo młody (37 lat) krakowski historyk nagle wypłynął niemalże znikąd – i to w stosunkowo prosty sposób. Pojawił się nagle na Twitterze (dziś zwanym X), gdzie szybko dał się poznać jako autor ciekawych, nieszablonowych wpisów i opinii. Błyskawicznie pozyskał krąg obserwujących, jego wpisy zdobywały coraz większe zasięgi. W ten sposób zbudował sobie pozycję.

A potem przeniósł ją na książki. Też skutecznie. Jego najnowsza publikacja „Sezon na niepodległość" świetnie pokazuje, dlaczego tak mocno o historii dyskutujemy i jak wiele tematów w naszych dziejach jest ciągle otwartych i gorąco analizowanych, jakby zdarzyły się wczoraj. Kloc ciekawie opisuje kilka z nich, choćby rolę Piłsudskiego w dwudziestoleciu (wyraźnie woli ten termin niż określenie II RP), niewykorzystaną szansę, jaką okazał się traktat ryski, czy pułapkę, jaką stało się Zaolzie w 1938 r. Cała książka pełna różnego rodzaju cytatów, danych, barwnych zestawień – momentami można wręcz odnieść wrażenie, że autor aż przesadza. Redaktor całości, który delikatnie rozcieńczyłby to dzieło, odciążył je od niektórych cytatów, pewnie byłby przydatny. Ale to szczegół. Bo generalnie ta książka świetnie pokazuje, jak bardzo historia w Polsce żyje. I że poważne zajmowanie się tematami historycznymi to najkrótsza droga do ważnego miejsca w polskim życiu publicznym.

Krzysztof Kloc „Sezon na niepodległość. Czy odrodzona Polska mogła przetrwać?", wyd. Prześwity, Warszawa 2026, cena 69,90 zł



Ciągle żywy fenomen Zdzisława Beksińskiego

Beksiński nie żyje od ponad 20 lat – ale ciągle ma status malarza kultowego, jego twórczość otacza nimb subkultury. Album z jego pracami i tekstem jego przyjaciela tłumaczy tę popularność.
Wiesław Banach „Beksiński 6", wyd. Bosz, Olesko 2026, cena 119,90 zł



Dlaczego w Niemczech ciągle widać NRD?

Inspirowana częściowo własnym życiem powieść o życiu we współczesnych Niemczech. Kraju, na którym ciągle widać ślad pęknięcia na dwie części: NRD i Niemcy Zachodnie.
Anne Rabe „Anatomia szczęścia", wyd. Znak, Kraków 2026, cena 59,99 zł



Czy Warszawa da się lubić?

Oryginalny, ciekawie zilustrowany przewodnik po Warszawie. Stolica pokazana od nieoczywistej strony.
Przemysław Ciunowicz, Łukasz Ostoja-Kasprzycki „PoWarszawsku. Przewodnik spacerowy po stolicy", wyd. Newhomers, Warszawa 2026, cena 79,90 zł



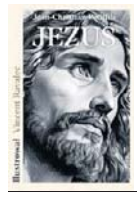
Wszystko o Matce Jezusa

Maj to tradycyjnie miesiąc maryjny. Pasuje do niego zbiór homilii kard. Rysia poświęconych Matce Jezusa. Erudycyjne rozważania o Jej życiu, poświęceniu i wpływie na współczesny Kościół.
kard. Grzegorz Ryś „O Maryi", wyd. Znak, Kraków 2026, cena 54,99 zł



Wojna 31-letnia

Autor opisuje konflikty pierwszej połowy XX w. – ale nie jako dwie oddzielne wojny światowe, tylko jako powiązany ze sobą ciąg walk. Rymuje się ze współczesnością.
Sławomir Leśniewski „Wojna – pokój – wojna (1914–1945)", Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026, cena 79,90 zł



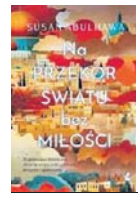
Jezus Chrystus oczami historyka

Graficzna biografia Jezusa Chrystusa. Autor ucieka od perspektywy religijnej i tworzy ten portret przede wszystkim w oparciu o wiedzę historyczną.
Jean-Christian Petitfils „Jezus. Opowieść o życiu Mistrza z Nazarethu", wyd. Zysk i s-ka, Poznań 2026, cena 69,99 zł



Polska, której już nie ma

Wznowienie powieści wydanej oryginalnie w 1947 r. Autor opowiada o swoich doświadczeniach w podróżach po podolskich wsiach jeszcze przed wojną. Portret świata, który już znikł.
Leopold Buczkowski „Wertepy", wyd. PIW, Warszawa 2026, cena 55 zł



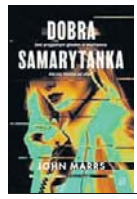
Życie współczesnej Palestynki

Powieść silnie rezonująca z bieżącymi wydarzeniami politycznymi. Jej bohaterką jest osadzona w więzieniu młoda Palestynka. Poznajemy jej życie uchodźcy.
Susan Abulhawa „Na przekór światu bez miłości", wyd. Sonia Draga, Katowice 2026, cena 59,90 zł



Mrok, który nie znika przez dekady

Nowa książka legendarnej autorki, która współtworzyła nurt mrocznych skandynawskich kryminałów. Zbrodnia sprzed lat, która pokazuje ciemną stronę ludzi i Szwecji.
Camilla Läckberg „Płaczka", wyd. Czarna Owca, Warszawa 2026, cena 54,99 zł



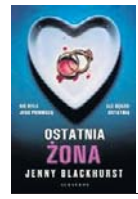
Telefon bez zaufania

Telefon zaufania to miejsce, w którym osoba bez nadziei może odnaleźć bratnią duszę. Ale co się dzieje, gdy po drugiej stronie słuchawki znajduje się ktoś, kto karmi się cierpieniem?
John Marrs „Dobra Samarytanka", wyd. IV Strona, Poznań 2026, cena 54,90 zł



Gdy Paryż okazuje się zbyt drogim miastem

Komiks dla dorosłych o młodej studentce z Paryża, która zaczyna dorabiać sobie jako prostytutka. Całość elegancko narysowana czarną kredką, bez wulgarności.
Sixtine Dano „Sibylline. Wspomnienia eskortki", wyd. Egmont, Warszawa 2026, cena 99,99 zł



Historie małżeńskie

Kryminał z oryginalnie poprowadzoną narracją. Jego bohaterkami są jednocześnie dwie kobiety (obie występują w pierwszej osobie): podejrzana i policjantka. Jak się przetną ich losy?
Jenny Blackhurst „Ostatnia żona", wyd. Albatros, Warszawa 2026, cena 49,90 zł



Stadiony pełne piłkarskiej gorączki

Niedługo piłkarskie Mistrzostwa Świata. Spragnieni futbolowej gorączki mogą poznać z bliska 1000 najsłynniejszych stadionów. Sporo przykładów z Polski.
John Gillard „Stadiony piłkarskie. Wielki atlas. 1000 niesamowitych boisk i ich historie", wyd. Buchmann, Warszawa 2026, cena 109,99 zł



Jak „Gladiator", to tylko w formie komiksu

Ten komiks przenosi nas w czasy antycznego Rzymu. Jest rok 54 n.e. Imperium rządzi Klaudiusz, swoje intrygi knuje Agrypina, a na pierwszym planie mamy prywatne śledztwo Rzymianina i gladiatora.
Philippe Delaby, Jean Dufaux „Murena", wyd. Egmont, Warszawa 2026, cena 129,99 zł



Opowiadanie sci-fi rozwinięte do powieści

Zmarły w ubiegłym roku Longyear miał opinię jednego z najwybitniejszych twórców science fiction. Teraz otrzymujemy zebrane w jednym tomie pełne wydanie „Akt wroga" – poszerzone o nieznane wcześniej treści.
Barry B. Longyear „Akta wroga", wyd, Vesper, Poznań 2026, cena 109,90 zł



Lewandowska trzęsła Płockiem już w latach 70.

Autor wraca do korzeni. Pokazuje, w jaki sposób jego ulubiona bohaterka, płocka prokurator Zuza Lewandowska zaczynała w tym fachu. Przy okazji otrzymujemy kryminał w klimacie retro.
Jacek Ostrowski „Zuza Lewandowska. Początek", wyd. Skarpa Warszawska, Warszawa 2026, cena 52,90 zł

eprasa.pl bb45e65d74

MISTRZOWIE URODY POZNAJ BLIŻEJ UCZESTNIKÓW TEGOROCZNEJ EDYCJI

Beauty to także chwila dla siebie. Kobieca energia!

Ewelina Żuberek
ewelina.zuberek@polskapress.pl

Klientki mawiają: „To nasza terapia". Nie mogą doczekać się kolejnych wizyt, bo wiedzą, że poza poprawą urody czeka na nie także dobra atmosfera, rozmowa i wytchnienie od codzienności.

Za nami drugi tydzień plebiscytu Mistrzowie Urody, w którym udział biorą między innymi kosmetyczki, stylistki rzęs i brwi oraz linergistki. Ekspertów z branży beauty nominują klienci, a ci podkreślają, że gabinety i salony urody coraz częściej stają się również przestrzenią rozmowy, odpoczynku i chwili tylko dla siebie. - Potwierdzają to również uczestnicy akcji Mistrzowie Urody, którzy zgodzili się opowiedzieć nam więcej o swojej pracy. Głosy są jednoznaczne - beauty bardzo często nie jest wyłącznie o wyglądzie. To także przyjemność, kobieca energia, chwila dla siebie i dobre emocje, które zostają na dłużej - mówi Katarzyna Borek, która opiekuje się akcją od strony redakcyjnej.

Jak dodaje: - Doskonale widać, że w tej branży liczy się nie tylko precyzja, estetyka i wyczucie piękna. Równie ważna jest umiejętność budowania relacji i zaufania, która skutkuje na przykład podziękowaniem w formie nominacji do Mistrzów Urody.

Nic dziwnego, że wiele klientek zostaje ze swoimi specjalistkami od urody na dłużej. Znają swoje historie, ważne momenty życia, tajemnice i radości. Wspólnie przygotowują się do ślubów, chrzcin, ważnych spotkań czy urlopów. Dla wielu kobiet wizyta w gabinecie to oczywiście sposób na podkreślenie urody, poprawę wyglądu czy chwilę relaksu, ale często także coś znacznie więcej.

Kosmetyczki, stylistki rzęs i brwi oraz linergistki - choć każda z tych profesji wygląda inaczej - opierają się na podobnych wartościach. To nie tylko praca z urodą, ale też z emocjami, relacjami i rytuałem dbania o siebie. W tych zawodach liczy się estetyka, dokładność i umiejętność wydobywania piękna, ale równie ważne są atmosfera, rozmowa i poczucie, że ktoś po drugiej stronie naprawdę słucha. - Byliśmy ciekawi również historii samych ekspertów, dlatego poprosiliśmy uczestników Mistrzów Urody, by opowiedzieli nam coś więcej o sobie - mówi Katarzyna Borek. Bo w Mistrzach Urody pokazujemy właśnie takie osoby - ludzi, którzy swoją codzienną pracą pomagają innym poczuć się lepiej we własnej skórze. To kolejna odsłona pięknych - dosłownie i w przenośni - historii. Kolejna już za tydzień.

Więcej na: www.polskanews.pl/uroda



Martyna Szczepańska, Pretty Eyes Studio, Celestynów

Kategoria: Kosmetyczka Roku

Jej droga do branży beauty zaczęła się od pasji do estetyki, pielęgnacji i pracy z ludźmi. Zawsze interesowało Ją to, w jaki sposób profesjonalne zabiegi mogą wpływać nie tylko na wygląd, ale również na samopoczucie i pewność siebie klientów. Z czasem zainteresowanie przerodziło się w świadomą decyzję zawodową oraz chęć stworzenia miejsca, w którym profesjonalizm będzie łączył się z indywidualnym podejściem i wysokim standardem usług. - Najbardziej w swojej pracy cenię kontakt z ludźmi oraz możliwość realnego wpływu na ich samopoczucie i pewność siebie. Każdy klient jest inny, dlatego bardzo ważne jest dla mnie indywidualne podejście, uważność i stworzenie atmosfery komfortu oraz zaufania. Uważam, że w branży beauty liczy się nie tylko sam efekt zabiegu, ale również całe doświadczenie, z jakim klient wychodzi z gabinetu. Dużą motywację do rozwoju daje mi także dynamicznie zmieniająca się branża. Nowe technologie, trendy oraz innowacyjne metody pracy sprawiają, że nieustannie można poszerzać swoją wiedzę i podnosić standard usług. Regularnie uczestniczę w szkoleniach i śledzę nowości, ponieważ zależy mi na tym, aby oferować klientom nowoczesne, bezpieczne i skuteczne rozwiązania - mówi.

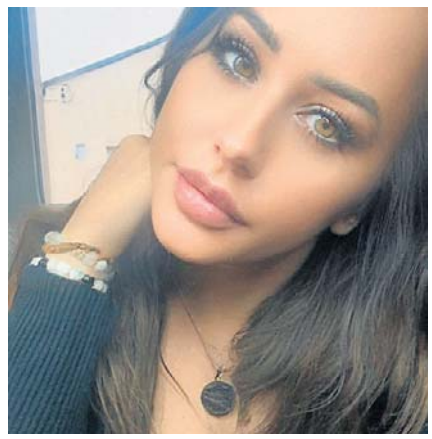


Katarzyna Brzozowska, FINEZJA PIĘKNA Katarzyna Brzozowska, Ostrów Mazowiecka

Kategoria: Stylistkę Rzęs i Brwi Roku

Zapytana o to, co Ją skłoniło do wyboru tej ścieżki kariery, odpowiada, że inspiracją była Jej koleżanka po fachu. To właśnie znajoma pokazała Jej, jak ciekawe jest to zajęcie i jak swoją wiedzą i umiejętnościami może służyć kobietom. Pani Katarzyna uwielbia efekty po wykonanej usłudze i uśmiechnięte twarze klientek, które są bardzo zadowolone z Jej pracy, bo przecież nie o sam wygląd chodzi, efektami Jej pracy są często poprawa samopoczucia i budowanie pewności siebie u swoich klientek. - To najbardziej mnie podbudowuje i motywuje do dalszej pracy - przyznaje.

Podkreśla, że zależy Jej na budowaniu relacji z klientkami, takich, które zostają na długo po wykonanej usłudze. - Bardzo jestem zżyta z moimi klientkami, bardzo się cieszę, że mi ufają - wyznaje Katarzyna Brzozowska. W swojej ofercie ma zarówno profesjonalne przedłużanie rzęs różnymi metodami, hennę, jak i laminację brwi. A wszystko, w czym się specjalizuje, stara się robić jak najlepiej potrafi, tak, dzięki temu klientki Jej ufają, bo wiedzą, że mogą u Niej liczyć na precyzję, wysoką jakość oraz zaangażowanie w to, czy zajmuje się na co dzień.



Milena Kaczmarczyk, MK Studio Urody, Wołomin

Kategoria: Stylistkę Rzęs i Brwi Roku

- Moja droga do branży beauty zaczęła się z pasji do estetyki, kobiecości i pracy z ludźmi. Zawsze interesowało mnie podkreślanie naturalnego piękna i to, jak nawet drobna zmiana potrafi wpłynąć na pewność siebie kobiety. Na początku rozwijałam swoje umiejętności z ciekawości i dla własnej satysfakcji, ale z czasem przerodziło się to w świadomy kierunek zawodowy. Największą motywacją były dla mnie klientki i ich reakcje: uśmiech, zadowolenie i poczucie, że dzięki mojej pracy czują się piękniej i lepiej same ze sobą. To właśnie wtedy zrozumiałam, że beauty to nie tylko wygląd, ale także emocje, energia i komfort, jaki dajemy drugiej osobie - wspomina pani Milena. Od początku stawia na rozwój, jakość usług i indywidualne podejście do każdej klientki. W swojej pracy najbardziej lubi kontakt z ludźmi i możliwość sprawiania, że kobiety wychodzą z większą pewnością siebie i uśmiechem. Każda osoba ma inne potrzeby, dlatego zawsze stara się słuchać i dobierać rozwiązania tak, aby efekt był nie tylko piękny, ale też komfortowy i naturalny. Relacje z klientkami są jedną z najważniejszych części tej pracy, a czasem nawet mała zmiana potrafi poprawić komuś humor, dodać pewności siebie, sprawić, że poczuje się dobrze.

AKTUALNI LIDERZY GŁOSOWANIA

FRYZJER ROKU
1. **Martyna Szymczak,** MS Studio Fryzjerskie Martyna Szymczak, Garno
2. **Angelika Urbańska,** Fryzjer Na Rogu, Ostrów Mazowiecka
3. **Jordan Sharon,** Salon Urody For You Hair, Warszawa

BARBER ROKU
1. **Sandra Kowalska,** Fryzjer z Pasją, Sochaczew
2. **Robert Jaskulski,** Fryzjerski Jaskół Robert Jaskulski
3. **Katarzyna Lesiuk,** Kobieta z brzytwą, Nowy Dwór Mazowiecki

KOSMETYCZKA ROKU
1. **Veronika Tarasiuk,** Veronika Beauty, Warszawa
2. **Martyna Szczepańska,** Pretty Eyes Studio, Celestynów
3. **Aneta Wojtulewicz,** Salon Urody Jolanta Skąpska, Radom

MAKE-UP ARTIST ROKU
1. **Luiza Ośka,** Luiza Ośka Make-up, Ryczywół
2. **Justyna Iwaniuk,** Konturówka, Jasienica
3. **Paulina Sobota,** Platinium Visage by Paulina Sobota, Warszawa

STYLISTKA PAZNOKCI ROKU
1. **Anna Janusz,** JK Beauty Studio-Julia Komorowska, Nowy Dwór Mazowiecki
2. **Aneta Kosińska,** Paznokietki u Anetki, Grodzisk Mazowiecki
3. **Patrycja Irvan,** Z Pazurem! Beauty Studio, Wyszków

STYLISTKA RZĘS I BRWI ROKU
1. **Katarzyna Brzozowska,** FINEZJA PIĘKNA Katarzyna Brzozowska, Ostrów Mazowiecka
2. **Milena Kaczmarczyk,** MK Studio Urody, Wołomin
3. **Daria Załęska,** Bling Beauty, Warszawa

PODOLOG ROKU
1. **Jolanta Świostek,** Podolog Mani&Podo Jolanta Świostek, Radom
2. **Aneta Mosiołek,** Aneta Mosiołek Podologia, Warszawa
3. **Liliia Prytula,** Beauty Pro Warsaw, Warszawa

MISTRZ TATUAŻU I/LUB PIERCINGU ROKU
1. **Vladyslav Shcherbyna,** Enigma Tattoo Studio Warsaw, Warszawa
2. **Anna Głowacka,** Tattoo&PermanentMakeup Studio Anna Głowacka, Wieliszew
3. **Oliwia Skórnicka,** Cienka igla piercing, Radom

KOSMETOLOG ROKU
1. **Oliwia Grajek,** Klinika SKINLAB, Warszawa
2. **Anna Martynowska,** Atelier Urody Wioletty Zychowicz, Nowy Dwór Mazowiecki
3. **Ewa Laura Borkowska,** Przywracamy Naturalne Piękno, Ostrołęka

MASAŻYSTA ROKU
1. **Natalia Huniewicz,** Pani Masuje, Warszawa
2. **Armin Chabzda,** ReBorn ciało odNowa Armin Chabzda, Warszawa
3. **Rafał Kaczmarek,** Twój Masażysta Rafał Kaczmarek, Warszawa

TRENER PERSONALNY LUB FITNESS/INSTRUKTOR JOGI ROKU
1. **Katarzyna Szczepaniak-Kmiołek,** Po Prostu Pilates, Warszawa
2. **Maria Czarnik,** PoProstuPilates, Warszawa
3. **Patrycja Lenarcik,** Foremka, Kozienice

DIETETYK ROKU
1. **Dariusz Paprzycki,** DarioDiet, Grójec
2. **Julita Norek,** Zdrowo I Zielono Julita Norek, Radom
3. **Patryk Lipowski,** Dietetyk Kliniczny i Psychodietetyk Patryk Lipowski, Wołomin

SALON FRYZJERSKI ROKU
1. **MS Studio Fryzjerskie Martyna Szymczak,** Garno, Sosnowa 26
2. **Salon Fryzjersko - Kosmetyczny Modny Styl Dorota Borkowska,** Grodzisk Mazowiecki, Orzeszkowej 2
3. **Zakład Fryzjerski Małgorzata Mazur,** Zwoleń, Krakowska 4

STUDIO URODY ROKU
1. **Luxury Clinic,** Radom, Wernera 5/2
2. **Pretty Eyes Studio,** Celestynów, św. Kazimierza 2A
3. **Perfekcja.JM,** Lipsko, Słoneczna 43

PARTNER PLEBISCYTU

Beauty Razem

eprasa.pl bb45e65d74

KOMUNIKACJA NIEKTÓRE ODCINKI TOROWISKA W ALEJACH JEROZOLIMSKICH SĄ ZUŻYTE W 90 PROCENTACH

Remont torów w Al. Jerozolimskich. Tramwaje znikną na dwa miesiące

Jan Zażelezny
Warszawa

Przez dwa miesiące tramwaje nie będą kursować Alejami Jerozolimskimi pomiędzy Rondem Waszyngtona a Placem Starynkiewicza.



FOT. ADAM JANKOWSKI

Rozpoczyna się remont torowiska w Alejach Jerozolimskich. Najbardziej uciążliwe dla pasażerów prace ruszą 31 maja. Potrwają nawet dwa miesiące

Remont torowiska potrwa od 21 maja, choć prace te nie będą uciążliwe dla mieszkańców i nie będą wpływały na ruch tramwajowy. Na niektórych odcinkach tramwajarze zaczną demontować w nocy, w tak zwanej przerwie w ruchu, płyty na torowisku. Odczuwalny przez mieszkańców start remontu, to 30 maja, w sobotę.

- W sobotę (...) wstrzymujemy ruch tramwajowy i już z pełnym impetem wszystkie jednostki rozpoczynają pracę praktycznie na całej długości - powiedział w środę na spotkaniu z dziennikarzami wiceprezes Tramwajów Warszawskich Konrad Niklewicz.

Koniec remontu zaplanowany jest na początek sierpnia, choć możliwe, że jeszcze w dwa prawdopodobnie pierwsze weekendy tego miesiąca prowadzone jeszcze będą prace przy montażu urządzeń wyrównawczych.

Niklewicz wyjaśnił, że remont tego torowiska jest absolutnie potrzebny. Powodów jest kilka. Pierwszy to decyzja wojewódzkiego inspektora nadzoru budowlanego o konieczności naprawy systemu dylatacji wiaduktu i Mostu Poniatowskiego, również tych pod torowiskiem, żeby woda nie zalewała konstrukcji przeprawy. Torowisko w ciągu Alei Jerozolimskich jest najbardziej obciążoną trasą w całym mieście.

- Na tej trasie w szczycie, w jednym tylko kierunku jeździ do 45 tramwajów. (...) Niektóre fragmenty tego konkretnego odcinka, czyli od Mostu Poniatowskiego do Placu Starynkiewicza były remontowane dawno temu. Nasz rekordzista, czyli odcinek Emilii Plater-Rondo Dmowskiego w 1998 roku - zaznaczył Niklewicz.

Wyjaśnił też, że od początku roku doszło tutaj do około pięćdziesięciu różnego typu awarii. Niektóre odcinki są zużyte w 90 procentach i w związku z tym tramwaje jeżdżą z ograniczoną prędkością - miejscami do 10 km/h.

Niklewicz podkreślił, że z inwestycją na torowisku tramwajarze czekali na kolejarzy i remont linii średnicowej. Ten jednak kolejny raz został przesunięty. Teraz planowany jest na lata 30.

W związku z zamknięciem ruchu tramwajowego zostaną zmiany w kursowaniu komunikacji miejskiej. Tramwajowe linie 9, 22 i 24 zostaną skrócone do Placu Starynkiewicza, a linia 25 zostanie zawieszona.

- Uruchamiamy linię 79 jadąca z Gocławka przez Pragę i przejeżdżająca przez trasę W-Z, ulicę Marszałkowską, Nowowiejską, Filtrową do Grójeckiej i Aleją Krakowską do pętli P+R Aleja Krakowska. Linia 7 będzie jeździła tylko po praskiej stronie Wisły. Połączy pętlę Kawęczyńska-Bazylika z Gocławkiem przez Aleję Zieleniecką i Aleję Waszyngtona - powiedział Kierownik Działu Organizacji Przewozów Paweł Mudant.

Linia 33 zostanie skierowana do pętli Banacha przez ciąg Filtrowej, Nowowiejskiej i ulicami Grójecką i Banacha do pętli Banacha. Będzie też kursowała komunikacja zastępcza - linia Z9, która będzie jeździła pomiędzy Placem Narutowicza a Rondem Waszyngtona. Podwojona zostanie częstotliwość kursowania linii 158, która kursuje Alejami Jerozolimskimi i Aleją Waszyngtona. Linia będzie jeździła w szczytach co 7,5 minuty zamiast co 15 minut. Uruchomiona zostanie linia Z21, która będzie „wydłużoną" linią 521. Będzie dojeżdżała z Falenicy, Aleją Waszyngtona od Stadionu Narodowego.

POLSKA METROPOLIA WARSZAWSKA

Redaktor naczelny **Arlena Sokalska**
Z-ca redaktora naczelnego **Agaton Koziński**
Prezes Makroregionu **Aureliusz Mikos**
Dyrektor centralnego biura reklamy **Witold Trzciński**
Dyrektor marketingu Polska Press **Rafał Piasecki**

Redakcja ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00, faks: 22 201 42 01
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Druk Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA
Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenia?
przez internet
ibo.polskapress.pl

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

INNE

Kupię mieszkanie zadłużone, z trudnym lokatorem, komornikiem, udziały. Gotówka, 883-402-202

Handlowe

MASZYNY URZĄDZENIA

KUPIMY maszyny do obróbki metalu i drewna. Tel.: 782-592-790.

Motoryzacja

SPRZEDAM

POLONEZ Caro, 1.6, 1999r., zielony, garażowany, pierwszy właściciel, stan dobry, 604-844-769

Praca

ZATRUDNIĘ

SERWIS sprzątający z gr. niepełnosprawności Błonie tel. 668 085 925

SERWIS sprzątający z gr. niepełnosprawności Ożarów Mazowiecki tel. 668 085 925

INNE

KURS Ochrony.1600 zł Raty. tel.694848043

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy turnusy 7 dni od 1050 zł z 30% dofin. dla emerytów/rencistów, tel 501-642-492.

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok. z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

KRAJ - MORZE

DANA - USTRONIE MORSKIE. Tanie wczasy z wyżywieniem dla Seniorów. 601-585-510 www.danaustronie.pl

Karwia, - wczasy i pokoje nad morzem, 602-474-929

KOŁOBRZEG blisko morza! 511337308

USTRONIE MORSKIE - pokoje z łazienkami, V-VI. PROMOCJA. Blisko morza - 7 min. Tel.: 503-936-581.

Różne

STARE książki skup, 881-934-948

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/tona, 500-669-621

AUTOREKLAMA

motofakty.pl

Motoryzacja
na wysokich obrotach

motofakty.pl



AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne
w Twojej gazecie
zlecisz
bez wychodzenia
z domu
przez Internetowe
Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

REKLAMA 0011527487

PORĘBA

WYCIĄG Z OGŁOSZENIA O PRZETARGU

Burmistrz Miasta Poręba informuje, że na stronach internetowych bip.umporeba.pl oraz www.umporeba.pl, a także na tablicy ogłoszeń Urzędu Miasta Poręba, ul. Dworcowa 1, 42-480 Poręba, w terminie od dnia 22.05.2026 r. zostanie zamieszczone na okres min. 2 miesięcy ogłoszenie o I przetargu ustnym nieograniczonym na sprzedaż nieruchomości stanowiących własność Gminy Poręba, położonych w Porębie. Przetarg odbędzie się w siedzibie Miejskiego Ośrodka Kultury w Porębie, ul. Mickiewicza 2, 42-480 Poręba.

Oznaczenie nieruchomości, numer działki	Powierzchnia nieruchomości [ha]	Nr księgi wieczystej	Cena wywoławcza brutto w zł	Wysokość wadium w zł	Przeznaczenie nieruchomości w MPZP	Data i godzina przetargu
9950/14 Obręb Poręba	0,9900	CZ1Z/00032475/5	600 000,00	60 000,00	W MPZP nieruchomość oznaczona symbolem: 12U - teren usług	5.08.2026 r. godz. 10:00 MOK Poręba Sala konferencyjna

Wadium płatne do 29.07.2026 r. Dodatkowe informacje uzyskać można w Urzędzie Miasta Poręba, ul. Dworcowa 1, w Referacie Nieruchomości i Gospodarki Komunalnej, pokój nr 5 - pod numerem telefonu 32 67 71 203.

eprasa.pl bb45e65d74

LIGA EUROPY PIŁKARZ ASTON VILLI JEST 13. REPREZENTANTEM POLSKI, KTÓRY SIĘGNĄŁ PO TEN TYTUŁ

Matty Cash z piłkarskim trofeum

Bartosz Głąb
redakcja@polskapress.pl

Aston Villa w środowy wieczór sięgnęła po zwycięstwo w finale Ligi Europy. Całe spotkanie rozegrał Matty Cash. Dla reprezentanta Polski było to pierwsze trofeum w piłkarskiej karierze.

Finał drugich najważniejszych rozgrywek klubowych UEFA od początku do końca został zdominowany przez jeden zespół. Aston Villa już po pierwszej połowie prowadziła 2:0 po dwóch efektownych trafieniach. Najpierw w 41. minucie wynik spotkania w Stambule otworzył belgijski pomocnik Youri Tielemans. Natomiast tuż przed przerwą do bramki przedstawiciela Bundesligi trafił Argentyńczyk Emiliano Buendia. W drugiej połowie zespół z Birmingham przypieczętował zwycięstwo. Wynik na 3:0 ustalił niesamowity w tym sezonie 23-letni Morgan Rogers.

Matty Cash już w 21. minucie otrzymał żółtą kartkę po ostrym faulu na Vincenzo Grifo, co mocno utrudniło mu grę w dalszej części spotkania. Mimo to, trener Unai Emery postanowił pozostawić swojego zawodnika na boisku do ostatniego gwizdka sędziego.

- Prawy obrońca znalazł się w trudnej sytuacji po tym, jak już na początku meczu otrzymał żółtą kartkę za nieostrożny faul, ale poradził sobie z tym bezbłędnie, choć jego podania nie zawsze były celne - ocenił występ 28-latka portal Goal.com.

Piłkarz Aston Villi został trzynastym reprezentantem Polski w historii, który sięgnął po triumf w europejskich rozgrywkach klubowych. W tym gronie są też między innymi Zbigniew Boniek, Jerzy Dudek, Robert Lewandowski czy Grzegorz Krychowiak. Ten ostatni w 2015 roku, będąc zawodnikiem hiszpańskiej ekipy Seviila FC, wygrał Ligę Europy po zwycięstwie w finale na stadionie PGE Narodowy w Warszawie z ukraińskim Dnipro Dnieprowsk, a trenerem andaluzyjskiej drużyny był wtedy również Unai Emery.


FOT. PAP/EPA

Matty Cash po meczu w Stambule nie ukrywał radości ze zgarnięcia trofeum. Razem z zespołem świętowali zwycięstwo

Matty Cash po meczu w Stambule nie ukrywał radości ze zgarnięcia trofeum. Dla Aston Villi natomiast był to pierwszy triumf w jakichkolwiek rozgrywkach od 24 lat, kiedy to wygrała nieistniejący już Puchar Intertoto. - Był półfinał Ligi Konferencji, ćwierćfinał Ligi Mistrzów. Byliśmy blisko szczytu, ale czegoś brakowało. Teraz czujemy się niesamowicie, to zostanie z nami na długo. (...) Trzeba się napracować, żeby wygrać to trofeum. Niewiarygodne, że się udało! Będziemy bawić się do rana - powiedział 25-krotny reprezentant Polski w rozmowie z Polsat Sport.

Triumf Aston Villi w finale Ligi Europy istotnie wpłynął też na... losy w Europie wicemistrza Polski. Wyjaśniło się, że w 2. rundzie eliminacji Ligi Mistrzów trafi na austriacki Sturm Graz lub tureckie Fenerbahce Stambuł. Jeśli jakimś cudem przejdzie któryś z wymienionych solidnych europejskich marek, będzie mieć pewną fazę ligową Ligę Europy (nie „spadnie" do 4. rundy eliminacji Ligi Europy).

W tym sezonie do rozegrania pozostały jeszcze 3 wielkie finały klubowych rozgrywek UEFA. W najbliższą sobotę w Oslo zostanie rozegrany finał Ligi Mistrzyń, w którym FC Barcelona z Ewą Pajor w składzie zmierzy się z Olympique Lyon. W kolejną środę w finale Ligi Konferencji na Red Bull Arena w Lipsku zmierzą się angielski Crystal Palace i hiszpańskie Rayo Vallecano. Natomiast 30 maja na Puskás Aréna w Budapeszcie odbędzie się finał Ligi Mistrzów, w którym zagrają francuskie PSG i angielski Arsenal FC.

©℗

Finały XXVI Mazowieckiego Pucharu Tymbark wyłoniły zwycięzców

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **Finały XXVI Mazowieckiego Pucharu Tymbark wyłoniły zwycięzców, którzy w kategorii U-10 i U-12 wezmą udział w Wielkim Finale Ogólnopolskim 3 czerwca na PGE Narodowym.**

Finały XXVI Mazowieckiego Pucharu Tymbark w Ośrodku Sportu w Miętnem koło Garwolina oficjalnie otworzyli w poniedziałek, 18 maja, prezes Mazowieckiego Związku Piłki Nożnej Sławomir Pietrzyk wspólnie ze starostą Powiatu Garwolińskiego Iwoną Kurowską, posłem Grzegorzem Woźniakiem oraz wiceprezesem MZPN Łukaszem Jarkowskim.

Przez trzy dni od 18 do 20 maja młodzi zawodnicy i zawodniczki dostarczali wielu emocji, prezentując wysoki poziom sportowy, ogromne zaangażowanie oraz grę w duchu fair play.

W tym roku do rozgrywek Pucharu Tymbark w województwie mazowieckim zgłosiła się rekordowa liczba aż 1482 drużyn w stosunku do 1249 zespołów z 2025 roku, co było drugim wynikiem w kraju za województwem lubelskim (2263), a przed wielkopolskim (1318).

W finałach w Miętnem w kategorii U-18 wystąpiło 38 drużyn - 29 zespołów chłopców oraz 9 drużyn dziewcząt, w kategorii U-10 zagrało 48 drużyn - 35 zespołów chłopców i 13 drużyn dziewcząt, w kategorii U-12 udział wzięło 61 drużyn - 39 zespołów chłopców oraz 22 drużyny dziewcząt. W sumie uczestniczyło 112 ekip z całego Mazowsza.


FOT. JAKUB NOWAK / JUICY SHOT

W dniach 18-20 maja w Miętnem koło Garwolina odbyły się finały XXVI edycji Mazowieckiego Pucharu Tymbark

W finale dziewcząt U-8 Szkoła Podstawowa w Obierwi pokonała Talent Warszawa 3:0, natomiast w meczu o 3. miejsce SP Somianka wygrała z PSP Winnica 9:1. Najlepszą strzelczynią została Alicja Pokora z SP w Obierwi z 11 bramkami.

W finale chłopców U-8 zespół 1E pokonał Jelonki Osieck 3:0, a w meczu o 3. miejsce SP Głosków wygrał z SP6 7:1. Królem strzelców został Ksawery Młodziankowski z Jelonków Osieck z 22 bramkami.

Zwycięskie drużyny kategorii U-10 i U-12 tradycyjnie zakwalifikowały się do Wielkiego Finału Ogólnopolskiego Pucharu Tymbarku, który odbędzie w środę, 3 czerwca, na PGE Narodowym w Warszawie przed meczem towarzyskim reprezentacji Polski z trzecią drużyną ostatniego Pucharu Narodów Afryki - Nigerią.

- Puchar Tymbark jest bardzo dobrą okazją, by poczuć ogromne, piłkarskie emocje i mieć szansę dotrzeć do finału, rozgrywanego na wielkich stadionach. To może być ogromny kop motywacyjny do dalszej, ciężkiej pracy. Wielu młodych chłopaków - i coraz więcej także dziewczynek - dostrzega, że Polacy mogą być wielkimi gwiazdami. Przykłady Roberta Lewandowskiego czy Ewy Pajor działają na wyobraźnię. W Pucharze Tymbark nieistotne jest, czy pochodzisz z małej miejscowości, czy z dużej, miejskiej aglomeracji. Każdy ma takie same szanse i to jest piękne. Wystarczy popatrzeć na zwycięzców poprzednich edycji - nie trzeba być członkiem zespołu z Warszawy, Krakowa czy Gdańska, by wygrywać i cieszyć się tymi chwilami. To doskonała okazja, by zaprezentować swoje umiejętności, sprawdzić się na tle rywali i powalczyć o fantastyczne nagrody. Nic nie zastąpi jednak czystej, pięknej radości z gry. To ona jest najważniejsza - uważa selekcjoner reprezentacji Polski Jan Urban.

Sponsorem generalnym rozgrywek jest marka Tymbark. XXVI edycja Pucharu Tymbark jest współfinansowana przez Ministerstwo Sportu i Turystyki. W skład Komitetu Honorowego turnieju wchodzą: Minister Sportu i Turystyki, Minister Edukacji oraz Minister Zdrowia.

©℗

WYNIKI PUCHARU TYMBARK

Dziewczęta U-8:
1. SP w Obierwi
2. Talent Warszawa
3. SP Somianka

Chłopcy U-8:
1. 1E
2. Jelonki Osieck
3. SP Głosków

Dziewczęta U-10:
1. Naprzód
2. SP Somianka
3. Talent Warszawa
4. PSP Winnica

Chłopcy U-10:
1. 300 SPartan
2. Mińskie Orły z Czwórki
3. Szkoła Podstawowa nr 2 imienia Jana Pawła II w Wieliszewie
4. Iwiczniaki

Dziewczęta U-12:
1. SP 289 Warszawa
2. Besties Gąsin Pruszków
3. SP Somianka
4. Czwórka Otwock

wyróżnienia indywidualne:
królowa strzelczyń - Jagna Witkowska (SP 289 Warszawa)
najlepsza bramkarka - Wiktoria Chałupczak (SP 289 Warszawa)
MVP turnieju - Zuzanna Kieliszek (Besties Gąsin Pruszków)

Chłopcy U-12:
1. SMS LW Warszawa
2. Piątka Grodzisk Mazowiecki
3. SP 4 Pruszków
4. PSP Chynów

wyróżnienia indywidualne:
król strzelców - Jakub Szeliga (Piątka Grodzisk Mazowiecki)
najlepszy bramkarz - Adam Borowiec (SP 4 Pruszków)
MVP turnieju - Julian Kusak (SMS LW Warszawa)

eprasa.pl bb45e65d74

zwierzę z afrykańskiej sawanny / trójca bóstw
forma monopolu: sklepienie niebieskie / imię Łempickiej
koszt: fruwanie
dzielnica Warszawy: parkowa budowla
nietakt towarzyski
nakrętka na śrubie
skandynawski poeta i śpiewak
proszek do prania: zdobi czapkę majora
legat w testamencie
łóżko bosmana
rozmyślanie: ... Russo, aktorka / stos siana

piekielny płyn
rodzaj szkolenia
28
kuszona przez węża
7
tajna policja carska
spada na cztery łapy
metal o symbolu Pm
13
wątek utworu
19
systemowa zmiana
15
opasuje kimono / port na Honsiu
Fonda lub Birkin / chlebowy
narzędzie działkowca
uszczelnia korek / maleńkie w igle
wczytuje obrazy do komputera
16
sejmowa dyskusja
18
Bolesław, autor „Lalki” / gibon białoręki
głos gryzonia
powyżej kolana
... Oz, pisarz izraelski
trwa 24 godziny
waka-cyjna pora
bor-sucza jama
... Lamas, aktor z USA
dawne torby podróżne
23
cierpienie, udręka
20
Cielecka lub Boczarska
Pon-cjusz z Pontu
inna nazwa Troi
zaloty Kmicica
smar okrętowy
surowiec dla huty
owad z żądłem
5
szata litur-giczna
zajęczy tłuszcz
polewa na garnku
11
Adam, polski poeta
12
rodzaj czworo-kąta
popiersie / szla-chetny gaz
stolica Togo / w Bale-arach
pieprznik jadalny / kucharz okrętowy
krótka charak-terys-tyka
skafan-der Eski-mosa
tropi-kalna gruszka
mał-piatka z Mada-gaskaru
17
szatan w filiżance
rządził w Wenecji
wiśnia wonna
zwiewna tkanina
ogro-dzenie wokół chaty
przy-prawa do ciast
specja-lista od budowy orga-nizmu
27
pracują w silniku
14
budowla na przy-stanku
płynie przez Nantes
4
kaprysy, grymasy / forma głosowania
miasto na Hawa-jach
24
polowy mundur woj-skowy
żona radży
rodzaj kroniki krymi-nalnej / Jan, reżyser / płaci czynsz
dawny żaglo-wiec
rosyjski mary-narz
rodzaj mrożo-nego deseru
szla-chetny grzyb
instru-ment Woj-skiego
lewy dopływ dolnej Wisły
miasto nad Żół-kiewką
całko-wite znisz-czenie
ropucha olbrzy-mia
oznaka smutku
paryski kreator mody
wzo-rzysta tkanina
popularny serek homogeni-zowany
roślina pas-tewna
skwar / stan w USA
basowa lub elektryczna / papuga z Nowej Gwinei
26
był nim Jurand ze Spy-chowa
wieża meczetu
dawniej kolega, towa-rzysz
instru-ment ludowy
„Gruba” w War-szawie
30
najdłuższy bieg
nieudany utwór literacki
6
rzeka Miłosza / próg rzeczny
pan na planie
atrybut woźnicy
3
Szam-pania lub Gaskonia
22
wyraz twarzy
pias-tunka, niania
zbiornik na paliwo / dawny szkic
sprzęt do przesie-wania mąki
1
2
hałas, wrzawa
góry na granicy Europy i Azji
kobiece imię / np. śnieg
autko wyści-gowe
Zam-kowy w naszej stolicy
porządek na statku
szczę-gólne przy-wileje
buddyj-ski mnich
29
część twier-dzenia mate-matycz-nego
pasie się na hali
„palec” krasuli
sztor-mowa na Bałtyku
olej skalny / imię Ur-bańskiej
Amanda, piosen-karka
strefa przy-brzeżna
21
10
jedzie na sygnale
latający w baś-niach
popu-larna gra w karty
kontuar skle-powy
w parze z opie-runkiem
ude-rzenie, raz
9
biały kruk, unikat
8

AUTOPROMOCJA 0210987243

POLSKA
METROPOLIA WARSZAWSKA
w prenumeracie
z Tele Magazynem
12 312 53 88



SŁOWNIK: ANTYPKA, AOMORI, HILO, KEA, MUTRA, LITORAL, LOME, SODALIS.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 30 utworzą rozwiązanie: sentencję łacińską.

ROZWIĄZANIE: NIE MA ZWYCIĘSTWA BEZ TROSKI I TRUDU.

eprasa.pl bb45e65d74